

COVIDOWA MGŁA
Rany po pandemii
zostaną na dłużej

NOWY NIEŁAD
Co rząd ukrył
w podatkach

SPRAWA MARKSA
Papież i kardynał,
dymisja nie do przyjęcia

EURO CIESZY
Mistrzostwa
dla zmęczonych

WIECZNIEZIELONE
Mówisz drzewa
– myślisz ludzie

Kraków 20 czerwca 2021 nr 25 (3754)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

WILHELM SASNAL Obywatel artysta

W WYDANIU
MAGAZYN
CONRAD



weź, czytaj!

zanim zabraknie



* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075
lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na powszech.net/ewydania
Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery
„Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”,
zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres:
zamowienia@TygodnikPowszechny.pl,
my zajmiemy się resztą.

**Do kompletu 4 wybranych wydań piątę
dodajemy GRATIS*!**

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska”,
„Smak wolności”, „Zwierzenia zwierząt”,
„Halo tu Ziemia”, „Dobre życie”, „Moc kobiet”,
„Święto spotkania”, „Kryzys w Kościele”.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

KS. ADAM

Boniecki: Nasza odpowiedzialność za historię

LIST KARD. REINHARDA MARKSA DO FRANCISZKA Li odpowiedź papieża – to korespondencja niezwykła. To nie wymiana zwykłych, urzędowych pism. Kardynał w osobistym liście przedstawia powody swojej rezygnacji z pełnionych funkcji, Franciszek podejmuje ten wątek. Obaj od lat pracują nad wyprowadzeniem Kościoła z kryzysu i są zgodni w rozeznaniu sytuacji. Lecz konkluzje są różne.

Kard. Marx – do niedawna przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec (zrzekł się tej funkcji na początku 2020 r.), członek grupy kardynałów doradzających papieżowi – przedstawia w liście do Franciszka swoje argumenty. Píše: „Kościół w Niemczech przeżywa kryzys. (...) Kryzys ten jednak został spowodowany również naszymi błędami, naszymi zawinieniami. Dostrzegam to coraz wyraźniej, gdy spoglądam na Kościół katolicki jako taki, nie tylko dziś, ale i w poprzednich dziesięcioleciach”. I konkluzja: „Po opublikowaniu studium MHG stworzonego na zlecenie Konferencji Episkopatu Niemiec powiedziałem w monachijskiej katedrze, że zawiedliśmy »my«. Ale kim są owi »my«? Przecież i ja do nich należę. To zaś oznacza, że i ja muszę wyciągnąć wobec siebie osobiste konsekwencje”.

Papież odpowiada: „Mówisz mi, że przeżywasz chwilę kryzysu, i nie tylko ty, ale także Kościół w Niemczech. Cały Kościół jest w kryzysie z powodu nadużyć. (...) Zgadzam się z Tobą, że mamy do czynienia z katastrofą – smutną historią nadużyć seksualnych i sposobem, w jaki Kościół zajmował się nimi do niedawna. Uświadomienie sobie tej hipokryzji w sposobie przeżywania naszej wiary jest łaską i pierwszym krokiem, który musimy uczynić. (...) Musimy wziąć odpowiedzialność za historię, zarówno jako jednostki, jak i jako wspólnota. (...) Przyjąć ją na siebie oznacza postawić się w sytuacji kryzysowej”.

Dygresja: 52 lata temu, po artykule „Kryzys w Kościele”, Jerzy Turowicz został publicznie upomniany – w Kościele



żadnego kryzysu nie ma i „można mówić co najwyżej o kryzysie publicysty, który mówi o kryzysie w Kościele”.

Papieża nie oburza, a nawet nie dziwi, że kardynał przeżywa kryzys. Kiedy kardynał mówi o kryzysie Kościoła, papież nie tylko się z nim zgadza, ale sam mówi o katastrofie. Katastrofie Kościoła!

Kardynał – o którym ktoś napisał, że „także on przez długie lata był dobrze naoliwionym trybikiem w urzędowej, kościelnej maszynerii” („Südkurier”), i który przyznał, że z bólem obserwuje, jak bardzo, „być może najbardziej w całej historii, upadł autorytet biskupów zarówno w Kościele, jak i w świecie”; który wie, że nie tylko „popelniono wiele błędów osobistych i administracyjnych, ale także zawiodła instytucja czy też »system«”, i poczuwa się „do osobistej współodpowiedzialności, także przez milczenie, zaniedbania i nadmierną koncentrację na dbałości o prestiż instytucji” – stwierdza: „Uważam, że mogę wyrazić gotowość do poniesienia odpowiedzialności za to, co się stało, poprzez moją rezygnację ze sprawowanego urzędu. (...) Chcę pokazać, że u podstaw nie znajduje się urząd, ale posłannictwo Ewangelii”. Dlatego prosi papieża o przyjęcie rezygnacji.

Odpowiedź Franciszka również jest bardzo osobista. Piśze przecież o sprawach, nad którymi musiał dużo medytować: „Nie uratują nas ani sondaże, ani potęga instytucji. Nie uratuje nas prestiż naszego Kościoła, który ma tendencję do ukrywania swoich grzechów; nie uratuje nas siła pieniądza ani opinia mediów (tak często jesteśmy od nich zbyt zależni). Zostaniemy zbawieni, otwierając drzwi Temu, który może to uczynić, i wyznając naszą nagość: »zgrzeszyłem«, »zgrzeszyliśmy«... i płacząc, bełkocząc, jak umiemy, owo: »Odejdź ode mnie, bo jestem człowiekiem grzesznym« – spuściznę, którą pierwszy papież pozostawił papieżom i biskupom Kościoła. (...) I to jest właśnie moja odpowiedź, drogi bracie – kończy swój list papież Franciszek – kontynuuj, jak sugerujesz, ale jako arcybiskup Monachium i Fryzycji”.

©



TYGODNIK POWSZECHNY

87 km na 87. urodziny!

Idź, biegnij albo jedź – na urodziny Redaktora Seniora

Daj w prezencie Solenizantowi kilometry i kalorie.
Wygraj zdrowie, dobre samopoczucie
i prezenty od redakcji „Tygodnika Powszechnego”.

Zapisy od 25 czerwca
Szczegóły na powszech.net/87

PARTNER:

DATASPORT

TEMAT TYGODNIKA

12 Wreszcie można się przytulić

ROZMOWA Z PROF. DOMINIKĄ DUDEK, PSYCHIATRĄ:
Reakcje lękowe, zaburzenia depresyjne, objawy z kręgu PTSD – koronawirus zostawił nas z tym wszystkim. Powrót do normalności nie będzie łatwy.

16 Rany po pandemii

MACIEJ MÜLLER
Nawet u co trzeciego ozdrowieńca mogą występować objawy długiego covidu. Ich przebieg zależy m.in. od stylu życia.

**26 Powietrze**

MICHAŁ OKOŃSKI
Wyobraziłem sobie rodaków, którzy po pierwszym nieudanym zagranii polskiego piłkarza nie kierują kciuków w dół.

**22 Iluzja resetu**

MAREK RABIJ
Wyliczenia, kto zyska, a kto straci na zmianach podatkowych, zepchnęły na dalszy plan kluczowe pytanie: czy Polski Ład to rzeczywiście przepis na nowoczesne państwo?

**34 Wina i pokuta**

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI
Kardynał Reinhard Marx zrobił oszałamiającą karierę. Jej zawirowanie w ostatnim czasie ukazało najważniejsze problemy, z którymi zmagają się Kościół.

**106 Wieczniezielone**

ROZMOWA Z RICHARDEM POWERSEM, PISARZEM:
Ponadtyśiącletni las sekwoi zamieniliśmy w Dolinę Krzemową, czyli coś, co przetrwa tylko ułamek czasu trwania drzewa, przed którym kiedyś stanęłam.

**66 Serio i swawola**

ROZMOWA Z WILHELMEM SASNAŁEM, MALARZEM:
Dawniej od razu wiedziałem, że obraz się udał. Dziś coraz częściej ścieram z płótna to, co namalowałem, i zaczynam od początku.



6 Premia za jedność
JAROSŁAW FLIS

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

32 Tygodnik Czytelników

■ **KRAJ**

22 Iluzja resetu
MAREK RABJ

26 Powietrze
MICHAŁ OKOŃSKI

28 W czymś jesteśmy najlepsi
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK *o tym, jak się żyje w najbardziej zagrożonej gminie w kraju*

■ **WIARA**

34 Wina i pokuta
KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

38 Sprawa kardynała Marksa
PIOTR SIKORA:
Czy instytucja Kościoła znalazła się w martwym punkcie? Tak twierdzi jeden z najbliższych współpracowników papieża

40 Łącznicy
MARCIN CHODUŃ: *Diakonów stałych – duchownych, którzy mogą mieć własne rodziny – jest w Polsce wciąż niewielu*

■ **ŚWIAT**

44 Łowcy niezadowolonych
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z MAGDEBURGA:
Program niemieckich populistów jeszcze nigdy nie był tak radykalny. Liczą na 5 mln głosów

48 Dla jednych pragmatyk, dla innych zdrajca
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:
Opinie o udziale ich partii w rządzie Izraela są wśród Arabów podzielone

DODATEK



77 MAGAZYN CONRAD

„Natura przyszłości”.
Hasło tegorocznego Festiwalu Conrada ma przynajmniej dwa znaczenia.
Pierwsze z nich przywołuje myśl kształt, jaki przybierze przyszłość. Oraz zaniepokojenie, jakie czujemy myśląc o niej.
Drugi sens odsyła przede wszystkim do przyrody i otwiera drogę do rozważań o stanie środowiska naturalnego.

■ **FELIETONY** ■

33 DOROTA MASŁOWSKA

43 ZUZANNA RADZIK

57 ANDRZEJ STASIUK

105 PAWEŁ BRAVO

110 STANISŁAW MANCIEWICZ

110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: WILHELM SASNAL
na odsłonięciu muralu Jacka Kuronia,
Warszawa, czerwiec 2020 r.
FOTOGRAFIA: DAREK GOLIK / FORUM

Redaktor prowadzący:
MARCIN ŻYŁA

50 Mecz nad meczetami
AGNIESZKA ROSTKOWSKA
o meczecie przy stambulskim placu Taksim

53 Robię, co mogę, aby nie zwariować
ANNA MIKULSKA
o obozach dla Ujgurów

■ **HISTORIA**

58 Starcie tytanów
ROZMOWA Z MARKIEM SOŁONINEM,
HISTORYKIEM:
80 lat temu Hitler wyprzedził Stalina – mniej więcej o 10–20 dni

■ **NAUKA**

62 Trzeci kciuk
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
o tym, czy nasze ciała można rozbudowywać o dodatkowe elementy

65 Rybka pod kontrolą
ŁUKASZ KWIATEK:
Odraczanie gratyfikacji nie musi wymagać dużego mózgu

■ **KULTURA**

66 Serio i swawola
ROZMOWA Z WILHELMEM SASNALEM,
MALARZEM

72 Dusza i matka
JAN BŁASZCZAK *o indyjskich fascynacjach polskich muzyków*

74 Afrykańska psychodrama
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Spotkanie z Aniołami” Tomasza Wysokińskiego*

104 Tęsknota za lekkością
LEKTOR *o książce „Beatles w Polsce” Macieja Hena*

■ **ZMYŚŁY**

106 Wieczniezielone
ROZMOWA Z RICHARDEM POWERSEM,
PISARZEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Najsłynniejszy filipiński pięściarz Manny Pacquiao chce zostać prezydentem. W drodze po ten tytuł będzie jednak musiał pokonać swojego mistrza i nauczyciela – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
www.tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Własny pokój [Podkast Powszechny]

Jest takie pojęcie: „wystarczająco dobra matka” – i to mi się podoba. Po prostu robiłam wszystko najlepiej, jak umiałam – opowiada ilustratorka **IWONA CHMIELEWSKA** w rozmowie z **KATARZYNĄ KUBISIOWSKĄ** tygodnikpowszechny.pl/podkast

Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

PREMIA ZA JEDNOŚĆ

Opozycja wykorzystała szansę w wyborach na prezydenta Rzeszowa, a rządzący zafundowali sobie falstart na początek sezonu, po którym tak wiele się spodziewali.

JAROSŁAW FLIS

CHOĆ W OGÓLNOPOLSKIEJ POLITYCE ciągle panuje frustrująca równowaga błędów, to na lokalnej rzeszowskiej scenie szala się przechyliła. Zwycięstwo kandydata opozycji nie było jednak tylko wynikiem ogólnych trendów. Sporo dołożyła tu niepowtarzalna sytuacja po obu stronach.

Podjęta w lutym przez Tadeusza Ferencę decyzja o rezygnacji z urzędu była równie ważka, co zaskakująca. Nie chodzi o uzasadnienie – to jest wiarygodne – lecz o tryb i kierunek w kluczowej sprawie sukcesji:

wskazał wówczas Marcina Warchoła, wiceministra i jednego z ludzi Ziobry. Nastąpiło to jednak w momencie, gdy napięcia wewnątrz niegdyś Zjednoczonej Prawicy sięgały zenitu. Ostatnią rzeczą, która przysłałaby wtedy do głowy centrali PiS i lokalnym strukturom, było wykorzystanie tej szansy. Wręcz przeciwnie – priorytetem dla PiS stało się niedopuszczenie do wzmocnienia pozycji kłopotliwej „przystawki”. Ceną za taki właśnie priorytet jest niedzielne upokorzenie w rywalizacji z opozycją. Ta bowiem nie zmarnowała szansy. Choć to, co

*Wieczór wyborczy
Konrada Fijołka,
Rzeszów,
13 czerwca 2021 r.*

ją umożliwiło, nie jest już tak oczywiste.

Konrad Fijołek nie został wystawiony przez partie opozycyjne, lecz tylko poparty – już po tym, gdy było jasne, że wystartuje i że jest oczywistym kandydatem klubu radnych Ferencza, choć ustępujący prezydent namaszczył kogoś innego. Raz jeszcze się okazało, że udana sukcesja lokalnej władzy nie jest żadną oczywistością. Rokuje tylko wtedy, gdy dotychczasowy władca jest liderem zwartego lokalnego środowiska, które w całości przenosi swoje poparcie na nowego kandydata, najlepiej „podhodowanego” – wcześniej znanego ze swojej aktywności czy osiągnięć w roli np. wiceburmistrza. Lecz nawet bez byłego charyzmatycznego lidera drużyna Fijołka okazała się na tyle mocna, że opozycyjne partie musiały się z nią liczyć.

Na pewno medialne poparcie liderów partii opozycyjnych nie zaszkodziło Fijołkowi, lecz miało znacznie mniejsze znaczenie od faktu, że żaden z nich nie wyłamał się ze wspólnego frontu i nie przeforsował wystawienia swojego kandydata. A przecież każdy z tych liderów miał powód do podjęcia swojej gry. Skoro opozycja była faworytem tych wyborów, mogła zacząć destrukcyjną grę o to, komu przypadnie spodziewane zwycięstwo. Opuścili i dziś są za to nagradzani. W przypadku Rzeszowa swoje znaczenie miał także fakt mało widoczny z perspektywy warszawskich publicystów i speców od politycznego PR: żadna z partii opozycyjnych nie miała na miejscu nikogo, kto bardzo chciał wystartować.

Wisienką na opozycyjnym torcie jest klęska rządowej strategii „wybierzcie naszego, to sygnujemy wam groszem”. Najwyraźniej wyborcy są odporni na taką retorykę. Wszak analizowana na chłodno oznacza, że rozwój Rzeszowa jest wart rządowych funduszy tylko o tyle, o ile PiS tam rządzi.

Ciekawe też, kiedy liderzy PiS zaważą, że ich wizyty i wsparcie w wyborach samorządowych mają efekt odwrotny od zamierzonego. W wyborach sejmowych czy prezydenckich zainteresowanie krajowego lidera lokalnie pomaga – mobilizuje aktywistów i docenia wyborców. W wyborach samorządowych mobilizuje do udziału wyborców opozycji. ©

Polityka zagraniczna w dryfie

KAROLINA LEWICKA



WUBIEGŁYM TYGODNIU NA NIEBIE CZĘŚCIOWE zaćmienie słońca, a w polityce zagranicznej – przykra koincydencja. Oto szef polskiej dyplomacji przyznaje się do niemocy. „Delegacja Bidena nie znalazła dla nas czasu, bo są zaafierowani spotkaniem z Putinem” – żali się Zbigniew Rau. Przyznaje też, że o zielonym świetle USA dla dokończenia budowy niemiecko-rosyjskiego rurociągu dowiedział się z mediów. Ten lament ani chybi oznacza dalszy uwiąd na kierunku zachodnim, tymczasem na ten wschodni z rozmachem wkroczył właśnie Ryszard Terlecki.

Wicemarszałek Sejmu w nerwowym wpisie w mediach społecznościowych wysłał liderkę białoruskiej opozycji do Moskwy, skoro ta „chce reklamować antydemokratyczną opozycję w Polsce i występować na mityngu Trzaskowskiego”. Za swoje słowa nie przeprosił, lecz jeszcze dołał oliwy do ognia w liście do Światłany Cichanouskiej. Dziwny to tekst, poświęcony niemal w całości Platformie Obywatelskiej, pełen półprawd, kłamstw i manipulacji. Ale przede wszystkim protekcyjny. „Nie podejrzewam Pani o złą wolę, domyślam się raczej braku odpowiedniej

wiedzy” – pisze Terlecki z paternalistyczną wyższością wobec adresatki, której nieznajomość świata jest dla niego oczywista, bo cóż kobieta może wiedzieć, rozumieć, dokonać? Ale brzmi w tym także postkolonialna pogarda wobec Białorusinów – gorszych, cywilizacyjnie słabiej rozwiniętych, kulturowo podporządkowanych, przynajmniej w umyśle wicemarszałka.

Terlecki został ofiarnie wsparty przez kolegów, dla których lojalność partyjna waży więcej niż polska racja stanu. Fakt, że wszedł w szkodę naszej polityce wschodniej, jest ewidentny, ale nie dla PiS. Nie pierwszy to raz, kiedy ta antyrosyjska retorycznie partia realizuje – intencjonalnie lub nie – kremłowski interes. Trudno się dziwić, że głosu Polski w sprawach Wschodu nikt już w UE nie słucha, a zwolnione miejsce zajęła Litwa.

Na południu bez zmian. Polsko-czeska sprawa Turowa jest tym bardziej niezakończona polubownie, im głośniejsze jest jej zakończenie zapewnia premier Morawiecki. Na dodatek Pragę wsparła Komisja Europejska. I tylko z Bałtykiem dobrze nam się układa, choć na morzu nie zawsze flauta. ©

Autorka jest dziennikarką radia Tok FM.

Pielęgniarki walczą o przetrwanie

TERAZ CZEKAMY na decyzję posłów – ogłosili pielęgniarki po korzystnych poprawkach Senatu do nowelizacji ustawy o minimalnych pensjach w ochronie zdrowia. Przepisy w proponowanej przez rząd wersji nie gwarantowały bowiem – ocenił Ogólnopolski Związek Pielęgniarek i Położnych – wzrostu wynagrodzeń. W zeszłym tygodniu pielęgniarki przeprowadziły strajk ostrzegawczy i na dwie godziny odeszły od łóżek pacjentów. Na 15 czerwca zapowiedziały pikietę pod Sejmem. „Oczekujemy, że parlamentarzyści, rozumiejąc zagrożenie bezpieczeństwa państwa związane z brakiem medyków w Polsce, groźbę zamknięcia szpitali, podejmą jedyną słuszną decyzję” – powiedziała przewodnicząca Krystyna Ptok.

Jej słowa potwierdza raport Naczelnej Izby Pielęgniarek i Położnych. Do 2025 r.

liczba zatrudnionych w tym zawodzie zmniejszy się o ponad 16 tys., a do 2030 r. – o ponad 36 tys. Samorząd szacuje, że uniemożliwi to funkcjonowanie prawie 500 szpitali. Średnia wieku pielęgniarek to 53 lata. Tylko 5 proc. z nich to osoby w wieku 21–30 lat; tych z prawami emerytalnymi jest 27 proc. Gdyby z nich skorzystały, zawałiłby się system.

Izba domaga się zwiększenia liczby miejsc na studiach pielęgniarskich, wprowadzenia stypendiów oraz gwarancji zatrudnienia po studiach. By zapobiec odchodzeniu z zawodu – głosi raport – trzeba wprowadzić dodatki za pracę w warunkach szczególnych, zapewnić stabilne wynagrodzenie, uwzględniające kwalifikacje i doświadczenie, wprowadzić dodatki za długoletnią pracę, dopłaty do wypoczynku. Osoby z uprawnieniami emerytalnymi mogą zachęcić do pozostania dodatki motywacyjne, wydłużenie urlopów czy refundacja świadczeń rehabilitacyjnych. Raport zatytułowano: „Katastrofa kadrowa”.

© P MAM

JĘDRZEJ WITKOWSKI,
SZEFE CENTRUM EDUKACJI OBYWATELSKIEJ

Epidemia, edukacja, emancypacja

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: W raporcie z badań prowadzonych już po powrocie do szkół piszecie, że to kluczowy moment dla edukacji. Dlaczego?



TOMASZ KWIREG / CEO

JĘDRZEJ WITKOWSKI: Bo wracamy do innej szkoły niż ta sprzed marca 2020 r. Po pierwsze, mamy uczniów ze znacznie większym zróżnicowaniem wiedzy – nauka zdalna pogłębiła nierówności. I jeśli już teraz nie weźmiemy tego pod uwagę, to nie tylko najslabsi zostaną z tyłu, ale też znacznie trudniejsza będzie praca nauczycieli. Powód drugi: uczniowie wracają z bagażem psychicznych obciążeń.

Jaka jest skala problemu?

W ankietach zadaliśmy m.in. pytanie, z jakimi emocjami wracają. Tą najczęściej wskazywaną spośród dziewięciu do wyboru był stres, wybrany przez ponad 70 proc. pytanym. Kolejne były: strach, zniechęcenie i niepewność. Co ważne, ponad połowa wybierała emocje tylko negatywne.

O czym to świadczy?

Zważywszy, że odpowiedzi udzielano tuż po powrocie, można je uznać za odzwierciedlenie tzw. lęków antycypacyjnych: uczniowie mówią o stresie i niepewności, bo po prostu z tym kojarzy im się szkoła, jaką znają. Co ciekawe, wśród nauczycieli znacznie większy odsetek pytanym deklaruował motywację i chęć do działania. To nie oznacza, że w tej grupie nie ma problemów – ponad połowa pytanym przez nas pedagogów deklaruje, że aby odnaleźć się w pracy po powrocie, potrzebują wsparcia psychologicznego. A ono w polskim systemie nie jest w ogóle dla kadry nauczycielskiej przewidziane.

Co dało nam nauczanie zdalne?

Dla wielu nastolatków było doświadczeniem emancypacyjnym. Zobaczyli, że edukacja z mniejszą liczbą kontroli, za to z większą elastycznością – i co do formy nauki, i co do treści – jest możliwa. Być może dlatego ci uczniowie nie chcą wracać. W naszych badaniach zaskakująco dużą część respondentów mówi, że edukacja stacjonarna jest dla nich doświadczeniem trudniejszym. To ważny wniosek na najbliższe miesiące – zmieniać szkołę, która zamiast wzmacniać uczniów, sens swojego istnienia sprawdziła do przygotowania ich do egzaminów. ©

JĘDRZEJ WITKOWSKI jest doktorem nauk społecznych, autorem programów i materiałów edukacyjnych. Prezes zarządu Centrum Edukacji Obywatelskiej.

KRAJ W SKRÓCIE

ROZGRZEWKA

Paweł Kukiz spotkał się z Jarosławem Kaczyńskim i zadeklarował współpracę przy niektórych ustawach – wygląda więc na to, że liderowi PiS zwiększył się parlamentarny margines bezpieczeństwa.

PRZERWA

Działacze partii Wiosna podjęli niejednogłośnie decyzję o samorozwiązaniu ugrupowania. Formacja założona niegdyś przez Roberta Biedronia wejdzie teraz w skład Nowej Lewicy, tworzonej na podstawie struktur Sojuszu Lewicy Demokratycznej.



JAKUB KAMIŃSKI / PAP

SAMOBÓJ

Prezes PKN Orlen Daniel Obajtek przegrał sądowy spór z „Gazetą Wyborczą”: dziennik nadal może pisać o okolicznościach, w jakich gromadził swój majątek. Postanowienie jest prawomocne.

DOGRYWKA

Prezes NIK Marian Banaś złożył życzenia obchodzącemu 15-lecie istnienia Centralnemu Biuru Antykorupcyjnemu. „Oby kolejne 15 lat było bardziej owocne” – napisał, nawiązując do zainteresowania służby działalnością biznesową jego rodziny.

MEDAL

Jacek Kurski został wybrany przez Radę Mediów Narodowych prezesem TVP na kolejne cztery lata, a początek kadencji uczcił odbiorem Złotej Odznaki Krzyża Stulecia Niepodległości z okazji 40-lecia Solidarności.

Gorzki triumf

MARTA SZPALA



GENERAŁ WOJSK REPUBLIKI SERBskiej, Ratko Mladić, został prawomocnie skazany na dożywocie za zbrodnie popełnione w Bośni i Hercegowinie w latach 90. XX w. Mało kto wątpił w takie rozstrzygnięcie. Za ludobójstwo w Srebrenicy, gdzie serbskie wojsko i policja rozstrzelały 8 tys. Bośniaków, i za trzyletnie oblężenie Sarajewa skazano 13 byłych funkcjonariuszy tych formacji i byłego prezydenta Republiki Serbskiej Radovana Karadžicia.

Wyrok na Mladića ostatecznie kończy działalność Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii. Od 1995 r. Trybunał postawił zarzuty 161 osobom, z których 90 skazano. Teraz ściganiem zbrodni zajmują się lokalne wymiary sprawiedliwości, choć one niechętnie skazują własnych obywateli.

Dzięki Trybunałowi dobrze udokumentowano najważniejsze zbrodnie, ale nie przełożyło się to na proces pojednania. Nie udało się skazać chorwackiego generała Ante Gotoviny (dowodził odbiciem Krajiny z rąk Serbów) ani bośniackiego dowódcy Naser Oricia (zarzucano mu zbrodnie na serbskich cywilach), a przywódcy Armii Wyzwolenia Kosowa dopiero teraz są sądzeni (przez Specjalną Izbę Sądu Kosowa; to organ kosowskiego wymiaru sprawiedliwości, choć z siedzibą w Hadze). Większość Serbów uznaje to za dowody na stronniczość Trybunału. W ostatnich latach negacja zbrodni przybrała wśród nich na sile, Mladić jest hołubiony przez polityków i tabloidy. Prezydent RS Željko Cvijanović uważa, że bronił on wolności. Mało kto mówi, że to strona serbska popełniła najwięcej zbrodni.

Choć Mladić został ukarany, to cele, jakie mu przyświecały – wypędzenie ludności bośniackiej z terenów uznanych za serbskie – osiągnięto. W Srebrenicy żyją dziś głównie Serbowie, a burmistrz miasta kwestionuje zbrodnie, które tam popełniono.

Bilans trybunału haskiego to triumf sprawiedliwości. Ale gorzki triumf. ©



JON SUPER / AP / EAST NEWS

PODRÓŻ JOEGO BIDENA do Europy zaczęła się od spotkania przywódców grupy G7 nad urokliwą zatoką w angielskiej Kornwalii. Ustalono, że G7 sfinansuje zakup 2,3 mld szczepionek dla biednych krajów; krytykowano Rosję i Chiny; postanowiono wzmocnić pozycję Zachodu w sferze nowych technologii i zgadzano się w kwestii klimatu (choć bez nowych decyzji). Kolejne punkty podróży – szczyt USA-UE i szczyt NATO w Brukseli oraz spotkanie Bidena z Władimirem Putinem w Genewie – miały odbyć się po zamknięciu tego numeru „TP”. Po prezydenturze Trumpa, który konfliktował USA z krajami Unii, wątpił w sens NATO i unikał krytyki Putina, oczekiwania wobec Bidena były tutaj duże. Na zdjęciu: grafika z piasku na kornwalijskiej plaży przedstawiająca przywódców G7, 10 czerwca 2021 r. ©P

Operacja „Trojańska Tarcza”

TO „JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH i najbardziej wyrafinowanych” operacji policyjnych, która może zaowocować „niezliczoną liczbą kolejnych śledztw” – napisał Europol po aresztowaniu w kilkunastu krajach, we współpracy z FBI i policją 16 krajów, ponad 800 osób podejrzanych o popełnianie różnych przestępstw. Zajęto 38 ton narkotyków, setki sztuk broni, tuziny luksusowych aut, gotówkę o równowartości 180 mln zł.

Operację „Trojańska Tarcza” rozpoczęło w 2018 r. FBI – wtedy zamknięto kanadyjską firmę Phantom Secure, sprzedającą m.in. meksykańskim kartelom urządzenia do prowadzenia zaszyfrowanej – a więc niedostępnej dla policji – komunikacji. Z pomocą pracownika Phantom Secure FBI założyła wtedy własną firmę, Anom, oferującą te same usługi. Rozprowadzono ponad 12 tys. urządzeń wśród 300 gangów z ponad 100 krajów. Urządzenia miały oprogramowanie dające agentom dostęp do teoretycznie zaszyfrowanych treści. Przechwycono dzięki temu ponad 27 mln wiadomości napisanych w 45 językach.

Teraz trwają śledztwa w sprawach obejmujących przemysł narkotyków, pranie pieniędzy, a także korupcję urzędników państwowych wysokiego szczebla.

©P PATRYK STANIK

Bogaci płacą mniej

ORGANIZACJA PROPUBLICA dotarła do zeznań podatkowych najbogatszych ludzi w USA z ostatnich 15 lat. Pokazują one, że zdanie „bogaci płacą więcej” często jest teorią. Jeff Bezos, wtedy najbogatszy człowiek świata, nie zapłacił w 2007 r. ani centa federalnego podatku dochodowego; podobnie w 2011 r. Tak jak Elon Musk, założyciel firm Tesla i SpaceX, w roku 2018. Oraz m.in. Warren Buffett, Michael Bloomberg czy George Soros.

Dane te pochodzą z amerykańskiego systemu podatkowego (Internal Revenue Service). Publikacja pokazuje, jak miliarderzy legalnie zmniejszają wysokość podatków m.in. przez darowizny, wyprowadzanie dochodów poza USA i zarabianie głównie na inwestycjach.

Według autorów raportu, w latach 2014–18 majątek 25 najbogatszych Amerykanów wzrósł o 401 mld dolarów, a zapłacili tylko 13,6 mld dolarów federalnego podatku dochodowego (3,6 proc.). W tym czasie przeciętne gospodarstwo domowe w USA zarabiało ok. 70 tys. rocznie i płaciło 14 proc. podatków federalnych. Stawka dla najlepiej zarabiających od tego roku wynosi 37 procent.

©P KRZYSZTOF STORY

Indie: spóźnione żniwo pandemii

POTWIERDZAJĄ SIĘ PODEJRZENIA, że oficjalne statystyki nie oddają pełnego obrazu epidemii w Indiach. W stanach Bihar i Maharasztra od połowy maja do połowy czerwca doliczono się blisko 20 tys. zgonów dotąd nieujętych w zestawieniach. „Odnalezionych” zmarłych może przybyć, bo opozycja wzywa do audytów w innych częściach ponadmiliardowego kraju. Według ministerstwa zdrowia Indie notują trzecią największą liczbę zgonów na świecie (375 tys.). Analitycy sądzą jednak, że ta ostatnia może być kilkakrotnie wyższa, bo wielu śmierci nie rejestrowano. Pod koniec maja dziennik „New York Times” szacował, że w Indiach zmarło od 600 tys. do 1,6 mln ludzi.

Spółeczne, gospodarcze i polityczne skutki epidemii trudno na razie oszacować. Premier Narendra Modi, który odtrąbił zwycięstwo nad koronawirusem, gdy chorzy masowo umierali z braku tlenu, jest krytykowany w mediach oraz serwisach społecznościowych – także za rosnące ceny żywności, bezrobocie i inflację.

Według waszyngtońskiej firmy badawczej Morning Consult poparcie dla Modiego spadło z 84 proc. przed rokiem do 64 proc. na przełomie maja i czerwca (w globalnej skali to wciąż świetny wynik). Jego prawicowa Indyjska Partia Ludowa (BJP) przegrała wprawdzie niedawno ważne wybory w stanie Bengal Zachodni, ale uzyskała tam więcej głosów niż poprzednio. Klęska w walce z epidemią nie musi oznaczać wyborczej klęski rządzącego od 2014 r. Modiego, za którym stoją lojalny elektorat i kalendarz: do wyborów parlamentarnych pozostały niemal trzy lata.

Zagrożeniem – dla premiera i dla zwykłych Indusów – może być sytuacja epidemiczna na prowincji (żyje tu ponad 65 proc. społeczeństwa), głód zagładający w oczy najbardziej i potencjalna kolejna fala zachorowań.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK Z AZJI

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ZATWIERDZENIE

Marta Titaniec (na zdjęciu) została zatwierdzona przez Konferencję Episkopatu Polski na stanowisku prezesa zarządu Fundacji Świętego Józefa zajmującej się wsparciem osób wykorzystanych seksualnie we wspólnocie Kościoła. W październiku 2019 r. biskupi zatwierdzili zarząd fundacji, nie wskazując jednak jej prezesa.



GRAZYNA MAKARA

OPÓŹNIENIE

Z powodu opóźnienia w przygotowaniu analiz Biuro Delegata KEP ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży przesunęło o dwa tygodnie zapowiedzianą na 14 czerwca prezentację najnowszych danych statystycznych dotyczących wykorzystywania seksualnego małoletnich w Kościele w Polsce. Przygotowywane dane obejmują przypadki zarejestrowane od 1 lipca 2018 do 31 grudnia 2020 r.

PRZEDSTAWIENIE

Watykańskim archeologom udało się zidentyfikować najstarsze przedstawienie Wniebowstąpienia (z przełomu IV i V wieku). Znajduje się ono w katakumbach Vigna Chiaraviglio, stanowiących część kompleksu nekropolii św. Sebastiana. Jezus przedstawiony jest z profilu z lewą nogą opartą na kamieniu. Prawą rękę wyciąga w kierunku chmury, z której wystaje ręka Boga. Podobne przedstawienie Wniebowstąpienia znajdziemy osiem wieków później u Giotta.

Kościół powinien wzywać do szczepień

MACIEJ MÜLLER



WIERNI MOGĄ OD 13 CZERWCA ZAJMOWAĆ w kościołach połowę miejsc, a od 26 czerwca limit skoczy do 75 proc. W związku z ograniczeniem restrykcji biskupi postanowili od 20 czerwca znieść dyspensy zwalniające od obowiązku uczestnictwa w mszy.

Zagrożenie epidemiczne rzeczywiście osłabło: dziennie raportuje się kilkaset nowych zakażeń, a obostrzenia dotyczące kościołów pochodziły z czasów, gdy wskaźnik ten przekraczał 20 tys. Ekspert ostrzega, że koronawirus nie powiedział ostatniego słowa. Wariant Delta (do niedawna zwany indyjskim) jest już odpowiedzialny za większość infekcji w Wielkiej Brytanii. Mimo że ok. 60 proc. brytyjskiej populacji przyjęło przynajmniej jedną dawkę szczepionki, wykres zakażeń odbił tam w górę. Nie ma powodów, by nie powtórzyło się to na kontynencie.

W Polsce 40 proc. populacji zaszczepiło się przynajmniej jedną dawką, 25 proc. obiema – a tylko pełny cykl uodparnia przeciw Deltcie. Tymczasem tempo akcji spada – są problemy ze zgłaszalnością po drugiej dawce. Odporności zbiorowej na pewno nie osiągniemy do końca wakacji.

Co gorsza, niezaszczepionych pozostaje 40 proc. najstarszych seniorów (80+). Lekarze rodzinni zrzeszeni w Porozumieniu Zielonogórskim zauważyli niedawno, że „są pacjenci, których bardziej skutecznie [od medyków] zachęci ksiądz podczas mszy”. Kościół powinien na serio potraktować apele środowiska lekarskiego. W kwietniu amunicji sceptykom dostarczyło oświadczenie bp. Józefa Wróbla, szefa Zespołu KEP ds. Bioetycznych, według którego katolicy nie powinni godzić się na szczepienie preparatami J&J i AstraZeneca, chyba że zostali do tego zawodowo zobligowani. Potrzeba więcej tak zdroworozsądkowych wypowiedzi, jak wezwanie bp. Józefa Guzdkę: „Na wojnie z koronawirusem, podstępny i bezwzględny wrogiem ludzkości, należy zaufać służbie zdrowia, sprawdzonym procedurom medycznym oraz jasnym wskazaniom papieża”.

Ważnym argumentem jest na pewno oddalenie groźby powrotu limitu 1 osoby na 15 m kw. kościoła. Ale przede wszystkim: przyjęcie szczepionki chroni nas samych i wszystkich wokół – a miłość do siebie samego oraz do bliźniego to jeden z filarów chrześcijańskiej tożsamości. © P

Episkopat poświęcił naród Sercu Jezusowemu

ZA GRZECZY „wykorzystania seksualnego małoletnich, popełnione zwłaszcza przez niektórych duchownych, i związane z tym grzechy zaniedbania ich przełożonych” przeprosił abp Stanisław Gądecki podczas odnowienia poświęcenia Kościoła i narodu Najświętszemu Sercu Jezusowemu. Uroczystość odbyła się 11 czerwca w krakowskiej bazylice Najświętszego Serca Pana Jezusa w 100. rocznicę aktu poświęcenia.

Przełożony Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego o. Jarosław Paszyński SJ podkreślił w homilii, że sercem Kościoła jest Serce Jezusa – źródło nieustannej odnowy jego wspólnoty oraz program duchowej formacji, mogący przemienić życie osobiste, rodzinne i społeczne. W uroczystości oprócz duchowieństwa uczestniczyli wierni, licznie zgromadzeni w świątyni oraz na dziedzińcu. Dlaczego przyszli? Refren kilku głosów: by dać świadectwo, że kult Serca Jezusa nadal jest aktualny i ważny. – Zwłaszcza teraz, gdy tak wiele osób odchodzi od Kościoła – tłumaczyła „TP” 19-letnia Agnieszka.

© MARCIN CHODUŃ

Watykan na trzy plus

UMIARKOWANIE POZYTYWNA ocenę wystawili mu eksperci Moneyval (Komitet Rady Europy ds. Zwalczania Korupcji, Prania Brudnych Pieniędzy i Terroryzmu). Docenili postępy w walce z patologią, ale wytknęli przewlekłość dochodzeń, niskie kary, brak nadzoru nad urzędnikami najwyższego szczebla, a także nietransparentność działań papieża, którego decyzji o wszczęciu (lub nie) postępowań przeciw podejrzanym o korupcję kardynałom nie normują żadne przepisy (prawo umożliwiające stawianie hierarchów przed zwykłym sądem opracowano po zakończeniu kontroli).

Odwagę Franciszka, by do Watykanu wpuścić kontrolerów, warto docenić. Zewnętrzny audyt w kościelnych instytucjach to wciąż rzadkość. Bo nawet najlepszy uczeń z tej klasy, poddany obiektywnej ocenie, może wypaść miernie.

© P EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

**DUNIKOWSKI
W KRÓLIKARNI**

W Warszawie otwarto ekspozycję poświęconą malarstwu Xawerego Dunikowskiego. Niektóre obrazy, rysunki i szkice zaprezentowane zostaną po raz pierwszy, inne nie były pokazywane od kilkudziesięciu lat. Łącznie zgromadzono ponad 50 prac, większość pochodzi z kolekcji Muzeum Narodowego w Warszawie.

Wystawa potrwa do 14 listopada.

ĆWIERĆ WIEKU NIKE

Na liście nominowanych do 25. Literackiej Nagrody Nike cieszy obecność naszego autora Stanisława Łubieńskiego oraz poety i felietonisty „Tygodnika” Jacka Podsiadły. Wszystkim wyróżnionym gratulujemy. Finałowa siódemka ogłoszona zostanie we wrześniu, a laureatkę bądź laureata jury pod przewodnictwem Ingi Iwasów wskaże 3 października.

„XABO” NA FALI

Za to już 18 czerwca premiera płyty Hani Rani „Music for Film and Theatre”, na której znajdują się m.in. utwory skomponowane specjalnie do filmu „xABO: książd Boniecki”. Film Aleksandry Potoczek można oglądać na platformach player.pl oraz vod.pl, a w tym tygodniu także na Koszalińskim Festiwalu Debiutów Filmowych Młodzi i Film.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „Tygodnika” co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl



FRIEDMANN VOGEL / EPA / PAP

MISTRZOWIE EUROPY. Pomocnik reprezentacji Danii Christian Eriksen miał zawał serca w trakcie meczu z Finlandią: podczas dramatycznej akcji ratunkowej koledzy z drużyny zapewnili mu intymność, tworząc wokół nieprzytomnego zawodnika krąg, za który nie mogli zajrzeć fotografowie i kamerzyści. O rozgrywającym się na oczach świata dramacie, o lekcjach wrażliwości i empatii, o reakcjach mediów, osądach dokonywanych na portalach społecznościowych i sensowności dogrywania meczu przez strumatygowanych piłkarzy pisał na bieżąco Michał Okoński: powszechnet.net/eriksen. Tekst Okońskiego o Euro, drukowany na str. 26 tego numeru, został ukończony 11 czerwca, w przeddzień zawału duńskiego piłkarza.

Kosmos znowu do nas zamrugnął

W CIĄGU OSTATNICH STU LAT poznaliśmy wielu niezwykłych mieszkańców naszego Wszechświata, jak białe karły, gwiazdy neutronowe czy kwazary. Mimo dekad obsesyjnego wpatrywania się w kosmos przy pomocy setek specjalistycznych urządzeń, wciąż pozostają w nim tajemnice. Ot, szybkie rozbłyski radiowe: punktowe „mrugnięcia” fal radiowych, trwające zwykle około jednej tysięcznej sekundy, w czasie której źródło błysku uwalniało, jak się zdaje, 500 milionów razy więcej energii niż Słońce. Co gorsza, błysk taki może nadciągnąć w każdej chwili, z dowolnego kierunku, po czym... cisza. To cud, że rozbłyski takie w ogóle zostały zaobserwowane!

Na początku czerwca opisano wyniki uzyskane w kanadyjskim obserwatorium CHIME, które przez rok wgapiło się nieruchomo w wąskie okienko na niebie, przesuujące się powoli po sferze niebieskiej wraz z rotacją Ziemi. Łącznie zarejestrowano w ten sposób aż 535 rozbłysków (co czterokrotnie zwiększyło całkowitą ich liczbę), spośród których 61 pochodziło z miejsc błyskających wielokrotnie. Zidentyfikowano 18 „regularnych błyskaczy”, co daje nadzieję na dokładniejsze zbadanie tego zjawiska, wręcz absurdalnie przypadkowego.

© P ŁUKASZ ŁAMŻA

Nowy lek, stare pytania

AMERYKAŃSKA AGENCJA Żywności i Leków (FDA) dopuściła do użytku pierwszy od 18 lat lek w terapii choroby Alzheimera. W preparacie Aduhelm są przeciwciała skierowane przeciw beta-amyloidowi – białku, w którego odkładaniu się w mózgu upatruje się przyczyny tego otępienia. Roczny koszt terapii to 56 tys. dolarów. Należy podkreślić, że jest to choroba wieloczynnikowa, a jej źródeł może być kilka. Lek działa tylko na jedno z nich.

Jednak nie jest pewne, czy wystarczająco skutecznie. Badania nad lekiem dwa lata temu zostały wstrzymane ze względu na nikłe efekty. Kilka miesięcy później powrócono do testów, gdy okazało się, że u części chorych zauważono kliniczną poprawę – postęp choroby zwolnił. Ale w ubiegłym roku panel naukowców FDA odrzucił wniosek o rejestrację leku. Analiza wykazała, że nie jest dość skuteczny. Do tego dochodzą obrzęk mózgu i krwawienia jako skutki uboczne.

Ubiegłotygodniowa decyzja wywołała zarówno spory entuzjazm, jak i ogromne kontrowersje. Trzech członków komitetu doradczego FDA zrezygnowało ze swoich funkcji.

© BARTOSZ KABAŁA

WRESZCIE MOŻNA SIĘ PRZYTULIĆ

PROF. DOMINIKA DUDEK, PSYCHIATRA:

Reakcje lękowe, zaburzenia depresyjne, objawy z kręgu zespołu stresu pourazowego – pandemia zostawiła nas z tym wszystkim. Powrót do normalności nie będzie prosty.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Pandemia dotknęła nie tylko tych, którzy zachorowali na COVID-19.

DOMINIKA DUDEK: Obserwujemy dwa zjawiska, które wpływają na nasz stan psychiczny. Jednym jest sama pandemia i to, co przyniosła. Świat się zatrzymuje – zupełnie od nas niezależnie i, jak początkowo mogłoby się wydawać, błahe wydarzenie powoduje, że trafiamy do rzeczywistości jak z filmu katastroficznego. Musimy zmierzyć się z zagrożeniem, na które nie mieliśmy żadnego wpływu, i z niepewnością, co będzie dalej. W ślad za tym pojawia się mnóstwo negatywnych emocji. Drugie zjawisko to samo zachorowanie na COVID-19 oraz psychiatryczne konsekwencje przejścia tej choroby.

Zacznijmy od pierwszego. Co robił nam lockdown?

Na wiosnę ubiegłego roku czuliśmy grozę. Wszystko wydawało się nierealne, jak puszczany wtedy kilka razy film „Epidemia strachu”. Gdy przekładaliśmy konferencje i wyjazdy, myśleliśmy, że to góra na trzy miesiące, że w czerwcu się uspokoi, a na jesień będzie po wszystkim. A tu się okazało, że wciąż nie wiadomo, jak się to skończy i jak nasz świat będzie wyglądał po pandemii. Pojawił się przewlekły stres.



ANDRZEJ BANAS // POLSKA PRESS / EAST NEWS

*Ogród społeczny,
w którym mieszkańcy
mogą doglądać
posadzonych ziół,
warzyw i drobnych
owoców. Dziedziniec
Urzędu Miasta
Krakowa, czerwiec
2021 r.*

Reakcja stresowa w swojej ostrej postaci jest naszym sojusznikiem – pozwala na podjęcie walki lub ucieczki. Uruchamia się hormonalna oś stresu: podwzgórze–przysadka–nadnercza, dochodzi do wyrzutu kortykosterydów, następuje ogromna mobilizacja organizmu. Ale przystosowawczość tej reakcji opiera się na tym, że gdy zagrożenie mija, następuje zwrotne hamowanie osi stresu i reakcja ulega samowygaszaniu. Natomiast w sytuacji niepewności, niemożności podjęcia walki lub ucieczki przed niewidzialnym, podstępny wrogiem reakcja stresowa trwa przewlekłe. Takie „zatrucie” hormonami stresu jest podłożem zaburzeń nerwicowych, wiele teorii wska-



zuje też, że jest jednym z mechanizmów prowadzących do depresji.

To biologiczne podłoże stresu odzwierciedla problemy, z którymi ludzie musieli się borykać w sensie psychopatologicznym.

Do wszystkiego, o czym mówiłam, doszło jeszcze nieustanne bombardowanie złymi wiadomościami, ludzie wręcz obsesyjnie sprawdzali, ile jest zachorowań, ile osób zmarło w ich regionie. A wkrótce później pojawiły się także utrata i żałoba, bo w miarę kolejnych fal coraz więcej osób traciło kogoś ze swojego otoczenia. Efektem były reakcje lękowe i depresyjno-lękowe zaburzenia adaptacyjne, w dłuższej zaś perspektywie także różne

objawy z kręgu zespołu stresu pourazowego.

Jak sytuacja wygląda z perspektywy psychiatry?

U moich pacjentów zaobserwowałam, że całkiem nieźle radzili sobie ci, którzy już wcześniej chorowali, bo byli przyzwyczajeni do izolacji. Choć, oczywiście, miała ona dla nich efekt antyterapeutyczny – pacjentów staramy się przecież integrować z innymi. Zanim zorganizowaliśmy się do pracy w warunkach pandemii, nie działały oddziały dzienne, warsztaty terapii zajęciowej i inne formy rehabilitacji pacjentów. Konsekwencje widzimy teraz. W tym roku pojawiły się

już publikacje pokazujące, jak bardzo u pacjentów ze schizofrenią nasiliły się apatia, wycofanie, niezdolność do odczuwania przyjemności. Ale gdy chodzi o subiektywne odczucia tych pacjentów, znosili to wszystko nader nieźle.

Natomiast negatywnych emocji doświadczały osoby do tamtego momentu funkcjonujące bardzo dobrze. Pandemia uruchamiała u nich negatywne schematy poznawcze. Jedną z moich pacjentek, bizneswoman, choć nigdy wcześniej nie chorowała, doznała bardzo silnych stanów lękowych. Okazało się, iż była wychowywana przez neurotyczną, lękową matkę i od dzieciństwa wpajano jej, że świat nie jest bezpiecznym miejscem, ➔

→ że w każdej chwili wszystko może legnąć w gruzach. Pandemia stała się dla niej spełnieniem przepowiedni. Dopóki wszystko było okej i ta kobieta pracowała, odnosząc sukcesy, nie miała żadnych objawów.

Podobnie było z osobami, które dobrze funkcjonowały w rodzinach, ale gdy nagle musiały zostać w domu, zaczęły się konflikty, dochodziło wręcz do agresji i przemocy – nawet ludzie, którzy się kochają, gdy przyszło im siedzieć razem 24 godziny na dobę, odkrywali często, że nie mogą się znieść. Tak długo, gdy chodzili do pracy i szkoły, a widywali się na chwilę wieczorem, problemy, nawet jeśli były, to się nie ujawniały, bo uciekano od nich w inne zajęcia. Dopiero w pandemii trzeba było z nimi stanąć twarzą w twarz. Widziałam też bardzo dużo dramatycznych stanów lękowych u osób starszych...

...którym wszyscy powtarzaliśmy, że są najbardziej zagrożone.

U nich zauważyłam bardzo szybko postępujący proces starzenia się. Bo dla sprawności psychicznej starszej osoby najlepiej jest, gdy prowadzi życie towarzyskie, ma zainteresowania i zajęcia. A tu nagle przyszło zamknięcie, i to jeszcze w sytuacji zagrożenia. Pamiętam pacjentkę, która nie była nawet w stanie wpuścić do domu wnuka przynoszącego jej zakupy, musiał je zostawiać pod drzwiami i odejść – a ona cała się trzęsła ze strachu. Zachowania, które same w sobie były racjonalne, też napędzały lęk, a wraz z nim bezsenność i objawy somatyzacyjne. Za tym zaś idzie zapotrzebowanie na leki uspokajające i nasenne, co w dalszej perspektywie wiąże się z ryzykiem uzależnienia, a u starszych osób nie wpływa dobrze na funkcje poznawcze. U osób z początkiem otępienia psychiatrzy obserwowali podczas pandemii bardzo dużą progresję tego stanu.

Drugie zjawisko wpływające na stan psychiczny dotyczy tych, którzy przeszli covid. Rozróżniła Pani tu efekty choroby i efekty chorowania.

Mamy tu sytuację złożoną – wpływ czynników psychologicznych i biologicznych.

Zaczynając od psychologicznych: nawet przy lekkim przebiegu, w świadomości chorującego covid jest czymś innym niż grypa. Chory wypadł ze świata, stał się „zakaźny”, „covidowy”, niemal

Świat wraca do pewnej normy, więc trzeba rozsądnie do tej normy wrócić razem ze światem.

Zacząć się spotykać i powoli wszystko odbudowywać.

„trędowaty”. W pierwszej fali okresy kwarantanny były absurdalnie długie – wymagano dwóch ujemnych testów wymazowych, a u niektórych, choć sami już nie zarażają, resztki materiału genetycznego wirusa potrafią się utrzymywać przez wiele tygodni. Znam więc osoby, które przez 2–3 miesiące były uwięzione w domu, z całym tym odium i lękiem, że mogą kogoś zakazić.

Chorzy słuchali też o przypadkach gwałtownych pogorszeń, i to w kontekście zapaści systemu opieki zdrowotnej. O ludziach wożonych karetką z miejsca na miejsce przez kilkanaście godzin, o tym, że nie można się dostać do szpitala. Więc nawet ktoś, kto chorował lekko, miał prawo się bać.

Ci zaś, którzy przechodzili covid ciężko i trafiali do szpitala, znajdowali się w środowisku, które już samo w sobie jest dla przeciętnego człowieka mało przyjazne – a w pandemii nabrało jeszcze dodatkowo groźnych cech: izolacja, brak odwiedzin, kontaktu z rodziną i w ogóle z ludźmi, zamiast których widziało się postacie w skafandrach. Bywało, że ktoś na łóżku obok się pogarszał, trafiał pod respirator, umierał. Po czymś takim pacjenci mają prawo przeżywać objawy związane z zespołem stresu pourazowego.

Czyli PTSD, które kojarzy się właściwie z sytuacjami wojennymi. Jak się objawia?

Dziś pojęcie to używane jest szerzej, dotyczy nie tylko przeżyć wojennych, lecz sytuacji przekraczających normalne doświadczenie człowieka. Choć pytanie brzmi: co to znaczy „normalne doświadczenie”. Objawy PTSD widzimy u ofiar katastrof naturalnych, wypadków, napadów czy gwałtów, ale też u ofiar mobbingu. Opisuje się już także pojawianie

się go w związku z pandemią – w postaci bezsenności, intruzyjnych wspomnień, momentów silnego lęku związanego ze wspomnieniami z np. oddziału covidowego.

A co naszemu układowi nerwowemu robi sam wirus? Bo nie chodzi tu tylko o utratę węchu.

Wirus i powodowana przezeń choroba to też biologia – a SARS-CoV-2 okazał się wirusem neurotropowym, czyli zdolnym do pokonania bariery krew–mózg i szkodliwego oddziaływania na komórki nerwowe. Poza tym uszkadza on śródbłonek naczyń, również naczyń mózgowych – neurologi obserwowali to w postaci powikłań udarowych, ale oprócz dużych udarów uszkodzenie śródbłonna powoduje też mikroudary, które mogą skutkować różnymi zaburzeniami neuropsychiatrycznymi, w tym pogorszeniem się funkcji poznawczych.

Kolejny biologiczny skutek to tzw. burza cytokinowa, czyli bardzo gwałtowna, nadmierna reakcja układu immunologicznego. Wydzielają się w niej interleukiny, związki biorące udział w procesach odpornościowych, a wśród nich też takie, których nadmiar obserwuje się także u pacjentów z depresją – jedna z teorii depresji pokazuje jej związek z rodzajem przewlekłego stanu zapalnego organizmu. Są już publikacje pokazujące, że u pacjentów, którym w burzy cytokinowej podczas covidu podawano leki hamujące interleukiny, jak np. Tocilizumab, obserwowano później mniej stanów depresyjnych niż w całej populacji.

Również samo leczenie, np. sterydami, może nieść efekty uboczne w postaci nawet powikłań psychiatrycznych, ale najczęściej – zaburzeń funkcji poznawczych czy stanów depresyjnych. I może najważniejsze: wirus powoduje niewydolność oddechową, a ta skutkuje niedotlenieniem. Ono zaś silnie działa też na mózg.

Według pojawiających się już dziś publikacji, mniej więcej jedna trzecia ozdrowieńców ma w dłuższej perspektywie różnego rodzaju objawy psychopatologiczne: zaburzenia funkcji poznawczych, stany lękowe, bezsenność, letarg, utrata energii i stany depresyjne – to te najczęściej opisywane.

Wśród czynników mogących prowadzić do depresji wymienia się wiele zjawisk, które przyniosł

lockdown: izolację, samotność, deprywację. Pandemia pozbawiła nas też źródeł codziennych radości – przewlekły stres, utrata pracy, niepewność przyszłości. Według badań Wydziału Psychologii UW, w grudniu 2020 r. w grupie ryzyka klinicznego nasilenia objawów depresji znajdowało się 29 proc. kobiet i 24 proc. mężczyzn. Czyli pandemia silnie sprzyja rozwojowi depresji?

Widzimy to wyraźnie. U naszych pacjentów, którzy chorowali na depresję jeszcze przed pandemią, jej skutki zaczynamy obserwować właśnie teraz, bardziej niż na początku. Także dlatego, że w pandemii załamała się dostępność do opieki zdrowotnej i psychoterapii. A zdalne leczenie nie jest tu skuteczne ani wręcz możliwe. W psychiatrii internet nie zastąpi kontaktu z drugim człowiekiem.

Istnieją objawy depresji, które nie kojarzą się z nią na pierwszy rzut oka – może być ona maskowana chociażby „byciem dzielnym”, uśmiechem, czyli postawami częstymi w lockdownie, gdy trzeba się było zająć dziećmi czy choćby pielęgnować poczucie, że wszystko będzie dobrze.

A do tego dochodzi tak zwana „męska” depresja – która oczywiście nie musi się wiązać z płcią – przejawiająca się zachowaniami typu *acting out*, czyli niekontrolowanymi, destruktywnymi wybuchami napięcia, agresją, drażliwością, nadużywaniem alkoholu, którego wzrost spożycia też obserwujemy w pandemii, podobnie jak wzrost zachowań agresywnych i przemocy domowej.

Dały się zaobserwować jakieś przejawy depresji specyficzne dla pandemii?

Nie spotkałam się z badaniami, które by pokazywały pojawienie się innych objawów depresji niż dotąd znane. Ta specyfika tkwi gdzieś indziej: depresja pojawia się w różnych rozdziałach klasyfikacji chorób – wśród chorób afektywnych, ale też wśród zaburzeń nerwicowych. I to właśnie depresji z tego drugiego rozdziału, czyli zaburzeń depresyjnych i lękowych mieszanicy oraz depresyjnych zaburzeń adaptacyjnych, jest w pandemii więcej. Nie są może one bardzo głębokie, ale istotnie upośledzają jakość



GRAZYNA MAKARA

PROF. DOMINIKA DUDEK jest psychiatrą, specjalizuje się m.in. w psychiatrii klinicznej i zaburzeniach depresyjnych. Kieruje Katedrą Psychiatrii i Kliniką Psychiatrii Dorosłych Collegium Medicum UJ, została wybrana prezeską Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego na lata 2022–2025.

życia i funkcjonowania oraz powodują ogromne cierpienie.

Natomiast jako poniekąd specyficzną dla depresji w pandemii można by wskazać hipochondryzację objawów, skupienie na somatyce. Osoby pocovidowe z zaburzeniami depresyjnymi bardzo długo nie mogą się pozbierać, odczuwają zmęczenie, mgłę covidową i trudno u nich często rozróżnić, ile w tym depresji, a ile owego biologicznego ogona covidowego, o którym wspominałam.

Na jakie więc objawy trzeba u siebie czy u bliskich zwrócić szczególną uwagę?

Na to, gdy złe samopoczucie utrzymuje się przez dłuższy czas, a więc nie trwa dwa dni, lecz dwa tygodnie i dłużej. Gdy istotnie wpływa na funkcjonowanie, bo zwykajny smutek pozwala normalnie żyć – wstać, umyć się, zjeść śniadanie i iść do pracy; w stanach zaś depresyjnych wymagających interwencji funkcjonowanie nawet na tak podstawowym poziomie jest istotnie zaburzone. A także na to, gdy nie działają żadne nasze sposoby na smutek. Jednym z oświadczeń objawów choroby jest anhedonia, niemożność odczuwania przy-

jemności. Człowiek nie może sobie pomóc czymś, co go cieszy, bo nic go nie cieszy.

Trzeba też zwrócić uwagę na takie objawy, jak przewlekłe zmęczenie, brak energii czy wręcz tzw. niespecyficzny zespół chorobowy – gdy człowiek po prostu czuje się chory. Trochę tak jak przy infekcji, gdy oprócz kataru i kaszlu po prostu w trudny do zdefiniowania sposób coś nam jest.

Przychodzi też depresyjny styl myślenia – z niską samooceną, poczuciem winy, przekonaniem, że to, co złe, zostanie na zawsze, a będzie już tylko gorzej. I to, czego w depresji najbardziej się obawiamy: myśli samobójczej, które częściej są, niż ich nie ma. Pamiętajmy, że w nawracającej depresji 15 do 20 proc. pacjentów popełnia samobójstwo.

Mówiliśmy o PTSD. Czy skoro dotyczy ono ludzi, którzy doświadczali sytuacji ekstremalnych, to grupą szczególnego ryzyka są tu pracownicy ochrony zdrowia?

Bez wątpliwości – i pokazują to już badania. Grupa ta jest szczególnie narażona na przewlekły stres, a co za tym idzie – na zaburzenia lękowe, PTSD czy zaburzenia depresyjne. Ale wzrasta w niej też spożycie alkoholu. Personel medyczny znalazł się w sytuacji bardzo trudnej. Na początku nie dość, że stanęli przed nieznanym, to brakowało środków ochrony. Często się izolowali – żeby nie narażać rodzin, a to niosło kolejny ogromny stres. Doszedł też stres związany z hejtem – tymi haniebnymi aktami ostracyzmu, gdy lekarzom i pielęgniarkom rysowano samochody, a ich dzieciom zabraniano się bawić z innymi, bo roznoszą zarazę. Bardzo trudne było wreszcie doświadczenie śmierci pacjentów i własnej bezradności. Nie było na dobrą sprawę leczenia, a pacjent, który przyjeżdżał w niezłym stanie, potrafił się gwałtownie pogorszyć i następował koniec.

Tak z depresją, jak i z PTSD nie da się sobie poradzić samemu.

Trzeba iść do specjalisty. Nie zawsze musi to być psychiatra, bardzo wzrasta zapotrzebowanie na psychoterapeutów, co obnaża kolejne słabości systemu – bo dostęp do psychoterapii jest wciąż zbyt mały. W publicznym systemie zdrowotnym na termin czeka się bardzo długo, ale i w prywatnych gabinetach ich brakuje – nie mówiąc tu o kosztach.



→ **Więc po pandemii zapotrzebowanie na psychiatrów i psychoterapeutów będzie niepomiarne większe, a system mamy nieefektywny, niedofinansowany i zaniedbany?**

Tak, choć pandemia w Polsce nałożyła się na trwającą od paru lat reformę psychiatrii, która jest dobrym kierunkiem ku nowoczesnej ochronie zdrowia psychicznego. Dramatyczny kryzys było widać zwłaszcza w psychiatrii dziecięco-młodzieżowej, a specjaliści są dziś przerażeni tym, co rok pandemii i zdalnej szkoły zrobił z dziećmi i młodzieżą.

Z dziećmi psychologiczne skutki pandemii zostaną chyba szczególnie długo?

Tak, bo przyszła w okresie ich życia, w którym powinny się jak najmocniej socjalizować. Nauczanie – pal szyć, można nadrobić, a pewne rzeczy wręcz odpuścić. Ale szkoła to przede wszystkim kontakty – z nauczycielami, rówieśnikami, wspólne sprawy, projekty, ale też wycieczki, zwiewanie z lekcji i robienie. Cała szkolna społeczność jest niesamowicie ważna rozwojowo.

Dzieci szczególnie też dotknął kryzys rodziny, jak wspomniane już problemy małżeńskie rodziców, awantury czy wręcz przemoc. Przybyło też uzależnień, zwłaszcza od internetu – z kompulsywnym graniem czy tworzeniem sobie wirtualnej rzeczywistości i koncentrowaniem się na wymyślnym świecie.

Jak wykorzystać wakacje, żeby młodym ludziom przyniosły ulgę na dłużej?

Pomóc im wejść z powrotem w życie społeczne, w kontakty z rówieśnikami. Może dzieci mogłyby pojechać na wspólny wyjazd, kolonie, obóz. Poza tym – stymulować zainteresowania dziecka, robić z nim cokolwiek wspólnego. I rozmawiać z nim o emocjach, również tych trudnych.

Czy powrót do świata po pandemii będzie psychicznie i emocjonalnie łatwy?

Niekoniecznie – choćby dlatego, że przyzwyczailiśmy się, choć w różnym stopniu, do izolacji. Co więcej, wielu z nas pandemicznie funkcjonowanie przyniosło niespodziewane korzyści.

Praca zdalna też ma swoje plusy. A teraz wszystko się znowu będzie zmieniać. Ale chyba raczej dominuje radość, że wreszcie można się przytulić na powitanie.

Niespodziewaną korzyść emocjonalną z pandemii odnieśli też np. introwertycy.

Mam pacjenta z fobią społeczną, który powiedział mi, że pandemia to najpiękniejszy czas w jego życiu, bo wreszcie ma spokój i jest mu dobrze, a jego zachowania, które dotąd uchodziły za dziwactwo, teraz stały się normą i są nagradzane.

Ważne chyba, żeby wracając do normalności myśleć nawzajem o swoich potrzebach: zarówno o tych z nas, którzy tęsknią za przytulaniem i ściskaniem się, jak i o osobach introwertycznych czy wycofanych. Pozwólmy po prostu ludziom być takimi, jakimi są, niech nowa normalność będzie normalna dla wszystkich.

To proszę o poradę – dla tych, którzy obok radości z przyjęcia drugiej dawki odczuwają jednak stres, lęki czy niepokoje.

To nie tak, że z tego typu problemami należy od razu kierować się do psychiatry czy psychoterapeuty. Najbardziej lecząca jest zawsze relacja z drugim człowiekiem, szukanie wsparcia wśród ludzi, nieunikanie rozmów z przyjaciółmi. Zawsze dobrą radą jest nieukrywanie swoich uczuć, niezgrywanie większego chojraka, niż się jest, otwartość i na siebie, i na innych.

A poza tym – choć kolejna fala pandemii na pewno nas czeka – nasz świat wraca powoli do pewnej normy, więc w granicach rozsądku trzeba do tej normy wrócić razem ze światem. Zacząć się spotykać i powoli wszystko odbudowywać. Ludzkość przechodziła przez trudne doświadczenia – a powiedzmy sobie, że pandemia jest doświadczeniem trudnym, przyniosła śmierć i dramaty – jednak nie jest doświadczeniem tak ekstremalnym jak choćby wojna.

Więc potraktujmy ją jak kolejne doświadczenie, bo one – jakkolwiek to w tym kontekście zabrzmiało – zawsze wzbożają.

© Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI



MAREK M. BEREZOWSKI / REPORTER

Rany po pandemii

MACIEJ MÜLLER

Nawet u co trzeciego ozdrowieńca mogą występować objawy długiego covidu. Ich przebieg zależy także od stylu życia. Czyli czegoś, co pandemia nam całkiem zmieniła.

DOROCIE, 40-LATKIE Z SŁUPSKA, WSZYSTKO śmierdzi papierosami. COVID-19 przeszła w trzeciej, wiosennej fali. Po dwóch tygodniach ustała temperatura, bóle mięśni i wrócił jej węch. Tyle że nie takiego powrotu się spodziewała.

Sytuacja Doroty nie jest najgorsza: są pacjenci, którzy wszędzie czują zapach domostwa albo psujące się mięso. Są też tacy, którzy pewne zapachy rozpoznają nadmiernie: ich nosy wyczuliły się na gaz ziemny, dym czy benzynę. Jedną z tkanek atakowanych



Specjalistyczna rehabilitacja dla pacjentów po przechorowanym covidzie. Leczenie ukierunkowane jest na poprawę wydolności wysiłkowej i krążeniowej, sprawności oddechowej oraz wsparcie zdrowia psychicznego. Szpital Specjalistyczny MSWiA w Głuchołazach, kwiecień 2021 r.

przez koronawirusa jest nabłonek węchowy – to dlatego aż połowa zakażonych zauważa zanik powonienia. Bywa, że węch po przechorowaniu nie wraca (nawet w 20 proc. przypadków) albo dochodzi do jego zaburzeń (w tym fantasmii – odczuwania zapachów nieistniejących).

Dorotę niepokoi też kilka innych objawów: kołatanie serca, czasem robi jej się duszno. Są popołudnia, kiedy czuje się tak zmęczona i rozkojarzona, że nie jest w stanie nawet słuchać muzyki. Łatwo zapomina terminy i nazwiska, straciła zdolność łatwego kojarzenia faktów. Badania krwi wskazały na wysoki poziom cukru. Poszła do lekarza rodzinnego, a ten stwierdził: „long covid” – długi covid.

Spustoszenia

Dr Michał Chudzik, kardiolog i internista z Łodzi, jest jednym z europejskich pionierów badań nad długim covidem. Z problemem dziwnych objawów u pacjentów spotkał się przed jesienno-zimową (drugą) falą infekcyjną. – W maju z grupą współpracowników zaczęliśmy badania nad ozdowieńcami – wspomina. – U sporej części wystąpiły zastanawiające objawy, przede wszystkim mgła mózgowa. Nigdy wcześniej nie zetknęliśmy się z czymś podobnym. Byli ogrom-

nie zmęczeni, cierpieli na zaburzenia pamięci, orientacji, zaburzenia poznawcze, węchu i smaku, i to nawet kilkanaście tygodni po przebytej infekcji. Wielu mówiło, że COVID-19 przeszli niezbyt ciężko, a problemy zaczęły się potem.

Lekarze mówią o długim covidzie, kiedy objawy utrzymują się dłużej niż cztery tygodnie po przejściu infekcji SARS-CoV-2. Zdarza się to nawet u co trzeciego ozdowieńca. Najczęściej chodzi o przewlekłe zmęczenie – taki problem zgłasza połowa pacjentów. Ale koronawirus potrafi dokonać spustoszenia w niemal każdym narządzie. Efekt: dysfunkcje ruchowe, oddechowe, zaburzenia funkcji centralnego układu nerwowego, krążenia, krzepnięcia, rytmu serca, duszność, bóle i zawroty głowy, bóle stawów i mięśni, problemy z pamięcią i skupieniem uwagi. Brytyjscy naukowcy z King's College u 9 proc. ozdowieńców zaobserwowali zmiany w płucach mogące świadczyć o zwłóknieniu. Zwrócili też uwagę na wysokie ryzyko wystąpienia choroby zakrzepowo-zatorowej. Lekarze szpitalni mówią o „wysypie” zatorowości płucnej, zawałów i udarów.

Są też tak nietypowe objawy, jak temperatura ciała znacznie niższa od normy, nawet 34-35 stopni Celsjusza. Świadczy to

zapewne, jak sądzi prof. Piotr Jankowski z Instytutu Kardiologii Collegium Medicum UJ, o rozregulowaniu systemów odpowiadających za homeostazę, czyli za równowagę wszystkich procesów w organizmie. Ponadto u co trzeciego ozdowieńca pojawiają się zaburzenia psychiczne i neurologiczne.

Polacy, zapytani niedawno przez agencję Inquiry o problemy zdrowotne, z którymi obecnie borykają się częściej niż przed pandemią, wskazywali na poczucie zmęczenia (45 proc.), brak energii do działania (42 proc.), stres (42 proc.), przygnębienie i smutek (41 proc.) oraz niepokój i strach (41 proc.).

Pandemia COVID-19 po wprowadzeniu szczepień zdaje się być pod częściową kontrolą. W Polsce akcja zwalnia: zaszczepiliśmy przynajmniej jedną dawką 40 proc. populacji i nie ma nadziei, byśmy do końca wakacji dobili choćby do 60 proc. Odporności zbiorowej jako społeczeństwo więc nie nabędziemy, niemniej koronawirus raczej już nie sparaliżuje szpitali w takim stopniu, jak przy poprzednich falach. Sam covid to tylko jedno z zagrożeń.

Długi covid to jeden z dowodów na to, że rany po pandemii będziemy lizać długo. Rzućmy okiem tylko na skutki ekonomiczno-społeczne: w 2020 r. ZUS zarejestrował prawie 650 tys. zwolnień lekarskich z powodu COVID-19 w okresie po izolacji sanitarnej (czyli chodziło o utrzymujące się objawy). 17 proc. spośród tych osób potrzebowało do 20 dni na powrót do zdrowia, 3 proc. – jeszcze dłużej. Niektórzy nie byli w stanie podjąć pracy przez kilka miesięcy.

Dziki w centrum miasta

Czym właściwie jest długi covid? – To częściowo powikłania po COVID-19, a częściowo dolegliwości, których przyczyn nie potrafimy do końca określić – przyznaje dr Chudzik. – W wynikach badań nie obserwujemy żadnych anomalii. Bo klasycznym powikłaniem jest np. nietypowe ciśnienie po zawale serca. Tutaj zachodzi natomiast coś niezrozumiałego – widzimy objawy, ale nie potrafimy wykręcić ich przyczyny.

W takiej sytuacji nie można po prostu otworzyć podręcznika z danej dziedziny czy wyszukać wytycznych postępowania publikowanych przez światowe towarzystwa naukowe. Dr Chudzik: – Musimy na bieżąco obserwować, →

→ dyskutować, wymieniać doświadczenia. Są oczywiście hipotezy, skąd długi covid się bierze. Wiadomo, że po infekcjach wirusowych może wystąpić zmęczenie: opisywano takie pojedyncze przypadki po cytomegalii, zakażeniu wątroby czy po grypie. Ale to taka kazuistyka medyczna. Tymczasem tu mamy do czynienia ze zjawiskiem dotyczącym nawet kilkanaście procent ozdrowieńców po chorobie epidemicznej, która sama jest masowa.

I groźna. COVID-19 jest chorobą podstępna, potrafi wzmocnić niedostrzegalne dotychczas objawy chorób współistniejących bądź zastrzyć objawy tych, z którymi pacjent dotychczas dobrze funkcjonował. Diabetycy doświadczają dużych wahań poziomu cukru we krwi, u pacjentów z ustabilizowaną dzięki lekom przewlekłą obturacyjną chorobą płuc nasilają się duszności.

O możliwej genezie długiego covidu mówił podczas wykładu wygłoszonego w ramach „Covidowych piątków” organizowanych przez dr. Pawła Grzesiowskiego profesor immunologii Grzegorz Dworacki. Objawy wiążą się prawdopodobnie z przedłużoną reakcją zapalną. Wirus powyżej 20. dnia od zakażenia rzadko zachowuje zdolność do replikacji. Objawów nie powoduje więc patogen, ale nasz własny układ odpornościowy. Innymi słowy: koronawirusa może już w organizmie nie być, ale uruchomione przez niego stany zapalne trwają. Ogłupiony układ odpornościowy działa pełną parą, mimo że wroga dawno nie ma.

Problem bierze się prawdopodobnie stąd, że SARS-CoV-2 potrafi pokonywać barierę krew-mózg, która w większości przypadków znakomicie chroni układ nerwowy przed patogenami (stąd liczne objawy neurologiczne COVID-19). To duży problem, bo wirus trafia do miejsc, w których układ immunologiczny nie może wywołać stanów zapalnych, by nie uległy one uszkodzeniu. „Wirus potrafi się tam dostać i trwać, jak dziki w środku miasta, które wiedzą, że nikt nie będzie tam do nich strzelał” – tłumaczył obrazowo prof. Dworacki.

W rezultacie w centralnym układzie nerwowym, do którego przeciwciała nie mają wstępu, może dochodzić do procesów zaburzających normalne funkcjonowanie. Układ nieustannie odbiera sygnały o trwających w organizmie procesach zapalnych – stąd ma się brać przewlekłe zmęczenie. Organizm chce oszczędzić

Rehabilitacja daje dobry efekt. Chodzi nie tylko o aktywność ruchową, ale też dietę i suplementację. Często potrzebne jest wsparcie psychologa.

dziać siły do walki z chorobą i nie pozwala na żaden inny wysiłek. Badania mające wyjaśnić szczegółowo ten mechanizm są w toku. Istnieją pewne tropy, ponieważ zespoły przewlekłego zmęczenia trwające ponad pół roku obserwowano po infekcjach wirusem grypy, eboli czy koronawirusami SARS-CoV-1 (który wywołał epidemię w 2003 r. w Azji) oraz MERS-CoV.

Spać przed 23.00

Fakt, że przyczyny długiego covidu nie są znane, nie oznacza, że lekarze są bezradni. – Szukamy analogii z innymi chorobami – tłumaczy dr Chudzik. – Męgła mózgowa przypomina tzw. łagodne zaburzenia poznawcze, które o 10-15 lat poprzedzają chorobę Alzheimera czy Parkinsona. Lecząc takich chorych, robimy wszystko, by nie rozwinął się u nich pełny zespół otępienny. W przypadku długiego covidu postępowanie jest podobne.

Co więc można zrobić? – Istotna jest kontrola ciśnienia krwi. COVID-19 u 10-20 proc. pacjentów spowodował nadciśnienie, którego wcześniej nie mieli. A nadciśnienie uszkadza małe naczynia mózgu i wzmacnia objawy neurologiczne. Po drugie – tłumaczy dr Chudzik – pilnujemy poziomu cukru we krwi. Aż 30 proc. osób, które do tej pory nie miały żadnych problemów na tym tle, nie brały leków, po infekcji ma wysoki poziom glukozy. Czyli tylko pozornie są one zdrowe, ale tak naprawdę cierpią na przewlekłe zaburzenia metaboliczne. Po trzecie, zalecamy pacjentom dużo ruchu, a także angażowanie się w życie społeczne, bo aktywność opóźnia rozwój demencji. Przesiadywanie przed komputerem działa wprost przeciwnie, jeszcze bardziej nasila zaburzenia mózgowe.

Kardiolog podkreśla, że przebieg choroby w dużym stopniu zależy od stylu życia. Prowadzi szczegółowy rejestr wszyst-

kich swoich pacjentów. – 12 proc. spośród tych, którzy ciężko przechorowali COVID-19, pracowało w nocy, 15 proc. zasypiało po północy, a 77 proc. zgłaszało zaburzenia snu – relacjonuje lekarz. – Dla zdrowia istotny jest nie tyle czas snu, ile to, o której godzinie zasypiamy. Najlepiej się położyć przed jedenastą. Bo wtedy, w pierwszych trzech godzinach snu, w mózgu wydzielą się najwięcej melatoniny, związku istotnego dla odporności. Jeżeli przegapimy to okienko, układ immunologiczny nie będzie miał jak się regenerować. Dla jakości snu fatalny jest też zwyczaj zasypiania z komórką – niebieskie światło pobudza mózg. Śpijmy więc w ciemnym pomieszczeniu, z dala od ekranów.

Każdemu z pacjentów dr Chudzik i jego zespół starają się wskazać, który element stylu życia w ich przypadku zawiódł i przyczynił się do słabej odporności. – Efektem jest ciężki przebieg COVID-19, a potem ryzyko wystąpienia długiego covidu – podkreśla. – Uważam, że to nawet ważniejszy czynnik niż choroby współistniejące. Osoby z nadciśnieniem czy cukrzycą, ale żyjące zdrowo, wysypiające się, ograniczające stres, o optymistycznym nastawieniu, chorują łżej. Od stylu życia zależy też, jak długo będzie trwała regeneracja.

Terapia na czterotysięczniku

Ucierpięcego na objawy długiego covidu lekarze w pierwszej kolejności wykluczają powikłania, takie jak zmiany zapalne w sercu, uszkodzenie płuc czy nadciśnienie. Kolejnym etapem jest rehabilitacja. NFZ w pierwszej połowie maja opublikował wytyczne na ten temat. Wyśrubowane wskaźniki tzw. skali Barthel, służącej do oceny sprawności chorego, sprawiły jednak, że dokument *de facto* uniemożliwił stosowanie tej formy terapii. Spośród pięciuset pacjentów dr Chudzik nie mógłby wysłać na rehabilitację ani jednego.

– Poprosiliśmy ministra Adama Nierdzielskiego o rozważenie korekty, kilka dni temu ogłoszono nowe zasady, uzgodnione z konsultantem krajowym fizjoterapii – mówi kardiolog. – Dzisiaj lekarz może więc kierować do ośrodków rehabilitacji stacjonarnej (pacjent trafia na 2-4 tygodnie do szpitala) i ambulatoryjnej.

– Rehabilitacja, o ile jest kompleksowa, daje bardzo dobry efekt – zauważa

dr Chudzik. – Chodzi tu nie tylko o aktywność ruchową, ale też odpowiednią dietę i suplementację. Często niezbędne jest wsparcie psychologa. Chory z mgłą mózgową potrzebuje całego zespołu ludzi.

W przychodniach, w których pracuje dr Chudzik, stosuje się dwie nowatorskie metody. Pierwsza to naświetlanie promieniami światła niebieskiego, zwiększające wydzielanie endorfin – substancji, które wpływają na dobre samopoczucie. Jest to pomocne zwłaszcza przy tych zaburzeniach długiego covidu, które łączą się z depresją i stanami lękowymi.

Druga metoda to terapia mitochondria. Mitochondria, czyli struktury odpowiedzialne w komórkach za produkcję energii, mogą ulec uszkodzeniu podczas infekcji. Dr Chudzik: – COVID-19 powoduje przewlekłe niedokrwienie na poziomie bardzo małych naczyń. Niedokrwione komórki mięśniowe nie są w stanie produkować energii, a skutkiem jest poczucie nieustającego zmęczenia. Terapia pobudza mitochondria do większej produkcji energii. Mechanizm jest taki sam, jak w przypadku sportowców, którzy w ramach przyspieszonej regeneracji jadą na obóz w góry, na wysokość 3-4 tysięcy m n.p.m. Pacjent oddycha przez 40-50 minut powietrzem o niskiej zawartości tlenu. To mobilizuje mitochondria.

Wyzwanie

Wiktor, 70-latek z Podkarpacia, dwa tygodnie po ustąpieniu objawów covidu poczuł, że jego stopa drętwieje. Wkrótce nie

mógł chodzić. Lekarz rodzinny wysłał go na badania, które niczego nie wykazały. Wiktor zaczął pielgrzymki do kolejnych specjalistów: kardiolog skierował go do szpitala, gdzie nie potrafiono jednak postawić diagnozy. Trafił do ortopedy – ten stwierdził porażenie nerwu strzałkowego oraz zakrzepicę. I polecił szukać naczyniowca. Podobne historie oraz perturbacje z NFZ-owskimi wytycznymi na temat rehabilitacji każą zapytać o gotowość państwa na zmierzenie się z nową, nie do końca poznaną, a masowo występującą chorobą.

– COVID-19 dotknął wiele osób, które dotychczas nie korzystały z systemu ochrony zdrowia, nie chodziły do lekarza – zauważa dr Chudzik. – Pandemia sprawiła, że nagle kilka milionów pacjentów wymaga konsultacji nie tylko lekarza rodzinnego, ale też specjalisty. A dzieje się to w systemie, który i bez tego już ledwo działał. Dlatego długi covid to ogromne wyzwanie.

Kto będzie go leczył? – Będzie się to odbywało w zwykłych, istniejących dzisiaj poradniach. Z tym że najlepiej poradzą sobie z tym zadaniem te, w których pracują lekarze różnych specjalności – wskazuje kardiolog. – Konieczna jest kompleksowa opieka nad chorym, dlatego warto, żeby w jednym miejscu była możliwość konsultacji np. lekarza rodzinnego, kardiologa i pulmonologa. Kluczowe jest dobre zorganizowanie pracy przychodni. My przyjmujemy miesięcznie imponującą liczbę pacjentów, ale zawdzięczamy

to m.in. temu, że asystentki medyczne i pracownicy administracji biorą na siebie wszystkie zadania organizacyjne: kody dla NFZ, wypisywanie skierowań itp. Dzięki temu lekarze cały swój czas mogą przeznaczyć dla chorego.

Leczeniu long covid pomoże decyzja ministra o zdjęciu limitów ze świadczeń specjalistycznych. Od lipca każdy lekarz specjalista pracujący na NFZ będzie mógł przyjąć wszystkich, którzy się do niego zgłoszą.

Szlachetne zdrowie

Tak psychiatrzy, jak i lekarze „od ciała” mówią zgodnie, że pandemia dotknęła nas bez względu na to, czy uchroniliśmy się przed koronawirusem. Dr Chudzik: – Mam pacjentów, którzy mówią: nie przechodziłem infekcji, ale czuję się wyczerpany. To kwestia lockdownów, utrudnień w życiu codziennym, braku zwyczajnych kontaktów z ludźmi. Nie znam poza tym osoby, która nie straciłaby przez ostatnie półtora roku kogoś bliskiego. A taka śmierć powoduje poważną traumę. Wielu też żyje z poczuciem winy, że przywlekli wirusa do domu, a w rezultacie ktoś bliski zmarł. To są poważne problemy o długotrwałych skutkach.

– Jeśli można powiedzieć, że coś zawdzięczamy pandemii, to że zaczęliśmy bardziej dbać o zdrowie – obserwuje kardiolog. – Mamy świadomość, jak jest ważne i jak łatwo je stracić.

© © MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabin,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław
Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław
Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Kadzidło



SZLAKI KARAWAN WIOŻĄCYCH WONNOŚCI z Syrii do Egiptu nieuchronnie przebiegały przez Ziemię Izraela. Na mile techące nosy acz kosztowne towary znajdowali się kupcy również wśród lokalnych elit, nie wyłączając władcy. Najmędszy z synów

króla Dawida, który sprowadzał wonności do Jerozolimy, skonstatował, iż olejek i kadzidło rozweselają serce człowieka.

Gdyby nie wszechobecny środek zapachowy, wchodząc do Świątyni niechybnie doznawalibyśmy dysonansu poznawczego. Śwąd składanych ofiar nie licował z chwałą Bożą, której pragnęlibyśmy doświadczyć w tym miejscu. Dla zapobieżenia waporom, do nieomal wszystkich ofiar ze zwierząt dodawano kadzidło. Oddzielna ofiara z samych wonności zbiegała się w czasie z codzienną poranną i wieczorną ofiarą nieustanną. Prawdopodobnie korzystano wprawdzie z trybularzy, aż do czasu wzniesienia specjalnego ołtarza przeznaczonego do spalania kadzidła. W najświętszy dzień roku arcykapłan brał ze sobą jego dwie miary oraz rozżarzone węgle w złotym naczyniu liturgicznym. Po wejściu do Świętego Świętych sypał kadzidło na żar i Arka Przymierza spowijała się aromatyczną mgłą.

Kapłani w Świątyni losowali, czym się mają zająć, i z zapisów wynika, że składanie ofiary z wonności było zajęciem szczególnie pożądanym. Na tę prerogatywę kapłanów targnął się w swej bucie król Ozjasz i został za to srogo ukarany. Zginął też – nieuprawnieni do tego – składający kadzidło lewici, zausznicy Koracha (zob. Lb 16), a nawet uprawnieni dwaj starsi synowie Aarona, albowiem użyli ognia nie pochodzącego z ofiarnego ołtarza. Stąd wniosek, że należy być niezwykle skrupulatnym przy kadzidle, by nie przypłacić uchybienia życiem. Z drugiej strony, kadzidło jest też antidotum na epidemię – Mojżesz polecił bratu posłużyć się nim, by przeciwdziałać plagie, która wybuchła po Korachowym buncie.

W nieliberalnych żydowskich modlitewnikach znajdziemy wśród modlitw porannych opis sporządzania kadzidła oraz jego skróconą wersję na szabat i święta – „*Pitum ha-ketoret*” („Skład kadzidła”), zawierającą m.in. hebrajskie nazwy wchodzących w jego skład korzennych przypraw i żywic. Kabaliści pouczają: staranne odmawianie tego fragmentu z Talmudu ma wielkie znaczenie mistyczne.

Kiedy w 1831 r. w Poznaniu szalała cholera, rabin tego miasta, Akiwa Eiger (vel Eger), nakazał wiernym odmawiać dwa razy dziennie „*Ketoret*”. Do tego zalecił wietrzyć domy i chodzić na spacerów wśród pól. Wprowadził limit wiernych (maksymalnie piętnastu) przy zbiorowych modłach i nakazał ściśle stosować się do wskazówek walczących z epidemią lekarzy. 9 marca ubiegłego roku nad Izraelem latał helikopter z grupą znamienitych sefardyjskich rabinów. Dęto w rogi baranie i trąby, a wśród modlitw wybrzmiało też „Kadzidło”. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Ocalenie przez śmierć



„MIŁOŚĆ CHRYSTUSA PRZYNAGLA NAS, ponieważ przekonaliśmy się, że Jeden umarł za wszystkich, a więc wszyscy umarli. On umarł za wszystkich, aby ci, którzy żyją, nie żyli już dla siebie, ale dla Tego, który za nich umarł i zmartwychwstał. Odtąd

więc już nie znamy nikogo według ludzkiej oceny. I chociaż w ten sposób poznaliśmy Chrystusa, teraz już nie tak Go poznajemy. Jeśli ktoś jest w Chrystusie, jest nowym stworzeniem. To, co dawne, przeminęło, a nastało nowe”. Tak mówi Paweł Apostoł.

No i z tą Chrystusową nowością mamy największy kłopot. Owszem, lubimy niespodzianki, niebezpieczne, podnoszące adrenalinę przygody, ale gwarantujące szczęśliwe zakończenie, więc dziejące się na niby. Bywa, że z podobnym nastawieniem podchodzimy do więzi z Bogiem i oczekujemy od Niego, że bez reszty wpisze się w scenariusz, jaki dla Niego stworzymy. A to znaczy, że wszystko będzie się działo po naszej myśli. Tymczasem, mimo trwających tygodniami modłów i praktyk ascetycznych, w realizacji marzeń o szczęściu co i rusz coś nam przeszkadza. Często za te niepowodzenia obwiniamy ludzi i coraz częściej Szatana. To oni psują nam życie. Jednak w świetle przytoczonych słów Pawła wygląda na to, że to Syn Boży podkopuje nam fundamenty szczęścia.

Paweł mówi, że jako chrześcijanie mamy żyć nie dla siebie, ale dla Chrystusa, który z naszej ręki przyjął wyrok śmierci, żeby nikt nie wątpił w prawdziwość Jego miłości. Dlatego wierzymy, że obecnie, tak jak obiecał, żyje On w tych (ale nie tylko), którzy przyjęli Jego sposób na życie. Żyje w Kościele, który jest Jego ciałem, krwią i słowem. Dlatego Jezus nigdy nie żyje sam i jeśli przychodzi, zawsze przyprowadza ludzi, którzy najczęściej nie pasują do przyjętej koncepcji szczęścia.

Chrystus zmartwychwstał – to znaczy przeżył śmierć, gdyż nie mógł opuścić tych, których „dał Mu Ojciec”. Umarł na krzyżu nie dlatego, że zaszła taka konieczność, a tym bardziej żeby uspokoić rozgniewanego Ojca. Powiedział przecież: „Ojciec miłuje Mnie, dlatego że oddaję swoje życie, aby je znowu odzyskać. Nikt mi go nie zabiera, lecz oddaję je z własnej woli. Posiadam bowiem władzę, aby je oddać, jak i ponownie odzyskać. Takie polecenie otrzymałem od mojego Ojca”. Owszem, Bóg ma wszystkie powody, by nas nienawidzić, poza jednym, który rozstrzyga o wszystkim: Bóg nie może przestać kochać. Dlatego możemy ze spokojem powiedzieć, że śmierci, „według ludzkiej oceny” pojmowanej jako unicestwienie czy choćby tylko chwilowe przerwanie życia, nie ma. To jest ta Chrystusowa nowość, to nowe, co „nastało” – życie jest wciąż przed nami. Wierzyć w zmartwychwstanie to wierzyć, że śmierć jest ocaleniem. Choć bywa to piekielnie bolesne już za życia. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Nagi Chrystus

*Wszystko, co ma wartość,
jest wynikiem spotkania,
trwa dzięki spotkaniu
i ustaje, gdy rozdzieli się to,
co się nawzajem spotkało.*

SIMONE WEIL



*Świat i życie to jedno. (...)
Świat szczęśliwego jest inny
niż świat nieszczęśliwego.
Świat szczęśliwego jest
szczęśliwym światem.*

LUDWIG WITTGENSTEIN



TO PIĘKNE, JAK SŁO-
wo odsłania nie-
oczywiste czasem
znaczenia – wtedy
gdy próbujemy
Nim czytać życie

konkretnych osób. Mogliśmy tego do-
świadczyć niedawno, przeżywając
wspomnienie świętej królowej Jadwigi.

Liturgia usiłuje opisać jej życie
i osobę przy pomocy Mateuszowej
Ewangelii o Sądzie Ostatecznym.
Znamy dobrze ten fragment, tak inten-
sywnie przywoływany przez papieża
Franciszka: „Pójdźcie błogosławieni...
Byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem
spragniony, a daliście Mi pić” (zob. Mt
25, 31-46). Pamiętamy padające w nim
dwukrotnie pytanie, stawiane tak przez
sprawiedliwych, jak i przez niespra-
wiedliwych: „Panie, kiedy widzieliśmy
Ciebie głodnym, spragnionym, przyby-
szem, nagim, chorym i w więzieniu?”
(w. 37-39 i 44).

Stawiając owo pytanie razem z Ja-
dwigą, możemy podczas Liturgii usły-
szyć nie jedną, lecz dwie odpowie-
dzi. Pierwszą jest ta wprost wpisana
w tekst i brzmi: w „najmniejszych”.
„Najmniejsi” – ludzie zepchnięci na
ostatnie miejsca w naszym świecie – są
z wyboru Jezusa Jego szczególnym „sa-
kramentem”. Wyobraźnia i czyn miło-
sierdzia pozwalają nie tylko zaspokoić
ich najpilniejsze potrzeby, ale również
odkryć i doświadczyć w nich najgłębszą
i największą godność, jaką jest obraz Je-

dynego Bożego Syna. Bez tego odkrycia
i doświadczenia – czy miłosierdzie rze-
czywiście uzyskuje swój pełny kształt?

Drugim „miejszem” odnajdywania
Syna Bożego, wiecznego Króla i Sę-
dziego, jako „najmniejszego” – miej-
scem, które bardziej od samej naszej pe-
rykopy podpowiada życie i duchowość
Jadwigi – jest kontemplacja Krzyża.
To na Krzyżu widzimy Jezusa zgłod-
niałego i spragnionego („Pragnę!”
– J 19, 28), obdartego z szat i pozbawio-
nego ostatniej sukni, prawdziwie „ob-
cego” – wyrzuconego na społeczne pe-
ryferie (zredukowanego do poziomu
niewolnika), wyniszczonego więzie-
niem i umierającego.

Jadwiga uczy obu tych dróg odnajdy-
wania „najmniejszego” Jezusa. Co wię-
cej, uczy odkrycia ich wewnętrznej har-
monii – prawdziwej i pięknej syntezy.
To synteza – a nie przeciwstawienie! –
kontemplacji i czynu; modlitwy (wy-
bierającej odosobnienie) i twórczego za-
angażowania w przemianę świata. Syn-
teza wpisana w kojarzony powszechnie
z królową symbol dwóch skrzyżowa-
nych ze sobą liter „M”, oznaczających
ewangeliczne siostry: Marię i Martę.
Pierwsza – siedząca u stóp Jezusa i za-
słuchana w Jego Słowo – jest nauczy-
cielką kontemplacji; druga – „uwi-
jająca się wokół rozmaitych posług”
(Łk 10, 40) – uczy czynu miłosier-
dzia. Jadwiga uczy jednego i drugiego
– w harmonii i wewnętrznej dojrzałości
osiągniętej przed 25. rokiem życia. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (20 – 27 VI)

12. niedziela zwykła: Hi 38, 1. 8-11; Ps 107;
2 Kor 5, 14-17; Mk 4, 35-41;

Poniedziałek: Rdz 12, 1-9; Ps 33; Mt 7, 1-5;

Wtorek: Rdz 13, 2. 5-18; Ps 15; Mt 7, 6. 12-14;

Środa: Rdz 15, 1-12. 17-18; Ps 105; Mt 7, 15-20;

Czwartek – uroczystość narodzenia św. Jana

Chrzciiciela: Iz 49, 1-6; Ps 139;

Dz 13, 22-26; Łk 1, 57-66. 80;

Piątek: Rdz 17, 1. 9-10. 15-22;

Ps 128; Mt 8, 1-4;

Sobota: Rdz 18, 1-15; Ps: Łk 1, 46b-50.

53-54; Mt 8, 5-17;

13. niedziela zwykła: Mdr 1, 13-15; 2, 23-24;

Ps 30; 2 Kor 8, 7. 9. 13-15; Mk 5, 21-43.

Wybrał PIOTR SIKORA

ILUZJA RESETU

Wyliczenia, kto zyska, a kto straci na zmianach podatkowych, zepchnęły na dalszy plan kluczowe pytanie: czy Polski Ład to przepis na nowoczesne państwo czy jedynie na nową odsłonę wojny polsko-polskiej?

MAREK RABIJ



OCO W TYM WSZYSTKIM CHODZI? To pytanie od tygodni zadają sobie ekonomiści próbujący odtworzyć ze skrawków rządowych zapowiedzi spójny program podatkowy. Niestety, im dalej od premiery, tym dłuższa staje się także lista wątpliwości i pytań wokół nowej wizji polityki fiskalnej PiS-u.

Ostatnie dni obfitują w wypowiedzi przedstawicieli rządu, w których padają obietnice korekty przedstawionych wcześniej założeń na korzyść kolejnych grup podatników. I tak do „ulgi dla klasy średniej”, o której na przełomie maja i czerwca mówił premier Mateusz Morawiecki, doszła nieoczekiwane propozycja obniżki stawek PIT dla prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą, którzy zdecydują się na rezygna-

cję z podatku liniowego. Składka zdrowotna, która do tej pory miała bezwarunkowo zniknąć z listy ulg, bo – jak mówił premier – żaden kraj w Europie nie pozwala na jej odliczenie od podatku, teraz ma stanowić obciążenie rosnące proporcjonalnie do wysokości zarobków. Odpowiedź na pytanie, czy nowy podatkowy ład w tej wersji ma jeszcze coś wspólnego z solidaryzmem społecznym lub poprawą kondycji sponiewieranego przez pandemię budżetu, staje się coraz trudniejsza.

Pewne wydaje się w tej chwili jedynie to, że efektem zmian będzie dalsze pogłębienie polaryzacji między tymi, którzy czują się twórcami sukcesu gospodarczego Polski, a tymi, którzy w swoim mniemaniu padli jego ofiarą.

Paskudne słowo „progresja”

Reakcja opozycji na kierunek zmian podatkowych, który PiS wskazał w pakiecie Polskiego Ładu, potwierdziła niestety to, co o krajowej polityce wiadomo od dawna – że temperaturą debaty publicznej steruje partia rządząca, a jej oponenci sprawiają wrażenie co najmniej pogodzonych z tym stanem rzeczy. PiS-owi kolejny już raz udało się niejako wyznaczyć kierunek ataków na swój projekt poprzez wskazanie grupki najlepiej zarabiających jako tych, którzy w założeniach Polskiego Ładu będą rzekomo musieli zdjąć najgorzej zarabiającym z barków znaczną część zobowiązań podatkowych.

Wysyp powiastek o Janosiku czy Robin Hoodzie, który w imieniu maluczkich łupić będzie odtąd w Polsce bogaczy, →



Spotkanie premiera Mateusza Morawieckiego z seniorami podczas objazdu kraju z prezentacją programu Polski Ład, Żelazowa Wola, 2 czerwca 2021 r.

→ był w tej sytuacji do przewidzenia: politycy Koalicji Obywatelskiej i suflujący publicyści z ulgą wskoczyli w tory znanej opowieści o niszczeniu klasy średniej oraz tłumieniu kreatywności i przedsiębiorczości – cech, jak wiadomo, typowych jedynie dla ludzi sukcesu. Liderzy PiS-u obserwują pewnie to widowisko z zadowoleniem, bo dla ich wyborców ani Janosik, ani Robin Hood nie są symbolami anachronicznych wyobrażeń o solidaryzmie społecznym, w których jednym trzeba zabrać, żeby dać innym, lecz raczej ikonami buntu wobec establishmentu.

Bezsilność opozycji wypływa z tego, że zmiany proponowane przez PiS są w gruncie rzeczy rezultatem trafnej diagnozy. System podatkowy w Polsce trzeba zreformować, bo faworyzuje on bogatszych, zamiast wspierać słabszych (patrz infografika na s. 25) i nie zapewnia dostatecznego wsparcia dla solidnych instytucji publicznych. A nie dlatego, że jest zbyt opresyjny.

Jak to możliwe? Im mniejsze zarobki brutto, tym większy udział stanowią w nich składki emerytalne i społeczne. Dodatkowym czynnikiem zwiększającym obciążenia podatkowe jest podatek VAT, który zarabiający najmniej odprowadzają od niemal całości swoich zarobków, bo niska pensja rzadko pozwala na jakieś oszczędności i wydają wszystko na towary i usługi tym podatkiem objęte. Zamożni dużą część wynagrodzenia mogą bez większych trudności zdeponować na koncie lub zainwestować.

Jeśli państwo polskie jest Janosikiem, to na tle innych krajów jawi się wręcz jako zbój stosunkowo łagodny i mało chciwy. Według danych OECD Rzeczpospolita pobiera obecnie w podatkach trochę powyżej 35 proc. PKB. W grupie krajów rozwiniętych – jeśli odjąć Amerykę Łacińską, gdzie system jest inny niż w Europie – daje jej to pozycję poniżej średniej. Rzecz jasna, z samych procentów nie wynika, że obywatele mają wierzyć w sensowną redystrybucję tych danin, zwłaszcza w wykonaniu rządu, który nie waha się łamać konstytucji, traktuje instytucje państwa jak łup i ma ciągotki do politycznego kapitalizmu. Ze wspomnianych powyżej danych wynika, że jedynie 27 proc. Polaków ufa dziś rządowi i innym instytucjom publicznym. Jeśli nie liczyć Chile, to najgorszy wynik w grupie 37 krajów nale-

żących do OECD. Warto jednak zadać sobie pytanie, czy nie wierzymy państwu, bo działa ono nieskutecznie, czy może działa ono właśnie tak źle dlatego, że mu nie wierzymy.

Podwyżka, czyli obniżka

Tymczasem chyba największym nieporozumieniem związanym z kierunkiem zmian podatkowych przedstawionych w Polskim Ładzie jest powszechne przekonanie, że rząd zacieśnia w ten sposób kordon fiskalnego bezpieczeństwa i zwiększa dochody budżetu. W rzeczywistości jest dokładnie na odwrót: nowelizacja inaczej rozkłada obciążenia podatkowe, zwiększając je najlepiej zarabiającym i dając pewne ulgi gorzej sytuowanym podatnikom, ale bilans całej operacji nie wychodzi nawet na zero.

Gdyby przepisy Polskiego Ładu weszły w życie już od 1 stycznia 2022 r., przyszłoroczne wpływy z PIT byłyby – jak prognozuje samo Ministerstwo Finansów – niższe od tegorocznych o 5,1 mld zł. To jeszcze nie katastrofa, zwłaszcza że podatki od osób fizycznych nie są kluczową pozycją w dochodach budżetu, który zasilają przede wszystkim wpływy z VAT i akcyzy, w kwocie łącznie ponad czterokrotnie wyższej od dochodów osobistych obywateli. Rząd z pewnością liczy też na to, że zmniejszenie obciążeń podatkowych w dolnej części polskiej siatki płac pomoże mu wyciągnąć z szarej strefy zarobki około 1,4 mln pracowników, którzy nadal pobierają pensję pod stołem, i w ten sposób zwiększyć docelowo wpływy z PIT.

Na razie są to tylko pobożne życzenia. Po czterech tłustych latach 2014-18, które przyniosły fiskusowi wzrost dochodów z PIT w równowartości 4,5 do aż 5,2 proc. PKB, nadeszły lata chude. Zmiany, które weszły w życie pod koniec 2019 r. (obniżka stawki z 18 do 17 proc. dla każdego pracownika, którego zarobki mieszczą się w pierwszym progu), ścięły wpływy z PIT do zaledwie 65,4 mld zł. Szacunki Ministerstwa Finansów, które kończy podliczanie ubiegłego roku, również nie stanowią pod tym względem niespodzianki – PIT kolejny rok z rzędu przyniósł budżetowi mniej pieniędzy niż rok wcześniej. W czasie pandemii trudno było, rzecz jasna, oczekiwać czegoś innego, ale 2,5-procentowe tempo spadku wpływów z PIT stanowi jednak zaskoczenie, bo prze-

wyżyło nawet dynamikę hamowania wysokości przychodów z podatku VAT, które w 2020 r. były o 2 proc. niższe niż rok wcześniej.

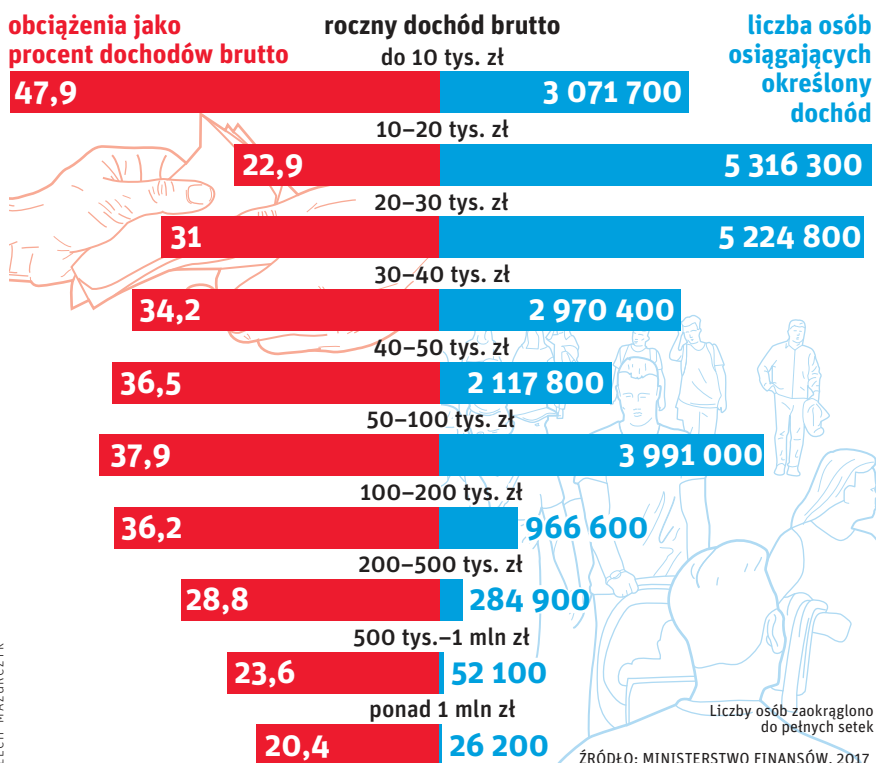
Ekonomiści głowią się więc, w jaki sposób rząd zamierza pogodzić zmiany podatkowe, które pozbawią budżet dochodów, z zapowiedziami zwiększenia nakładów na służbę zdrowia aż do równowartości 7 proc. PKB, fundowania obywatelom wkładu własnego do kredytu na mieszkanie czy dofinansowania nauki. A do tego, pamiętajmy, trzeba będzie spłacać jeszcze rachunki za pandemię. Deficyt budżetowy sięgnął w 2020 r. rekordowej kwoty 85 mld zł. Dług publiczny mierzony metodami unijnymi przekracza już dopuszczalne konstytucyjne pułapy. Ponad pół miliona pracowników budżetówki właśnie dowiedziało się, że w projekcie budżetu na przyszły rok nie ma mowy o waloryzacji płac chociażby o inflację, która obecnie dobija do 5 proc. Nic nie wskazuje również na to, by Narodowy Bank Polski w najbliższych miesiącach zaczął walczyć ze wzrostem cen, studząc nastroje inflacyjne. Przeciwnie, prezes Adam Glapiński nakręca je powtarzając, że do końca jego kadencji żadnych podwyżek stóp procentowych nie będzie.

Wszystko to każe niestety przypuszczać, że strategia rządu opiera się na założeniu, iż gospodarka będzie szybko rosła i w ten sposób relacja długu do PKB zmniejszy się niejako samoczynnie, a dodatkowo niskie stopy procentowe pozwolą na relatywnie taną obsługę zadłużenia. Jeśli tak rzeczywiście jest, to znaczy, że rząd z premedytacją przerzuca dużą część kosztów spłaty długu na najgorzej zarabiających obywateli, którzy w obliczu inflacji mogą tylko zacisnąć zęby i liczyć na hamowanie galopady cen – zwłaszcza produktów spożywczych. Bogatsi, owszem, nie zarobią lub wręcz stracą na nisko oprocentowanych lokatach, ale mogą stosunkowo łatwo wyswobodzić się z inflacyjnej pułapki poprzez chociażby inwestycje w nieruchomości czy zakup papierów wartościowych.

Diabeł tkwi w procentach

Być może dlatego „podatkowy reset” zapowiedziany przez rząd zakłada zmniejszenie obciążeń podatkowych najgorzej zarabiającym przy jednoczesnym dokre-

OBCIĄŻENIA PODATKAMI I SKŁADKAMI WEDŁUG WYSOKOŚCI DOCHODÓW



ceniu fiskalnej śruby elicie polskiego rynku pracy, której z tego powodu nie powinna spaść stopa życiowa. Tuż po ogłoszeniu projektu Polskiego Ładu minister finansów zdradził, że według wyliczeń jego resortu 18 milionów podatników zyska na tych zmianach, dla kolejnych sześciu milionów będą one neutralne, a tylko dwa miliony muszą liczyć się ze stratą. Gdyby w ocenie zmian zatrzymać się na tym etapie, trudno im nie przyklasnąć, ich sednem jest bowiem zwiększenie progresywności polskiego systemu podatkowego. Istotą problemu jest jednak rozłożenie nowych obciążeń.

Jak w praktyce będą one wyglądać, do wiemy się dopiero z chwilą, kiedy nowelizacja nabierze ostatecznego kształtu. Ze wstępnych analiz dr. Pawła Dolińskiego z Uniwersytetu w Bristolu i dr. Wojciecha Paczosa z Uniwersytetu w Cardiff wynika jednak, że projektując nowy podatkowy ład, rząd dość skromnie zwiększył oszczędności tym, którzy co miesiąc zarabiają w okolicach średniej pensji brutto, za to wyjątkowo ła-

godnie potraktował grupę podatników, którzy zarabiają powyżej 200 tys. zł rocznie, zwłaszcza na jednoosobowej działalności gospodarczej. W tym ostatnim przypadku realne obciążenia podatkowe wzrosną z 13 do zaledwie 14,21 proc.

Najbardziej poszkodowani będą natomiast samozatrudnieni, którzy co miesiąc wystawiają faktury na kwotę około 6-11 tys. zł brutto. Rząd najprawdopodobniej zakłada, że większość takich „przedsiębiorców” stanowią *de facto* pracownicy etatowi, jedynie rozliczający się ze swoim chlebodawcą za pomocą faktury, ale stosując taką presję wrzuca ich do jednego worka z ludźmi, którzy naprawdę parają się biznesem na niewielką skalę – chociażby rzemieślników czy prowadzących drobne usługi. Jednocześnie oznacza to, że za rzekomą troską o progresywność podatków kryje się prosty interes fiskalny. Liczba podatników, którzy mogą pochwalić się dochodami powyżej 200 tys. zł rocznie, nie przekracza dziś w Polsce nawet 400 tysięcy. Tych, którzy mieszczą się we wspomnianym

progu 6-10 tys. zł miesięcznie, jest już ponad sześć milionów.

Nie przeszkodziło to jednak politykom PiS-u podkreślać, że Polski Ład stanowi wyraz niezgody państwa na nierówności, których symbolem są milionierzy chowający się przed fiskusem za różnymi sztuczkami księgowymi. Kwestii agresywnej optymalizacji podatkowej – a mówiąc dosadniej, ukrywania dochodów w rajach podatkowych – rządowa nowelizacja nie dotyka w ogóle. Więcej, nie ma w niej także słowa refleksji nad pogłębieniem progresji kosztem najlepiej zarabiających, którzy – jak wynika z analiz wymienionych wyżej ekonomistów – mogliby zostać obciążeni podatkiem na poziomie nawet 45 proc. bez ryzyka, że taka podwyżka podziła na nich demobilizująco. Na razie wszystko wskazuje, że zamiast tego otrzymaliśmy pakiet zachowawczych zmian, dla niepoznaki owinięty w sztandar podatkowej rewolucji oraz kuszącą obietnicę nowoczesnego państwa opiekuńczego – ale bez wskazania, kto miałby się na nie złożyć.

Za wcześniej na odpowiedź, czy towarzysząc Polskiemu Ładowi retoryka walki niemal klasowej, kreśląca wizję społeczeństwa podzielonego na wyzyskujących i wyzyskiwaczy, wilki i owce, uczciwych obywateli i kombinatorów, okaże się na tyle sugestywna, by zająć miejsce opuszczone przez ośmieszoną opowieść o przepływie, który podnosi wszystkie łódki. Za to na pewno tracimy okazję do ważnej reformy.

Podatkowi PIT w przyszłym roku stuknie w Polsce równe 30 lat. Przez większość tego czasu tocząca się o nim dyskusja była oparta na założeniu, że trzeba go obniżyć, a racją stanu polskich finansów jest niski deficyt budżetowy. Resortem finansów – jak głosiła kolportowana wśród ekonomistów anegdota – zarządzili wysłannicy agencji ratingowych, a ministrowie gotowi wejść z nimi w spór – jak Grzegorz Kołodko – odsyłani byli szybko na polityczną boczną. W rezultacie dorobiliśmy się ordynacji podatkowej w wersji *zombie*, pozszywanej z kolejnych zmian wytargowanych przez lobbystów lub wprowadzonych pod wpływem chwili. Nielogicznej i nieprzejrzystej.

Polski Ład będzie jedynie kolejnym chaotycznie przyklejonym plastrzem na jej ciele.

© P MAREK RABIJ



Powietrze

MICHAŁ OKOŃSKI

Wyobraziłem sobie turniej trwający dłużej niż owe rytualne trzy spotkania: otwarcia, o wszystko i o honor. Oraz rodaków, którzy po pierwszym nieudanym zagraniu polskiego piłkarza nie kierują kciuków w dół.

ZMĘCZENIE. TO JEST TO SŁOWO. Klucz do turnieju, który powinien być zostać rozegrany już rok temu. Nie został, bo wybuchła pandemia i na dobrych parę miesięcy wszystkie rozgrywki piłkarskie w Europie zawieszono – a kiedy ostatecznie udało się je dokończyć, to priorytetem okazała się związana, co tu kryć, z dużo większymi pieniędzmi piłka klubowa.

Maszyny i ludzie

Jak tu nie być zmęczonym, jak wykrzesać z siebie entuzjazm do dyscypliny, którą dopiero co targnął paroksyzm Superligi – w której najbogatsze kluby, będące pracodawcami większości kandydatów na największe gwiazdy Euro, próbowały ni stąd, ni zowąd zawiesić fundament sportowej rywalizacji, opierającej się przecież na założeniu, że podczas spotkań na boisku teoretycznie każdy ma równe szanse, i usiłowali stworzyć strukturę, w ramach której grałyby wyłącznie we własnym gronie, żeby zarabiać jeszcze więcej?

Ale zmęczenie nie jest zjawiskiem dotyczącym wyłącznie kibica. Mówią o nim również piłkarze grający w Euro, z których wielu po pandemicznej przerwie – trudno ją przecież było uznać za czas urlopu, bo związaną z pozostawianiem w gotowości i stosowaniem się do przygotowanych przez kluby programów treningu indywidualnego – musiało grać niemal non stop i po skróconych wakacjach ma w nogach nawet sześćdziesiąt meczów. Pytany o to w rozmowie z „The Times” Robert Lewandowski mówi wprost, że czasu na odpoczynek jest za mało, a piłkarzy zmusza się do zbyt wielkiego wy-

siłku: „Władze zapominają, że jesteśmy ludźmi, a nie maszynami” – deklaruje człowiek często do maszyny porównywany, próbując pragmatycznie argumentować, że jakość rozrywki, jaką on i jemu podobni mają nam dostarczać, cierpi w ten sposób, a futbol oglądany zbyt często staje się zwyczajnie nudny.

To również może być jedna z przyczyn zmęczenia. Z powodów, oczywiście, finansowych format mistrzostw Europy rozbudowano do tego stopnia, że gra w nich wiele przeciętnych drużyn (strach napisać: np. Polska), a w związku z tym oglądanie eliminacji do turnieju, podobnie jak meczów tzw. Ligi Narodów, nie wywoływało emocji tak żywych, jak w przeszłości. Z powodów, oczywiście, finansowych rozdzielono również organizację Euro między kilkanaście miast rozsiąanych po całym kontynencie, jeszcze w czasie przedpandemicznym ignorując potrzeby i możliwości finansowe zwykłych kibiców (reprezentacja Polski zagrała pierwszy mecz w Petersburgu, drugi zagra w Sewilli, trzeci ponownie w Petersburgu, a ewentualny awans do kolejnej rundy wiązać się będzie z dalszymi podróżami), o kwestii śladu węglowego nie wspominając. Dziś, kiedy tanie linie nie są już takie tanie, kiedy liczba biletów na mecze jest ograniczona nie tylko w związku z rozdzieleniem niemałej ich części między sponsorów, ale także względami covidowego bezpieczeństwa, dla zdecydowanie zbyt wielu z nas tegoroczne mistrzostwa będą miały wymiar, który w ostatnich miesiącach tak bardzo nam dojadł w tylu innych sferach życia: wymiar wirtualny.

A przecież mam poczucie, że wyliczając i próbując zrationalizować czysto piłkarskie powody zmęczenia (mógł-

Robert Lewandowski podczas treningu, Gdańsk, 10 czerwca 2021 r.

bym jeszcze dodać parę słów o zmęczeniu sztucznością samego futbolu pandemicznego, z pustymi trybunami i serwowanym z offu fejkowym dopingiem), pomijam to najważniejsze: zmęczenie egzystencjalne. Jak wykrzesać z siebie entuzjazm do mistrzostw po tylu miesiącach życia w niepokoju o siebie i najbliższych, o własne i ich zdrowie oraz pracę? Jak cieszyć się grą po tylu miesiącach izolacji i napięć, a w wielu przypadkach także – po miesiącach żaloby? W ostatnich dniach słyszałem to wiele razy: opinię, że oto kolejny raz jesteśmy nabierani, że media, że reklamodawcy, że może politycy także, usiłując odwrócić uwagę od swoich problemów, kolejny raz próbują wprawić nas w stan sztucznego podniecenia.

Wśród niewypowiedzianych niepokojów związanych z mistrzostwami wyczuwam zresztą i ten: przed gniewem ludu, nagromadzonym, skumulowanym i niewyrażonym podczas pandemii, który odbije się teraz na tych, którzy mogą zawieść nasze, kibiców, oczekiwania. Przed falą hejtu, która rozleje się nie tylko po trybunach, ale przede wszystkim po portalach i mediach społecznościowych.

Telefony i wyroki

Jednym z najlepszych tekstów, jakie przeczytałem przed turniejem, był zarazem tekst należący do najprostszych – napisany w formie listu do „drogiej Anglii” przez selekcjonera tamtejszej reprezentacji, Garetha Southgate’a, i od pierwszego akapitu podkreślający, że mówi o rzeczach istotniejszych niż jakiś futbol.

Jestem jednym z was – mówi w zasadzie wprost Southgate – podobnie jak ci, których mi powierzono. Wspomina pierwszy mecz reprezentacji, jaki obejrzał jako chłopiec – i odwołuje się w ten sposób do emocji bliskiej każdemu kibicowi; sami zresztą powiedzcie, czy nie pamiętacie pierwszego meczu Polaków, jaki widzieliście w życiu? Pyta, dlaczego to takie ważne. Pyta, z jakiego rodzaju uczuciami wiąże się świadomość bycia częścią narodowej wspólnoty (nie miejsce tu na opisywanie jego pojmowania patriotyzmu, choć wynika z niego niewątpliwie, że szacunek dla tradycji i wartości poprzednich pokoleń nie może się wiązać z rezygnacją z postępu i wglądu w siebie). Wspomina o pochodzeniu swoich podopiecznych, często potomków migrantów, zwykłe mających za sobą niełatwą drogę do popularności i sławy. W tym przypadku

można dawać także polskie przykłady, choćby wspomnianego już Lewandowskiego, z jego wczesną kontuzją i byciem odrzuconym przez Legię, późniejszym odbudowywaniem kariery na trzecioligowych boiskach, a także z przedwczesną śmiercią ojca. Dziś, gdy faktycznie świetnie zarabia i nosi, o zgrozo, luksusowe zegarki, łatwo zapomnieć o ścieżce, która doprowadziła go na futbolowy szczyt: o wszystkich wyrzeczeniach i wątpliwościach, o reżimie treningowym, o bólu i samotności, a w końcu o tym, że niedługo będzie musiał ten szczyt opuścić.

Piłkarze są też kibicami, przypomina Southgate. Zależy im. Czują dumę z powołania do kadry. Chcą dla niej grać i wypaść jak najlepiej. Poświęcają dla niej zdrowie, nieraz przyjeżdżają z kontuzjami i – jak Błaszczykowski czy Glik przed ostatnim mundialem albo Milik przed tegorocznym Euro – walczą do ostatniej chwili, by zdążyć na wielki turniej i wypaść w nim jak najlepiej. Naprawdę tego chcą. Co spotyka ich w zamian?

„Niestety, żyjemy dziś w innej epoce, gdzie dostęp do piłkarzy nie jest tak łatwy, jak w przeszłości” – pisze angielski trener. Dziś nie ma już szansy na to, by wrócić ze swoim idolem po meczu jednym autobusem albo spotkać go w pubie i pogadać o tym, co poszło nie tak. Ale z drugiej strony przecież piłkarze są obecni w portalach społecznościowych i – możecie mi wierzyć – naprawdę czytają o tym, co ich dotyka.

Kilka dni temu słyszałem, jak Paweł Sołtys wspominał, co spotkało Krzysztofa Warzychę ze strony kibiców Legii, kiedy w 1996 r. napastnikowi reprezentacji Polski przyszło grać na Łazienkowskiej w barwach Panathinaikosu – i o tym, jakim wstrząsem było dla przyszłego pisarza i wokalisty patrzeć na lzy hejtowanego piłkarza w trakcie pomeczowego wywiadu. Ale to były czasy, kiedy wyrażanie kibicowskiej frustracji ograniczało się do dziewięćdziesięciu minut meczu – później łzony zawodnik miał szansę o wszystkim zapomnieć i wrócić do względnie normalnego życia. A dzisiaj? „Są takie chwile, kiedy odzywa się we mnie instynkt ojcowski – wyznaje angielski selekcjoner. – Np. kiedy widzę, jak włączają swoje telefony natychmiast po meczu, zastanawiam się, czy to naprawdę dobry pomysł”. Obrażliwe komentarze na

Twitterze, Facebooku czy Instagramie nie sprawiają, że znieważony zawodnik zaczyna lepiej grać, ba: bywają przyczyną niejednego kryzysu formy, jeśli nie wręcz kryzysu psychicznego – i nieprzypadkowo tej wiosny przez cztery dni świat angielskiego futbolu bojkotował media społecznościowe, by zmusić je do szybszego i bardziej adekwatnego reagowania na mowę nienawiści.

Kciuki i serca

Dlaczego o tym piszę? Bo mam poczucie, że mistrzostwa Europy zaczynają się w szczególnym czasie – kiedy wyrażanie tej nienawiści przychodzi łatwiej niż kiedykolwiek i kiedy może nawet są przyczyny, dla których szuka ona ujęcia. Nie ukrywam więc, że w przypadku drużyn, którym kibicuję, marzy mi się turniej trwający dłużej niż owe rytualne trzy spotkania: otwarcia, o wszystko i o honor (mieszanie tego ostatniego pojęcia do sportu wyjątkowo mnie zresztą irytuje). Wiem, nie ja jeden mam to marzenie, ale w moim przypadku jego źródło nie leży w jakichś niezdrowych ambicjach, narodowej megalomanii, chęci ostatecznego potwierdzenia, że oto faktycznie powstałiśmy z kolan, pragnieniu ogrzania się w blasku sukcesu reprezentacji, tęsknocie za sukcesem politycznym czy komercyjnym.

Myślę raczej o tym, że np. oglądanie poukładanej przez trenera Souśę i mającej swój nowy (tak bardzo świeży, choć wciąż generujący zatrważająco dużą liczbę błędów...) pomysł na grę reprezentacji mogłoby nam przynieść rodzaj oczyszczenia z gatunku tych, które przynosiło oglądanie antycznego teatru. Że zamiast zmieniać Lewandowskiego czy Zielińskiego, o Szczęsnym nie wspominając, w kozły ofiarne, zamiast po pierwszym nieudanym zagraniu kierować kciuki w dół, moglibyśmy cieszyć się i wzruszać, nawet jeśli i tym razem ostatecznie mielibyśmy skończyć śpiewając „Nic się nie stało”.

Sport ma w sobie taką moc. Kiedy Małgorzata Domagalik zadała Jakubowi Błaszczykowskiemu pytanie, co takiego jest w piłce, że warto się dla niej poświęcić, odpowiedział: „Powietrze”. To miał być żart, ale trudno nie dostrzec ukrytej w samym słowie metafory. Jeśli jesteśmy zmęczeni i brakuje nam tchu, przez najbliższy miesiąc możemy nabrać powietrza.

©P



*Agnieszka Oziemczuk, Jadwiga Józefczuk, Ewa Józefczuk, Elżbieta Kucharuk, Jolanta Pełka
– panie z Koła Gospodyń Wiejskich w Dominiczynie, kwiecień 2021 r.*

W czymś jesteśmy najlepsi

TEKST I ZDJĘCIA **ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK**

„Miało nie być Polski A i B, a jest, jak widać” – uważa wójt Starego Brusy. Jak się żyje w najbiedniejszej gminie w kraju?

GDYBY WIĘCEJ ZALEŻAŁO OD KOBIET, to nasza gmina byłaby w czołówce. Nikt by nas palcami nie wytykał. U nas dziewczyny sprytnie, jak nas drzwiami nie wpuszczają, to wchodzimy oknem – mówi Jolanta Pełka, radna gminy Stary Brus i przewodnicząca koła gospodyń wiejskich w Dominiczynie.

Według rankingu Głównego Urzędu Statystycznego z lipca 2020 r. to właśnie Stary Brus w powiecie włodawskim (woj. lubelskie) okazał się najbiedniejszą gminą w skali całej Polski. Dochód w przeliczeniu na jednego mieszkańca wyniósł tu 2362 złote. Jak się żyje jej mieszkańcom?

Gorsze szanse

– Nie pierwszy raz według GUS jesteśmy na ostatnim miejscu. Trudno jednak podjąć takie działania, żeby mieszkańcy gminy z dnia na dzień stali się bardziej zaможni – mówi Paweł Kołtun, wójt w Starym Brusie. – Nie ma przemysłu. Takie gospodarstwa, jak były kiedyś, po trzy, cztery hektary i do tego ze świnkami i dwiema krowami, to dziś przeszłość. W obecnych warunkach mogą utrzymać się rolnicy działający na dużą skalę.

Gmina Stary Brus liczy łącznie 2010 mieszkańców, sama wieś Stary Brus ma ich nieco ponad 400. Grunty raczej niskiej klasy – przeważają gleby V i VI

klasy, więc wpływy z podatków rolnych są niskie. Ludzie utrzymują się głównie z rolnictwa. Paweł Kołtun, który wójtą jest już przez trzecią kadencję, podkreśla, że co prawda gmina jest najbiedniejsza, ale nie ma długów. Szanse dla mieszkańców widzi w turystyce. – Słońce, las i grzyby to nasze atuty – powtarza. Gdy jednak szukam w okolicy noclegu w gospodarstwie agroturystycznym, w internecie nie znajduję żadnych ofert. Także w sklepie spożywczym nikt nie potrafi wskazać rodziny, która zajmuje się taką działalnością. Za to chętnie opowiadają o poziomie życia.

– Kiedyś więcej ludzi brało „na zeszyt”, teraz zdarza się to sporadycznie. A jeśli ktoś już musi, to zawsze oddaje. Dużej biedy po ludziach nie widać – ocenia Diana Madejczyk, sprzedawczyni w Groszku.

Wcześniej Diana pracowała we Włodawie. Wróciła w rodzinne strony, ponieważ tu może liczyć na pomoc matki w opiece nad dziećmi. Choć w mieście zarobki były lepsze, bo tutaj dostaje najniższą krajową, nie narzeka. Podkreśla, że życie tu jest spokojniejsze, można mieć kontakt z naturą, jeść warzywa hodowane we własnym ogródku. Jedyny mankament

to brak równych szans w edukacji. Nie ma kółek zainteresowań i zajęć rozwijających, które w mieście są powszechne. Po całodzienniej pracy niewielu rodziców decyduje się potem dowozić dzieci do Włodawy, na kurs pływania albo naukę gry na instrumencie.

Zbigniew Koszko, emerytowany prezes Spółdzielni Kółek Rolniczych, mówi, że pod tym względem w czasach PRL-u było lepiej. – Kiedyś to były perspektywy, a teraz szkoda gadać. Nie tylko dzieci mogły rozwijać zdolności, bo był na to specjalny fundusz, ale prosty człowiek, jeśli chciał znaleźć pracę, szedł do PGR-u albo do kółka rolniczego i jakoś żył. No i więź międzyludzka była większa. Dziś ludzie kupują w marketach telewizor na całą ścianę i z domu nie wychodzą – podsumowuje Koszko i pakuje zakupy do torby.

Zwolniony na chorobowym

Kościół stoi na uboczu, za murem rozciąga się widok na łąki i las. Wewnątrz chłodno. Ubrana w bezrękawnik Anna Buska myje podłogę, a syn odkurza w zakrystii. Anna ma 54 lata, urodziła ośmioro dzieci: sześcioro z nich poszło na swoje, dwójka jest jeszcze w domu, wkrótce skończą podstawówkę.

– Czasem zastanawiam się, jak ze wszystkim daliśmy radę. Mąż pracował we Włodawie, dostawał najniższą krajową, trzy córki były na studiach, trzy w szkole średniej i dwóch szkrabów w domu. Na szczęście dziewczyny nie były roszczeniowe, same na siebie zaczęły zarabiać – wspomina Anna Buska.

Ona skończyła szkołę zawodową, z wykształcenia jest mleczarką, jednak pracowała głównie jako sprzedawczyni. Teraz zatrudnia ją gmina, na pół etatu: przeprowadza dzieci przez przejście dla pieszych.

– Mąż 33 lata pracował w Spółdzielni Spożywców „Społem”. Gdy zamknęli magazyn, dali mu wypowiedzenie, ale potem uznali, że to za drogo będzie, i zwolnili go dyscyplinarnie, choć był na chorobowym. Później w sądzie pracy przyznali mężowi odszkodowanie, a zakład miał zmienić świadectwo pracy i wypłacić odprawę. Do dziś nic nie dostał, jest na zasiłku.

Jednak Anna Buska nie chce skarżyć się na los. Mówi, że dzieci mądre i zdrowe to jej największy skarb. Żartuje z obiegowych opinii na temat poleskich wsi, że



Kiedyś więcej ludzi brało „na zeszyt”, teraz zdarza się to sporadycznie. A jak ktoś już musi, to zawsze oddaje. Dużej biedy po ludziach nie widać – mówi Diana Madejczyk.



Anna Buska żartuje z obiegowych opinii na temat poleskich wsi, że tam ludzie chodzą za potrzebą za stodołę, nie znają internetu, a ich podwórka toną w błocie.

tam ludzie chodzą za potrzebą za stodołę, nie znają internetu, a ich podwórka toną w błocie.

Ela wyszukuje konkursy

Panie z koła gospodyń wiejskich w sąsiednim Dominiczynie (wioska należy do gminy Stary Brus) prezentują dyplomy: pierwsze miejsce w konkursie na najlepszy napój regionalny, trzecie za najlepszą szarlotkę, wyróżnienie za wieniec dożynkowy, kolejne za chleb i najlepszą potrawę regionalną.

– Moje dziewczyny są bardzo zmobiliowane, w tym roku już we wszystkim brałyśmy udział: i w palmach, i w pisanekach, i w stroikach. Ela siedzi w internecie i wyszukuje konkursy, założyła też profil koła na Facebooku – opowiada Jolanta Pełka.

Ela, czyli Elżbieta Kucharuk, siada do komputera, gdy obrobi się już z gospodarstwem i pomoże dzieciom w lekcjach. Przez zdalne nauczanie musiała sobie gruntownie powtórzyć niektóre przedmioty. Wraz z mężem uprawiają tytoń i truskawki. Na konkursy wypieka ciasta i robi pierogi z dawnych przepisów swojej babci. Potrawy koła gospodyń cieszą się takim wzięciem, że nieraz słyszały, iż „Gesslerowa powinna się uczyć” od nich, tak smacznie gotują.

– W Dominiczynie mamy dużo dzieci, 500 plus działa, ale tu nikt pieniędzy nie przepija – zaznacza Elżbieta Kucharuk. – Choć i u nas są ludzie, którym się robić nie chce, wolą iść po zapomogę do gminy. Kura im się nie opłaca, krowa się nie opłaca, siedzą pod chałupą i narzekają. Wolą z opieki społecznej ciągnąć.

Wieś się zmienia

Elżbieta podkreśla, że tam, gdzie rodzice pracują, również dzieci uczą się gospodarności. Dlatego jej 16-letni syn Dominik podczas wakacji zrywał maliny w gospodarstwie ekologicznym. Pracował na akord: zdarzało się, że zarabiał 140 zł w ciągu dnia. Za własne kieszonkowe leczył psa u weterynarza, a jak okazało się, że do nauki zdalnej potrzebny jest lepszy komputer, dołożył swoje oszczędności do pieniędzy, które dostali od gminy na zakup sprzętu.

Dominik uczy się w technikum, chce być elektrykiem samochodowym. Wybrał taką szkołę, bo to jest zawód potrzebny i na wsi, i w mieście, więc jeśli zostanie dobrym fachowcem, wszędzie znajdzie pracę. A na utrzymanie się z rolnictwa trudno dzisiaj liczyć. Wieś zmienia się, kiedyś wszyscy w Dominiczynie hodowali zwierzęta i uprawiali pole. Dziś spośród 250 mieszkańców tylko trzech rolników ma krowy, a sześć rodzin uprawia tytoń.

– Ludzie sadziliby truskawki, ale nie ma gdzie sprzedać. Zlikwidowali w okolicy skupy owoców. A owoc miękki zaraz się psuje. Co z tym robić? – zastanawia się Agnieszka Oziemczuk, radna gminy.

Zanim zaczęła się epidemia, razem z koleżankami z koła gospodyń organizowała podczas ferii warsztaty kulinarne dla dzieci i choinkę. Jej mąż, jak wielu mężczyzn z okolicy, jeździ do pracy do kopalni w Bogdanie. – To 25 km w jedną stronę, ale droga dobra i korków nie ma →

→ – podkreśla radna. – Mąż pracuje pod ziemią, w temperaturze 30 stopni. Ręce bolą, nieraz go przewiało. Ale musi być zadowolony: gdzie zarobi cztery tysiące? Pięć lat się starał, żeby go tam przyjęli.

Wyjazdy na saksy

Jolanta Pelka przez 18 lat jeździła za granicę. Zwykle przez trzy letnie miesiące pracowała w gospodarstwie w Niemczech. Początki były trudne, bo choć dziećmi zajmowała się babcia, mąż ciężko znosił rozstanie. – Musiałam go do siebie ściągnąć – wspomina Jolanta. – Dzięki pracy „u Niemca” postawiliśmy dom, kupiliśmy ziemię, sprzęt gospodarczy, teraz uprawiamy tytoń. Zarobek nie jest duży, ale za nic w świecie nie zostalabym w Niemczech.

Praca przy tytoniu trwa przez cały rok. Pod koniec marca zakłada się tunele i sadi rośliny, po majowych przymrozkach wysadza się planty na pole, a w czerwcu trzeba już pilić. W lipcu zaczyna się zrywanie, a od października do lutego suszenie i sortowanie.

Gotowy tytoń składa się w bele i wiąże jutowym sznurkiem – wtedy można go wieźć do punktu skupu, a to czasem 100 km od domu. W ubiegłym roku rodzina Jolanty Pelki zebrała pięć ton tytoniu. Surowiec pierwszej klasy – czyli gdy liście są żółte i pozbawione plam – mogą sprzedać po 13,50 zł za kilogram. Ale to zdarza się rzadko, czasem muszą się zadowolić II klasą (11 zł) albo III (8 zł). Za ostatnią, VI klasę płacili w skupie 2,50 zł.

Jolanta pracuje w gospodarstwie z całą rodziną, ale do sortowania zatrudnia pracowników. W ubiegłym roku oferowała 13 zł za godzinę. Nie było zbyt wielu chętnych. – Głowa boli od pracy w tytoniu, wymiotować się chce, włosy

i ubrania śmierdzą, więcej niż sześć godzin człowiek nie wytrzyma, a dzieci to już w ogóle nie można do tej roboty brać – opowiada Elżbieta Józefczuk z Dominiczyna, która w ostatnim sezonie pracowała u sąsiada.

Partyzancka Balbina

Robert zbliża się do siedemdziesiątki. Prowadzi rower, bo pod lasem przebił dętkę. Na kierownicy wiezie reklamówkę z zakupami. Zatrzymuje się chętnie i zapala papierosa. Na krajowe go nie stać, kupuje te przemycane zza wschodniej granicy. Emerytura (około tysiąca zł) idzie na leki żony i wsparcie dla dzieci.

– Mój ojciec w grobie by się przewrócił, gdyby zobaczył, co się teraz na wsi wyrabia – zaczyna powoli. – Nie ma już prawdziwych chłopów, co to uszanują ziemię i bydłką. Teraz to unijni przedsiębiorcy są. Miałem dwie krowy i konia, jak z rodziną z nimi żyłem. A jeśli taki ma 30 krów, to co on o nich wie? Kiedy zdąży ich wysłuchać, po karku pogłaskać?

Robert nie rozumie zakazu hodowania świń na własny użytek. Ma świnię, jak zaznacza, konspiracyjną: mówi na nią „partyzancka Balbina”. Zwierzę żyje w chlewiku, który zbudował z dala od drogi. Gości tam nie zaprasza, mnie też nie zaprowadzi, żeby mu nie nasłała na głowę urzędników. – Gdyby nie te kurki, świnka podchowana na święta i kawałek ogródka, człowiek by z głodu umarł albo musiałby na żebro do gminy iść, o zapomogę pisać – podsumowuje.

I bez Roberta ośrodek pomocy społecznej w Starym Brusie ma pełne ręce roboty. W 2020 r. pracownicy przyznali różne formy świadczeń 228 petentom ze 189 rodzin (łącznie w tych rodzinach jest 511 osób). To znaczy, że około jednej

czwartej mieszkańców gminy było objętych pomocą.

– Trudno określić, ile rodzin ma rzeczywiste problemy finansowe, gdyż to odczucie subiektywne dla każdego. Nie jesteśmy też w stanie stwierdzić, ile rodzin żyje poniżej minimum socjalnego. Faktem jest jednak, że nie obserwujemy wychodzenia podopiecznych tutejszego ośrodka z ubóstwa. Ubóstwo jest dziedziczone i rodziny korzystają z różnych form wsparcia pokoleniowo – mówi Aneta Zając, kierowniczka Ośrodka Pomocy Społecznej w Starym Brusie.

W kwietniu urząd wojewódzki ogłosił listę beneficjentów Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych. Pieniądze mają pomóc samorządom wyjść z kryzysu wywołanego pandemią. Województwo lubelskie dostało 165 mln na realizację 106 projektów. Pominęto w redystrybucji środków powiaty i gminy, które można zaliczyć do najbiedniejszych. Pieniądzy nie dostały samorządy rządzone przez przedstawicieli partii opozycyjnych, PSL i PO.

Wójt Starego Brusa Paweł Kołtun, który jest kojarzony z ludowcami, starał się o środki na remont dróg. Złożył sześć wniosków, wszystkie odrzucono. Choć blisko 70 proc. osób uprawnionych do głosowania w wyborach prezydenckich zeszłego roku opowiedziało się za Andrzejem Dudą.

– Miało nie być Polski A i Polski B, miało być wyrównywanie szans, a jest, jak widać. Pieniądze powinny iść większym strumieniem do tych regionów, które z racji społecznych i kulturowych czynników wymagają wsparcia. Budżet gminy jest tak niski, że z trudem wykonujemy podstawowe zadania – mówi wójt.

■■■

Na stacji benzynowej w Kołaczach Tomasz (nazwiska nie chce zdradzić) tankuje paliwo do golfa. Wraca z „fuchy”, tydzień temu złapał robotę przy remoncie łazienki. Jest po czterdziestce, przez epidemię nie mógł, jak co roku, wyjechać do pracy za granicę. Gdy mówię, że według GUS gmina okazała się najbiedniejsza w Polsce, uśmiecha się pod nosem: – To jednak w czymś jesteśmy najlepsi. Można by na tym interes zrobić. Ściągać miastowych turystów i częstować białą, bo przecież bogactwo to oni znają.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 63/20 z wniosku Elżbiety Dymańskiej toczy się postępowanie o stwierdzenie, że Jan Feliks Dymański z mocy prawa przez uwłaszczenie nabył z dniem 4 listopada 1971 roku własność nieruchomości składających się z działek gruntu nr 541 o powierzchni 0,3024 ha oraz nr 611 o powierzchni 0,7991 ha, położonych w obrębie 060303_2,0034 Uher, jednostka ewidencyjna 060303_2 Chełm, o łącznej powierzchni 1,1015 ha, dla których nie została urządzona księga wieczysta.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się w tut. Sądzie i udowodnili swoje prawo do nieruchomości, gdyż mogą być pominęci w postępowaniu o uwłaszczenie.

OGŁOSZENIE

Spisz się przez Internet!

Trwający Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021 jest realizowany w formule spisu online. Spis przez Internet pozwala spełnić obywatelski obowiązek w zaledwie kilka minut. Dziś podpowiadamy, jak i do kiedy można skorzystać z elektronicznych ułatwień, do których zachęca Główny Urząd Statystyczny – organizator spisu powszechnego.

Trwający od 1 kwietnia br. spis powszechny wyróżnia się przystępną formułą opartą o tzw. samospis internetowy. Metoda ta umożliwia udział w badaniu poprzez wypełnienie formularza dostępnego na stronie **spis.gov.pl**. Po raz pierwszy w historii polskiej statystyki publicznej samospis internetowy jest obowiązkowy.

Krok po kroku

Należy wejść na stronę **spis.gov.pl**, gdzie znajduje się aplikacja spisowa. Dostępne metody logowania:

- Krajowy Węzeł Identyfikacji Elektronicznej – umożliwia uwierzytelnienie za pomocą Profilu Zaufanego oraz systemów informatycznych banków.
- Wprowadzenie numeru PESEL oraz nazwiska rodowego matki – jako dane niezbędne przy pierwszym logowaniu. Dodatkowo wymagane jest stworzenie hasła, które razem z numerem PESEL posłuży do kolejnych logowań.
- Odrębny tryb z wykorzystaniem adresu e-mail i zdefiniowaniem hasła dostępu. Ta metoda jest przeznaczona dla cudzoziemców nieposiadających numeru PESEL, którzy 31 marca 2021 r. zamieszkiwali stale lub przebywali czasowo na terenie Polski.

Po udzieleniu odpowiedzi na wszystkie pytania i ewentualnej korekcie danych wystarczy zatwierdzić formularz. Następnie wyświetli się pytanie o chęć udziału w loterii. Po potwierdzeniu

zostanie wygenerowany unikatowy kod. Osoby, które chcą wziąć udział w loterii, powinny pobrać kod i zgłosić go na stronie **loteria.spis.gov.pl** między 22 kwietnia a 7 lipca 2021 r. W loterii mogą wziąć udział pełnoletnie osoby, które spiszają się przez Internet.

Dostęp do aplikacji spisowej

Dostęp do danych w formularzu spisowym trwa przez 14 dni od pierwszego poprawnego zalogowania. Jeśli w aplikacji zaloguje się osoba przebywająca za granicą, uruchomiony zostanie specjalny scenariusz spisu, który będzie wymagał wypełnienia jedynie formularza indywidualnego.

Kto musi wziąć udział w tegorocznym spisie?

Spis ludności jest powszechny. Zgodnie z zapisami ustawy oznacza to, że każdy zobowiązany jest do udziału w spisie i udzielenia odpowiedzi na pytania. Dzieci i nieletnią młodzież muszą spisać rodzice lub opiekunowie prawni. Natomiast w przypadku osób nieobecnych, ich dane przekazują osoby pełnoletnie, wspólnie z nimi zamieszkające.

Bezpieczeństwo danych

Informacje przekazywane podczas spisu są prawnie chronione i objęte tajemnicą statystyczną. Osoby wykonujące prace spisowe są zobowiązane do bezwzględnego jej przestrzegania. Zgromadzone dane na etapie przetwarzania ulegają anonimizacji – nie jest możliwe ich późniejsze

przyporządkowanie do określonej osoby fizycznej.

Aktualne informacje o spisie powszechnym dostępne są na stronie **spis.gov.pl** oraz na profilach GUS w mediach społecznościowych.

W przypadku pytań lub braku możliwości udziału w samospisie internetowym prosimy o kontakt z infolinią: **22 279 99 99***.

* Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora.

Spis Powszechny to:



Obowiązkowe badanie realizowane raz na 10 lat przez Główny Urząd Statystyczny



Ustawowa gwarancja ochrony Twoich danych



Nowoczesna i bezpieczna formuła spisu online



Więcej na **spis.gov.pl**



TP 22/2021

W obronie Konrada Swinarskiego

W artykule Magdaleny Nowickiej-Franczak „Tylko od nowa” znalazł się m.in. taki akapit: „Niektórzy podejmują próbę przyjrzenia się dawnym doświadczeniom przez pryzmat współczesnych kategorii, jak mobbing, seksizm czy wiktymizacja. Z tych retrospekcji wylaniają się obrazy bardzo problematycznych zachowań mistrzów, takich jak Tadeusz Łomnicki, Konrad Swinarski czy Jerzy Grotowski.

»Lepiej nie wiedzieć, kto jeszcze« – często słyhać takie zakłęcie”. Jesteśmy zbulwersowani i oburzeni faktem umieszczenia w tym tekście nazwiska Konrada Swinarskiego jako osoby dopuszczającej się molestowania i mobbingu. Jesteśmy współpracownikami i przyjaciółmi Konrada. Nigdy w czasie naszej wspólnej pracy w teatrze nie widzieliśmy nawet cienia jakichkolwiek nieodpowiednich jego zachowań. To niedopuszczalne pomówienie powinno mieć finał w sądzie. Nie chcemy jednak doprowadzać do tak skrajnej sytuacji i zwracamy się z żądaniem zamieszczenia naszego listu w najbliższym numerze „Tygodnika”. Z wyrazami szacunku, ANNA POLONY, ANNA DYMNA, ELŻBIETA KARKOSZKA, JERZY RADZIWIŁOWICZ, JERZY TRELA, JÓZEF OPALSKI, PROF. KRYSZYNA ZACHWATOWICZ-WAJDA

OD AUTORKI: Zapewniam, że szanuję Państwa pamięć o zmarłym wiele lat temu Konradzie Swinarskim. Jednocześnie chciałabym zauważyć, że cytowany fragment mojego artykułu jest częścią szerszych rozważań o współczesnej debacie wokół relacji międzyludzkich w świecie sztuki, w szczególności teatru. W tekście nie ma mowy o konkretnych zarzutach mobbingu czy molestowania formułowanych wobec Konrada Swinarskiego. Odnotowuję natomiast pojawiające się w poważnych mediach wspomnienia o dawnych mistrzach, które według współczesnych komentatorów przedstawiają sytuacje problematyczne.

W przypadku Konrada Swinarskiego na portalu Teatralny.pl pojawił się szeroko komentowany artykuł autorstwa Łukasza Drewniaka „Kolonotatki o rewolucji”, odnoszący się m.in. do wspomnień Jerzego Stuhra. Autor, podobnie jak ja, niczego nie rozstrzyga, pokazuje jednak, jak zachowania uznawane kiedyś za neutralne mogą być dzisiaj odczytywane w kontekście cancel culture. O tym zresztą traktuje cały mój tekst. Rozumiem jednak, że uznali Państwo, iż w moim artykule kontekst, w jakim pojawia się nazwisko Konrada Swinarskiego, jest dla jego pamięci niekorzystny, i wyrażam z tego powodu ubolewanie.

MAGDALENA
NOWICKA-FRANCZAK

UKOS ŚWIATŁA



Te kamienie, macewy są nośnikami pamięci. Tak, jak zapisujemy sobie coś na twardym dysku, tak okazuje się, że te kamienie są nośnikami

pamięci o społeczności żydowskiej. I dzisiaj te nośniki są gdzieś zakopane, poniewierane. To mnie strasznie zabolalo.

Dariusz Popiela,
„Ukos światła” reż. Wojciech Szumowski



WESPRZYJ POWSTANIE FILMU „UKOS ŚWIATŁA” o działalności mistrza sportu Dariusza Popiela, odpominającej żydowskich sąsiadów. Weź udział w zbiorce na powszech.net/ukos lub wpłać bezpośrednio na konto Fundacji Tygodnika Powszechnego, w tytule przelewu pisząc „Ukos światła”. Santander Bank Polska S.A. nr: 31 1910 1048 2006 1845 1121 0001. Dziękujemy!



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

DOROTA

Masłowska: Olimpia



DŁUGI WEEKEND SPOWODOWAŁ, ŻE TO, CO i tak już było puste, było jeszcze bardziej puste. Ja akurat lubię to prywatne postapo; podskórne katastroficzne wrażenie „gdzie są wszyscy?”. Jednak gdy w niedzielę rano jechaliśmy rowerami

na Olimpię i byliśmy już jakiś kilometr od niej, wszystko było nagle na nie odpowiedź, krzycząc: „Tutaj! Tutaj! Frajerzy, wszyscy są przecież tutaj!”. Stary wolski stadion, w tygodniu zapadający w letarg, w niedzielę przekształcający się w targ, sprawiał wrażenie rozdeptanego mrowiska. Zza dziurawego płotu ludzie wylewali się falami, unosząc ze sobą pękate siatki. Wyglądało to, jakby całymi rodzinami rozmontowywano tam pośpiesznie jakiś obiekt w rodzaju piramidy czy bursztynowej komnaty, po czym umykano z drogocennymi kruszcami i klejnotami upchniętymi byle jak w reklamówkach.

Po bliższym przyjrzeniu się okazywało się jednak, że są w nich tylko tanie pomidory, rabarbary, pojedyncze buty, stare walkie-talkie, numery „Radioamatora” i zdekompletowane zestawy lego. Baby, dziady, babo-dziady, panowie z porannym piwkiem, kolekcjonerzy, niemilionerzy. Gigantka z obitą twarzą przechadza się między kramami cała zadowolona z delcją szampańską, kompletnie pochłonięta przyjemnością obgryzania jej z czekoladowej warstwy, w prągiście dziewczynki, której tata podarował ulegalkę. Jakiś błędny degenerat w koszulce Śmierć Wrogom Ojczyzny kręci się między stoiskami, mamrocząc przekleństwa, oczy ma przezroczyście od wódki, ćpania i zła. Obok wielki kopiec kalarepy.

Na ziemi, trawie albo kawałku brezentu porozkładane są kramiki-kosmosiki. Każdy jeden wykrzykuje własną sekwencję chaosu w alfabecie zdezelowanych przedmiotów. Obtluczona cukiernica – schodzone baleriny z Deichmanna – latarka z rozlaną baterią – kaseta Venus „Nastolatka”. Golf akrylowy z problemem zniszczonych pach – numer czasopisma „Gwiazdy” – otwieracz do konserw – paczka starych słomek – proszek OMO, mało otwierany. Właściciele tych biednych majątków siedzą na skrzynkach, krzeselkach wędkarskich. Szczególne wrażenie robią ci z podbitymi oczami, hawajsko rozłożeni w dziecięcych spacerówkach. Brakuje palm. Drinki są. Różne są konwencje sprzedawcze: od zupełnie pasywnych (półdrzemki, w których sprzedawca komunikuje się z klientem morsem przymkniętego oka) po pełne pasji.

Tu wymieniałabym galerzystę sprzedającego kilka dzieł olejnych niezamierzonego art brut. Mężczyzna ubrany w jasny płócienny garnitur, z misternie wyczesanymi girlandami złotych loków, przypominał dużego Małego Księcia. Podczas kilku minut, które spędziliśmy przy jego czteroobrazowej ga-

lerii, zdążył kompletnie nas omotać. Po pierwsze, przedstawił nam stojącego nieopodal ich autora, pana Jana. Po drugie, od razu zastrzegł, byśmy pana Jana traktowali z szacunkiem i go nie dotykali, do czego wcale żadne z nas nie dążyło. Po trzecie, kazał nam niezwłocznie kupować jego obrazy, od czego płynnie przeszedł do oskarżenia nas, że obrazy, które my mieliśmy namalować, nie zostały wcale dostarczone i mamy czym prędzej je namalować! Jego stanowczość i proaktywna postawa sprawiły, że musieliśmy przyznać mu rację: niewiele ostatnio malowaliśmy.

Jak teraz wytłumaczyć się naszemu naglemu samozwańczemu marszandowi z przeciągającej się artystycznej bezpłodności? Zrugani, obiecaliśmy nieco na wyrost, że obrazy doniesiemy w przyszłym tygodniu. Od czasu tej deklaracji cały przyjazd na Olimpię nabrał walorów wyrazistego, dużo wyrazistszego niż zwykły sen, snu.

A jest tutaj co śnić. Jak wyraził to ktoś w opiniach google – „Mydło i powidło w błocie”. Ten obraz jest doskonale trafny. Zarówno tylko trochę używany Lux z 1997, jak i bliskie terminu ważności powidła sprzedawane są tu wprost z błota. „W niedzielę dzieją się tu cuda” – napisał ktoś inny. Też jest coś na rzeczy. Wydarza się tu niewątpliwie cały czas, na każdym kroku, cud przemienienia przeszłości z powrotem w teraźniejszość. Rzeczy bezwartościowe, poprzez fakt wystawienia ich na sprzedaż i wyznaczenia im ceny, choćby wynosiła ona złotówkę, nabierają znowu wartości. Odpady życia wprowadzane są z powrotem do obiegu, czasem na wpych. Przeglądam kopiec starych kart pocztowych. Przypomina te zalegające dawne studia telewizyjne na Woronicza, z których redakcyjne sierotki wyciągały zwycięzców konkursów, zagadek i loterii. Są tam życzenia zdrowia, szczęścia i pomyślności, zaproszenia na ślub osób zapewne dawno już rozwiedzionych, prośby o skontaktowanie się z adwokatem w sprawie komornego, dawno nieaktualne sprawy, na których odwrotach pysznią się widoki zburzonych teraz budynków, panoramy nieistniejących już miejsc. Dziwnie zanurzać ręce w to kłębowisko-śmietnisko zdezelowanych ludzkich losów, uczuć, dążeń.

Duch przeszłości przyświeca również sekcji spożywczej. Sprzedaje się tu masy przeterminowanej żywności wyski-powanej z przysklepowych kontenerów. Palety jogurtów, zupki chińskie, winegrety w proszku, konserwy mięsne skierowane przez markety na śmietnisko wędrują z powrotem do siatek i toreb na kółkach dziadziusiów. Tu walutą są ciągle grosze. Na jednym ze stoisk pośród cebuli i botwinki zauważam rabarbar opisany jako „kwaśne kije”. Gdy dopytuję sprzedawcę, co to za nazwa, zaczyna trochę chytrze, a trochę z zawstydzeniem wywracać oczami, by wreszcie zdradzić mi swoje najintymniejsze triki handlowe, które ja zdradzam teraz państwu. „Proszę panią – mówi – to jest dla śmiechu. Jak klient jest bardziej roześmieszony, to jest też skorszy do kupowania”. W morderczym upale hałdy pakowanej próżniowo połędwicy sopockiej zaczynają zachodzić białym oparem, ale trudno stamtąd odjechać. Olimpia to gigantyczne antycentrum handlowe, zwariowana kloaka miasta, sklep, śmietnik i świat jednocześnie. Roześmieszona i skorsza do kupowania, nabywam jeszcze kilka zupełnie niepotrzebnych mi przedmiotów, które pewnie niedługo wystawię na śmietnik, skąd trafią z powrotem na Olimpię. ©

WIARA

WINA I POKUTA

Zrobił oszałamiającą karierę. Jej zawirowanie w ostatnim czasie ukazało najważniejsze problemy, z którymi zmaga się Kościół.

KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

KARDYNAŁA REINHARDA MARKSA POZNAŁEM przy okazji międzynarodowej konferencji w Berlinie. Był wtedy jeszcze biskupem Trewiru. W porze lunchu usiedliśmy przy tym samym stole i krótko rozmawialiśmy. Wydał mi się wówczas człowiekiem prostolinijnym. Przy okazji dowiedziałem się (oczywiście nie od niego), że nosi brodę, ponieważ gładko ogolony wygląda zbyt dziecięco. Teraz, kiedy staram się zrozumieć jego życiowe decyzje, przypomina mi się to pierwsze berlińskie wrażenie i ta wewnętrzna szczerzość dziecka.

Kiedy w 2018 r. opublikowano studium o seksualnych nadużyciach ludzi Kościoła (tzw. studium MHG), na konferencji prasowej prezentującej ów dokument postawiono kard. Marksowi pytanie, czy wynikną z tego jakieś personalne konsekwencje. Odrzekł wówczas, że nie. Ta odpowiedź po dwóch latach zmieniła się w jednoznaczne „tak”, a on sam wziął na siebie ciężar odpowiedzialności. Droga do takiej decyzji jest historią człowieka, który ponad własną karierę postawił słuchanie Ewangelii. A karierę (hierarchowie bardzo nie lubią tego słowa) zrobił rzeczywiście zawrotną.

Informacja o prośbie skierowanej przez kard. Marksa do papieża o zwolnienie go z obowiązków biskupa Monachium i Fryzngi, z 4 czerwca br. odbiła się szerokim echem w całym, nie tylko katolickim świecie. Rezygnację z urzędu złożył bowiem jeden z najważniejszych członków kolegium kardynalskiego, należący do Rady Kardynałów – grupy siedmiu najbliższych doradców biskupa Rzymu. List do papieża nosi datę 21 maja 2021 r. i jest świadectwem niezwykłym, mówiącym wiele o jego autorze i o sytuacji Kościoła rzymskokatolickiego w Niemczech. Kard. Marx opublikował wówczas także swego rodzaju komentarz do podjętej decyzji i tego samego dnia wziął udział w konferencji prasowej. Położył w ten sposób na szali samego siebie i swoją kościelną posługę, którą mógł się cieszyć jeszcze kilkanaście lat.

Otwarty na świat

Urodzony w 1953 r. w Geseke (Westfalia), Reinhard Marx został wyświęcony

na księdza diecezji Paderborn w 1979 r. Po studiach w Bochum i Monasterze (a wcześniej w Paryżu) w 1989 r. obronił doktorat – jest specjalistą od społecznej nauki Kościoła. W 1996 r. został biskupem pomocniczym Paderborn. W 2001 r. Jan Paweł II mianował go biskupem Trewiru (ingres w 2002 r.). Po kilku latach pracy w najstarszym mieście Niemiec z woli Benedykta XVI został arcybiskupem Monachium i Fryzngi (ingres w 2008 r.), a w 2010 r. papież wręczył mu kapelusz kardynalski. W latach 2012–2018 pełnił funkcję prezydenta Komisji Episkopatów Unii Europejskiej (COMECE), a w latach 2014–2020 przewodniczącego Konferencji Biskupów Niemiec (DBK).

Kard. Marx przewodził tej grupie niemieckich hierarchów, którzy pozostają otwarci na świat, nie widząc w nim zagrożenia, lecz przestrzeń apostolskiego oddziaływania. Z takiej postawy wynikają odważne decyzje, które przez kilku konserwatywnych biskupów traktowane były jako odejście od wielowiekowego nauczania Kościoła i prawd przez Boga objawionych. Na czele tej mniejszościowej grupy znajduje się arcybiskup Kolonii kard. Rainer Maria Woelki. Spór obu tych nurtów ujawnił się szczególnie mocno w kontekście problemu interkomunii w małżeństwach mieszanych wyznaniowo, w postrzeganiu fundamentów dialogu ekumenicznego (zwłaszcza rozumienia urzędu i Eucharystii) czy też w kwestii diagnozy dotyczącej przyczyn i środków zaradczych, jakie należy podjąć w obliczu kryzysu Kościoła.

Początek kryzysu

Pod koniec stycznia 2010 r. w jezuickim kolegium św. Kanizjusza w Berlinie wybuchł skandal związany z seksualnym wykorzystywaniem uczniów przez niektórych pracujących tam zakonników (do nadużyć dochodziło w latach 70. i 80. XX w.). Na plenarnym zebraniu DBK we Fryburgu (luty 2010 r.) zdano sobie sprawę, że „Wytyczne postępowania w przypadkach wykorzystywania seksualnego małoletnich przez duchowieństwo na terenie Niemiec” (z 26 września 2002 r.) wymagają nie tyle rewizji czy nawet koniecznych uzupełnień, ile – po prostu – wcielenia w życie. Formalnie wydawało się, że w dziedzinie seksualnych nadużyć osób duchownych wszystko jest pod kontrolą, niemniej

niemiecki Kościół już wkrótce czekało potężne trzęsienie ziemi.

W 2012 r. opublikowano wyniki badań na temat napaści seksualnych, jakich dopuścili się katolicy duchowni w Niemczech w latach 2000–2010. Wówczas stało się jasne, że konieczne jest całościowe rozliczenie się z mroczną przeszłością, skrywającą przestępstwa seksualne ludzi Kościoła wobec małoletnich. Jednak najważniejszy dokument: „Studium na temat seksualnych nadużyć wobec małoletnich popełnionych przez katolickich księży, diakonów i członków męskich zakonów, pozostających w jurysdykcji Konferencji Episkopatu Niemiec” (studium MHG), powstał w latach 2014–2017, w czasie, gdy DBK kierował kard. Reinhard Marx. Efekt badań prowadzonych we wszystkich 27 diecezjach był porażający, a wyniki owego raportu przedstawiono opinii publicznej na konferencji plenarnej DBK 25 września 2018 r. w Fuldzie. Mówiono wówczas o przynajmniej 1670 sprawcach i 3677 ofiarach.

To był niewątpliwie moment przełomu i początek drogi synodalnej, na którą wkroczył Kościół katolicki w Niemczech. A uczynił to pod wodzą kardynała z Monachium. I to właśnie na tym tle trzeba spojrzeć na jego drogę, drogę winy i pokuty.

Wina

9 lutego 2011 r. dziennik „Die Welt” oskarżył kard. Marksa, że ten przez trzy miesiące (w 2010 r.) ukrywał zarzuty wykorzystywania seksualnego wobec wychowawcy gimnazjum, co umożliwiło mu kontynuowanie pracy pedagoga w klasztorze Ettal. Opóźnienie w złożeniu doniesienia o przestępstwie kuria biskupia tłumaczyła dobrem ofiar.

Kolejne oskarżenie wobec Marksa, wysunięte tym razem przez Radio Saary (2016 r.), odnosi się do sytuacji z 2006 r. (Do tej właśnie sprawy nawiązała i szczegółowo opisała ją w ostatnim czasie gazeta „Die Zeit”). Pewien 22-letni mężczyzna oskarżył księdza M. z diecezji trewirskiej, której ordynariuszem był wówczas bp Marx, o wykorzystanie seksualne, jakiego ów ksiądz miał dopuścić się 7 lat wcześniej. Mimo częściowego przyznania się oskarżonego do winy śledztwo zostało umorzone z powodu kilkutygodniowego przedawnienia. O fakcie umorzenia postępowania poinformowana została kuria w Trewirze. ➔

→ Diecezjalny delegat ds. nadużyć seksualnych ks. Reiner Scherschel przesłuchał księdza M., który zaprzeczył oskarżeniom. W grudniu tegoż roku bp Marx i jego wikariusz generalny Georg Holkenbrink zostali poinformowani o całej sytuacji i „na tej podstawie uznali prowadzenie dalszego postępowania za niekonieczne”. Wobec państwowego i kościelnego umorzenia sprawy ksiądz-pedofil przez wiele lat dalej pracował w duszpasterstwie, także wśród dzieci i młodzieży – i to pomimo pojawiających się nowych oskarżeń.

Ksiądz M. dopuścił się molestowania seksualnego wobec małoletnich i był oskarżany o to aż osiem razy. Zarzucanych czynów miał dokonać w latach 1982-2015. Jednak wszystkie prokuratorskie postępowania przeciwko niemu (w 2006, a potem w 2013 i 2016 r.) były umarzane, najczęściej z powodu przedawnienia. Dokumenty z prokuratury dotyczące tej sprawy kuria trefirska otrzymała dopiero w 2016 r.; rozpoczęto wówczas procedury kanoniczne, zawieszając duchownego w sprawowaniu przezeń czynności kapłańskich.

W przypadku księdza M. był osobiście zaangażowany – jak to formułuje „Die Zeit” – „trefirski triumwirat”, czyli oprócz bp. Marksa także jego następca – bp Stephan Ackermann (od 2009 r. ordynariusz w Trefirze, a od 2010 r. delegat DBK ds. nadużyć seksualnych) oraz bp Georg Bätzing (od 2012 r. wikariusz generalny bp. Ackermann, od 2016 r. ordynariusz Limburga, a od 2020 r. przewodniczący DBK).

Wina ówczesnego biskupa Trefiru Reinharda Marksa wydaje się bezsporna. Instrukcja o postępowaniu w przypadku pedofilii z 2002 r. mówiła przecież wyraźnie o konieczności

**Kardynał Marx
przewodził tej grupie**
niemieckich biskupów,
którzy nie widzą w świecie
zagrożenia, tylko przestrzeń
apostolskiego oddziaływania.

nawiązania kontaktu z osobą poszkodowaną w celu udzielenia jej odpowiedniej pomocy. Tego zaś nie uczyniono. W przypadku uzasadnionych podejrzeń należało także przeprowadzić postępowanie wyjaśniające i podjąć decyzję o zawieszeniu sprawcy w czynnościach duszpasterskich. Ponieważ takiego postępowania nie przeprowadzono, nie przekazano również tej sprawy do Stolicy Apostolskiej. Dalej: diecezja winna była wyrazić ubolewanie i zaoferować wszelką możliwą pomoc tak ofierze, jak i jej najbliższemu, biorąc na siebie koszty odpowiednich terapii. To także nie miało miejsca. Sprawca nie poddał się żadnej terapii, nie został też ukarany przez sąd kościelny ani karnym dekretem Kongregacji Nauki Wiary bądź biskupa diecezjalnego, wreszcie nie pozbawiono go możliwości pracy z dziećmi i młodzieżą.

Jak widać, mimo wyraźnych i jednoznacznych zaleceń nie korzystano z nich zbyt często. Tak właśnie przez lata funkcjonował system kościelny: poza sumieniami, poza odpowiedzialnością i sprawiedliwością, poza współczuciem i poczuciem ludzkiej przyzwoitości. I poza Ewangelią.

Nawrócenie

Historia kard. Marksa ma także jasną stronę. Bez wątpienia przełomem w jego życiu było zderzenie się z ogromem cierpień wynikających z przestępstw seksualnych wobec dzieci i młodzieży, do jakich dochodziło w klasztorze Ettal, znajdującym się na terenie jego diecezji. A problem dotyczył sadystycznych praktyk i nadużyć seksualnych wobec nieletnich, przebywających w przyklasztornej szkole i internacie. Jak wynika z raportu opublikowanego 12 kwietnia 2010 r., a przygotowanego na zlecenie archidiecezji monachijskiej, przez dziesięciolecie (aż do mniej więcej 1990 r.) molestowania seksualnego wobec ponad stu wychowanków dopuściło się tam 15 zakonników. Taka informacja nie może po prostu zostać przyjęta do wiadomości.

Kiedy na konferencji prasowej zorganizowanej przy okazji plenarnego posiedzenia DBK (w lutym 2010 r. we Fryzynie), poświęconego kryzysowi w jezuitskim kolegium, zapytano kard. Marksa o osobistą odpowiedzialność za tuszowanie przypadków molestowania seksualnego, ten odpowiedzi nie udzielił.

W roku ujawnienia sprawy księdza M. (tj. w 2016 r.) kardynał przyznał z jednej strony, że powinien był wtedy „intensywniej dopytywać”, choć z drugiej strony po szczegóły odsyłał jeszcze do osób „bezpośrednio odpowiedzialnych”.

Natomiast już w oświadczeniu dla prasy w związku z prezentacją raportu MHG (2018 r.) ówczesny przewodniczący DBK powiedział: „Stwierdzam z całą stanowczością, że wykorzystywanie seksualne jest przestępstwem. Winni muszą zostać ukarani. Zbyt długo w Kościele zaprzeczano nadużyciom, przyemykano na nie oko i je ukrywano. Proszę o przebaczenie za wszelkie zaniechania i ból ofiar. Wstydę się za zburzone zaufanie, za zbrodnie popełnione przez kościelnych urzędników. Jest mi wstyd, że było tak wiele osób odwracających głowę, takich, które nie chciały widzieć, co się stało, i które nie zatroszczyły się o ofiary. Mówię to także o sobie. Nie słuchaliśmy ofiar. Wszystko to nie może pozostać bez konsekwencji! Osoby poszkodowane mają prawo do sprawiedliwości”. To nawrócenie dokonało się za pośrednictwem mediów na oczach świata. Możliwe także, iż stało się ono powodem rezygnacji z ubiegania się przez Marksa

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ś.†P.

Aliny Pawlak

Rodzinie państwa Pawlaków składamy wyrazy głębokiego współczucia,
troski oraz szczerze słowa wsparcia.

Z najgłębszymi kondolencjami

WSPÓŁPRACOWNICY SPEEDLINE ORAZ ANTON ROEHR

o reelekcję na stanowisko przewodniczącego DBK w 2020 r.

Do czynów sprawiedliwości należało uznanie prawa ofiar do godziwego zadośćuczynienia. Powołana przez DBK i kierowana przez kard. Marksa niezależna komisja zajęła się zatem wypłatą odszkodowań ofiarom pedofilii w Kościele (nie tylko osób duchownych). Wysockość tych odszkodowań waha się od 5 tys. do 50 tys. euro i są one wypłacane bez względu na możliwe cywilnoprawne przedawnienia.

Pokuta

4 grudnia 2020 r. kard. Marx zapowiedział ustanowienie fundacji „Spes et salus” („Nadzieja i zbawienie”), pracującej wśród ofiar nadużyć, i przekazanie na jej działalność znacznej części swojego prywatnego majątku o wartości około 500 tys. euro. Decyzję tłumaczył tym, że „seksualne nadużycia w obszarze odpowiedzialności Kościoła są przestępstwem”, które zniszczyło życie wielu ludziom. „Winę za to ponosi cały system kościelny. Nadużycia te mają swoje systemowe przyczyny i konsekwencje. Zrozumienie tej prawdy trwało długo i wciąż nie zostało zakończone. Także ja sam potrzebowałem czasu na naukę, by zrozumieć skalę i zakres nadużyć w Kościele, a także rozpoznać systemowe tego przyczyny”.

Pomocne w tym były spotkania i rozmowy z ofiarami. „Tym ważniejsze jest dla mnie jako kardynała i arcybiskupa Monachium i Fryzycji, ale także jako osoby prywatnej, aby zrobić wszystko, co w mojej mocy, w celu zwalczania nadużyć oraz zmierzenia się z ich skutkami”. Jednocześnie kardynał ma świadomość, że „pieniądze nie ulecą ran, ale mogą pomóc w stworzeniu warunków umożliwiających proces leczenia i przemianę”, fundację zaś należy postrzegać jako uzupełnienie zaangażowania Kościoła na rzecz pomocy ofiarom nadużyć i podjęcia działań prewencyjnych.

Akt skrzychy

Skonfrontowany w kwietniu br. ze wspomnianymi powyżej doniesieniami, „Die Zeit” na temat wydarzeń z roku 2006, kardynał nie szukał już wymówek, lecz otwarcie przyznał: „Z dzisiejszej perspektywy powinienem być połączony, abyśmy jako diecezja zażądali aktu od prokuratury także po to, by sprawdzić, czy oskarżenia przedawniły się również w świetle prawa

Przełomową chwilą w życiu tego hierarchy

okazała się konfrontacja
z cierpieniem dzieci
i młodzieży wykorzystanych
seksualnie przez księży.

kościelnego, a zarzuty zbadać w ramach własnego kanonicznego postępowania wyjaśniającego”. I dodał: „Bardzo żałuję swojego zachowania w tamtym czasie”.

Jak się wkrótce okazało, ów żal wyrażał się także przyjęciem konsekwencji. I tak na 30 kwietnia zaplanowane było uroczyste odznaczenie kard. Marksa przez prezydenta Niemiec Franka-Waltera Steinmeiera Wielkim Krzyżem Zasługi. Podniosły się wówczas głosy protestów ze środowisk ofiar molestowania duchownych, domagające się od prezydenta odstąpienia od tego aktu dekoracji hierarchy kościelnego. Kardynał uwolnił wówczas prezydenta od tej kłopotliwej sytuacji i sam zrezygnował z przyjęcia odznaczenia, co spotkało się ze społecznym uznaniem.

Kolejnym krokiem kardynała-pokutnika była prośba o zwolnienie go z urzędu biskupiego, złożona na ręce Franciszka 21 maja. W tym dniu kard. Marx spotkał się z papieżem i osobiście wyjaśnił mu powody swej decyzji. Jego zdaniem kryzys, w jakim znalazł się Kościół w Niemczech, spowodowany został przede wszystkim zaniedbaniem i winą biskupów. Doprowadziło to Kościół do „martwego punktu”, który może stać się dlań „punktem zwrotnym” – jednak pod warunkiem ewangelicznej „utruty życia”, dla odzyskania siebie.

Na taką „utrutę życia” zdecydował się sam kard. Marx, rezygnując z dalszego zasiadania na stolicy biskupiej. Był to dlań wyraz współodpowiedzialności za „kastrofę seksualnych nadużyć ze strony duchownych”. Reinhard Marx nie chce przy tym chować się za szeroko pojętą współodpowiedzialnością wszystkich, ale mówi wprost: „Uznaję swoją osobistą winę i odpowiedzialność także za milczenie, zaniechania i zbytnie skupienie się na reputacji instytucji” Kościoła. Jego zdaniem, sposo-

bem wyjścia, owym punktem zwrotnym, może być droga synodalna.

Obecna postawa arcybiskupa Monachium i Fryzycji wydaje się konsekwencją jego duchowej przemiany wewnętrznej, niezależnej od prawno-kanonicznych czy cywilnoprawnych postępowań.

Staje się to jeszcze wyraźniejsze w zestawieniu z zachowaniem jego wiecznego oponenta – arcybiskupa Kolonii kard. Woelkiego.

Na początku 2021 r. otrzymał on ekspertyzę, którą sam zamówił w monachijskiej kancelarii prawnej. Jednak – wbrew stanowisku wielu niemieckich biskupów, w tym przewodniczącego DBK bp. Bätzinga – postanowił jej nie publikować, a zamiast tego zamówił nowy raport, tym razem w kolońskiej kancelarii prawnej. Zgodnie z tym dokumentem (opublikowanym 18 marca) kard. Woelki okazał się jedynym niewinnym wśród grona kolońskich winnych. Lista owych winowajców jest imponująca. Są na niej bowiem dwaj nieżyjący już biskupi Kolonii, kardynałowie Joseph Höfner i Joachim Meisner. Żyjący współpracownicy Rainera M. Woelkiego, tj. jego biskupi pomocniczy: Ansgar Puff i Dominikus Schwaderlapp oraz oficjał sądu biskupiego Günter Assenmacher, zostali przez swego ordynariusza błyskawicznie zawieszani w obowiązkach. Natomiast były wikariusz generalny archidiecezji kolońskiej, a obecnie arcybiskup Hamburga Stefan Heße podał się do dymisji i czeka na decyzję papieża.

Pikanterii całej sytuacji dodaje to, że raport „uniewinniający” arcybiskupa Kolonii spotkał się z ostrą krytyką środowiska prawniczego i mediów, a sam kard. Woelki uznaje sprawę za zamkniętą i nie widzi powodów do rezygnacji z urzędu. Jakby w odpowiedzi na to Franciszek wysłał do Kolonii dwóch wysokiej rangi hierarchów – kard. Andersa Arboreliusza ze Sztokholmu i bp. Hansa van den Hende z Rotterdamu – jako swoich wizytatorów, którzy w tej chwili prowadzą audyt diecezji.

10 czerwca historia kardynała-pokutnika znalazła (tymczasowy) finał. W tym dniu w odpowiedzi na rezygnację kard. Reinharda Marksa papież Franciszek napisał: „Oto moja odpowiedź, drogi bracie: kontynuuj, jak sugerujesz [odnowę Kościoła], ale jako arcybiskup Monachium i Fryzycji”.

© KS. ELIGIUSZ PIOTROWSKI

Sprawa kardynała Marksa

PIOTR SIKORA

Czy instytucja Kościoła znalazła się w martwym punkcie? Tak twierdzi jeden z najbliższych współpracowników papieża.

PODANIE SIĘ DO DYMISJI PRZEZ KARD. Reinharda Marksa, arcybiskupa Monachium i Fryzycji, nieprzyjęcie jej przez Franciszka i zgoda papieża na upublicznienie listów, które między sobą wymienili, a które traktują o stanie Kościoła, ma duże symboliczne znaczenie. Intencją niemieckiego kardynała było nadanie nowego impulsu reformom.

Nadzieja – tylko paschalna

W liście Marksa znajdujemy nie tylko ostrą diagnozę, ale i sugestie potrzeby radykalnych kroków. Największym złem, stanowiącym bezpośredni powód rezygnacji biskupa Monachium, jest „katastrofa nadużyć seksualnych, których dopuszczali się ludzie pełniący kościelne urzędy”. „Zlecone w ostatnich dziesięciu latach badania i ekspertyzy dowodzą według mnie niezbicie, że popełniono wiele błędów osobistych i administracyjnych, ale zawiodła także instytucja czy też »system« – przekonuje kardynał.

Hierarcha uznał swoją odpowiedzialność – zarówno pewne osobiste zaniedbania w kwestii podejścia do osób skrzywdzonych w Kościele, jak i odpowiedzialność za funkcjonowanie owego systemu, który przez ponad dwie dekady kształtował jako biskup.

„Znaleźliśmy się – pisze on do papieża – niejako w »martwym punkcie«”. Owszem, wyznaje on potem „paschalną nadzieję”, która podpowiada, że ów martwy punkt „może stać się punktem zwrotnym”.

Ale – niemiecki hierarcha ma tu jasną świadomość – owa paschalna nadzieja związana jest z procesem, który dobrze oddają słowa Ewangelii: „kto chce zachować swoje życie, straci je, a kto je straci, znajdzie je”.

Paschalna nadzieja nie jest złudna tylko pod tym warunkiem, że gotowi jesteśmy przejść przez „śmierć” – a więc rozpad „przedśmiertelnej” formy życia i funkcjonowania. Dopiero ów rozpad tworzy przestrzeń na odrodzenie się życia – w przemienionej formie.

Kard. Marx wyznaje taką właśnie nadzieję także w odniesieniu do posługi biskupów w Kościele. To właśnie ta posługa – a więc hierarchiczna forma funkcjonowania Kościoła – znalazła się według niego w martwym punkcie: tj. nie może już dłużej funkcjonować w postaci, w jakiej ją znamy, bo nie będzie żywa i nie będzie wносить życia do wspólnoty Kościoła. Owszem, pisze Marx, można nie tracić nadziei – ale chodzi tu o nadzieję paschalną, czyli godzącą się z „śmiertelnym” rozpadem obecnej formy tej posługi.

Samotność kardynała

Współpracownik papieża jest świadom, że jego diagnozy nie podziela wielu hierarchów, a nawet że spotyka się ona z gwałtownym sprzeciwem. Napisał w liście: „niektórzy w Kościele nie chcą dostrzec tego właśnie elementu współodpowiedzialności, a tym samym wspólwinę całej instytucji, i z tego powodu sprzeciwiają się każdej formie dialogu na rzecz reformy i odnowy prowadzącej do przezwyciężenia obecnego kryzysu”.

Być może powyższe słowa nie są całkiem sprawiedliwe – nie wszyscy, którzy nie podzielają jego diagnozy, sprzeciwiają się każdej formie dialogu na rzecz reformy. Ale istotnie decyzja i list arcybiskupa Monachium wzbudziły sporo biskupich głosów krytycznych.

Przewodniczącego episkopatu Francji, abp. Érica de Moulins-Beaufort, poruszyło osamotnienie kard. Marksa, ale stwierdził, że nie podziela „defetyzmu”

swego niemieckiego kolegi. Ostrzej na Twitterze skomentował biskup Providence w USA, Thomas Tobin. Zdanie o „martwym punkcie”, w którym znalazł się Kościół, nazwał „stwierdzeniem beznadziejnym” i dodał: „być może kardynał Marx osobiście osiągnął martwy punkt. Ale nie Kościół”.

Pamiętając jednak pełny tekst listu kard. Marksa – właśnie z akcentem na paschalną nadzieję – widać, że powyższe biskupie oceny opierają się na nieporozumieniu. Nieporozumienie – to jednak tylko część prawdy. Druga część – to rzeczywisty i fundamentalny spór o to, na ile katastrofa przestępstw seksualnych popełnianych przez pełniących kościelne urzędy ma swoje źródło w osobistej winie ludzi, a na ile odpowiedzialna za nią jest istniejąca struktura Kościoła.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że diagnoza kard. Marksa oparta jest nie tyle na jego osobistych wrażeniach, ile na szczegółowym raporcie niezależnej komisji powołanej przez niemiecki episkopat do zbadania zakresu i przyczyn seksualnych krzywd doznanych przez „małych” (tzw. „Studium MHG” cytowane w liście do papieża). Wnioski tej komisji są zbieżne z wnioskami innych badań prowadzonych w Stanach Zjednoczonych i w Australii.

Wnioski z badań

Niemiecki raport obejmuje lata 1946-2014. W końcowych wnioskach jego autorzy podkreślają, że w większości przypadków wykorzystywanie seksualne było powiązane z nadużyciem władzy i autorytetu. Piszą o hierarchiczno-autorytarnej strukturze, w której funkcjonują księża, co prowadzi ich do „przyjęcia postawy dominacji nad osobami niewyświęconymi”. Zauważają, że funkcjonowanie przez księży w takiej strukturze nie jest również dobre dla nich samych i przyczynia się do pogłębienia problemów osobowościowych, sprzyjających podejmowaniu działań seksualnych krzywdzących innych.

Problem pojawia się jednak już od samego początku „hierarchicznej drogi życia”. Autorzy raportu jako jeden z istotnych czynników sprzyjających krzywdzącemu postępowaniu księży wymieniają bowiem także system formacji, w którym rozwojowi psychoseksualnemu kleryków poświęca się bardzo mało uwagi.



HANDOUT / VATICAN MEDIA / AFP / EAST NEWS

Papież Franciszek i ówczesny przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec kardynał Reinhard Marx podczas prywatnej audiencji w Watykanie, 3 lutego 2020 r.

Systemowe przyczyny miało także podejście przełożonych, które sprzyjało rozprzestrzenianiu się zła. Brak empatii dla ofiar, ukrywanie spraw, przenoszenie krzywdzicieli. Jednym ze źródeł zła było, jak to określa kard. Marx, koncentrowanie się na reputacji instytucji. Usprawiedliwieniem zaś tej koncentracji była sakralizacja teje instytucji.

Z doświadczeń innych krajów, które podjęły się gruntownej analizy „katastrofy wykorzystywania seksualnego”, wynika też, że sakralizacja instytucji wiązała się także z sakralizacją jej przedstawicieli – również w oczach wiernych. Taka percepcja księży czyniła ofiary bardziej podatnymi na manipulację, a potem, gdy już zostały skrzywdzone, sprawiała często, że były osamotnione – nie-rzadko nawet najbliżsi nie wierzyli ich relacjom.

Droga synodalna

Gruntowne analizy problemu wskazują zatem, że rację ma kard. Marx, gdy pisze: „Musimy zajmować się zarówno błędami, za które odpowiadają konkretne osoby, jak i błędami natury instytucjonalnej, domagającymi się zmian i reformy Kościoła”. Przemyślenie owych błędów i wypracowanie odpowiednich zmian oraz reformy Kościoła może się dokonać, twierdzi były przewodniczący niemiec-

kiego episkopatu, „wyłącznie na drodze synodalnej”. Tylko ona, jego zdaniem, jest procesem „umożliwiającym autentyczne »rozeznawanie duchów«”, którego potrzebę podkreśla papież.

Co do tego, jak wyglądać powinna taka droga synodalna, nie ma powszechnej zgody. W jej niemieckim wydaniu – którego kard. Marx był jednym z głównych współautorów – w debatach i wypracowaniu stanowisk na równych prawach uczestniczą i świeccy, i duchowni (w tym biskupi). Takie zrównanie wszystkich uczestników w procesie „rozeznawania duchów” budzi sprzeciw wśród hierarchów i teologów, dla których oznacza to podważenie hierarchicznego ustroju Kościoła.

Niemiecką drogę synodalną krytykowali przedstawiciele watykańskich kongregacji i inni biskupi. Ostatnio, w kontekście poruszonego przez kard. Marksa, zrobił to kard. George Pell z Australii, stwierdzając, iż „myślenie, że ten straszny kryzys wymaga całkowitego przemyślenia naszych struktur lub sposobu życia, to absolutny błąd interpretacyjny”.

Być może drogą wyjścia z impasu będzie przygotowywany przez Watykan synod o synodalności, tj. właśnie o formie funkcjonowania kościelnych instytucji, roli autorytetu, sposobie sprawo-

wania władzy i zakresie realnej współodpowiedzialności za wspólnotę. Za proponowaną formą procesu synodalnego stanowi pewien kompromis – zachowuje dominującą rolę biskupów, ale – w zamierzeniu organizatorów – ma umożliwić swobodne wypowiedzenie się wszystkich zainteresowanych członków Kościoła.

Synod o synodalności ma rozpocząć się jesienią. Ze względu na pozycję niemieckiego kardynała, jego wymiana listów z papieżem może mieć wpływ na przebieg tego procesu, np. na treść pytań, które mają być rozesłane do powszechnych konsultacji w każdej diecezji. Przemyślenie zaś tego, co kard. Marx ma do powiedzenia, może wpłynąć na treść udzielonych odpowiedzi.

Owszem, „sprawa kardynała Marksa” nie przykuwa wszędzie równej uwagi. Np. biskupi nad Wisłą wprost się do niej nie odnieśli. Trudno jednak przypuszczać, by kard. Marx miał zwolenników w polskim episkopacie. Jak w tych dniach powiedział jego wiceprzewodniczący – „Kościół w Polsce jeszcze nie wywiesił białej flagi” i „nie uznał, że trzeba słuchać świata”. Może jednak warto, by posłuchał (słuchanie nie musi oznaczać zgody), co ma do powiedzenia jeden z biskupów tego samego, powszechnego Kościoła.

Słuchać tym bardziej warto, że kard. Marksa wsparł częściowo papież. I choć rezygnacji nie przyjął, pochwalił gotowość zrzeczenia się urzędu. Uznał powagę kryzysu – „katastrofy”, „zbrodni” – i konieczność przyznania się do niego, rezygnacji z obrony prestiżu instytucji i „pozwolenia Duchowi, aby zaprowadził nas w spustoszenie, do krzyża i zmartwychwstania”.

W odpowiedzi Franciszka akcent pada jednak na osobistą odpowiedzialność i nawrócenie biskupów, wobec postulatu instytucjonalnej reformy Kościoła zaznacza się pewien dystans. Jezus, napisał papież, „nigdy nie angażował się w »reformację« (pozwól, że użyję tego słowa): ani projekt faryzeuszy, ani saduceuszy, zelotów czy esenńczyków”. Reformy dokonał „swoim życiem, swoją historią, swoim ciałem, na krzyżu”. To jest, wedle papieża, droga, którą powinni przejść odpowiedzialni za Kościół.

Pytanie, co to konkretnie ma znaczyć. Rozmowa trwa.

Łącznicy

MARCIN CHODUŃ

W niedzielę Zestania Ducha Świętego wyświęcono w Polsce jeszcze jednego diakona stałego. Tych duchownych, którzy mogą mieć własne rodziny, jest wciąż niewielu.

W ŚRODKU JUŻ SPORO LUDZI. MIMO że do rozpoczęcia mszy w bazylice archikatedralnej św. Jana Chrzciciela w Warszawie zostało jeszcze sporo czasu, większość ławek już zajęta. Jeden z kapłanów ścisłym głosem udziela ostatnich wskazówek dotyczących dzisiejszej ceremonii.

W procesji do ołtarza zmierzają biskup, kapłani i diakoni, ubrani we właściwe dla dzisiejszego święta czerwone ornaty i dalmatyki. Spośród nich wyróżnia się mężczyzna w białej albie – jest inżynierem elektrykiem, mieszka w Podkowie Leśnej.

Kilka metrów dalej w pierwszych ławkach – jego rodzina. Towarzyszy mu w szczególnej chwili – za kilkanaście minut ten mąż, ojciec i dziadek stanie się osobą duchowną.

Ludzie godni

Diakoni byli w Kościele już w czasach apostołskich. Św. Paweł Apostoł w Pierwszym Liście do Tymoteusza (3, 8-13) jasno wskazuje, kto tę posługę może spełniać – mają to być ludzie godni, o czystym sumieniu, wiodący życie bez zarzutu. O diakonach pisali pierwsi pisarze chrześcijańscy (m.in. Orygenes, św. Klemens Aleksandryjski, św. Efreem Syryjczyk), określając ich obowiązki. W Kościele pierwszych wieków instytucja ta rozkwitała. Diakonami stałymi byli m.in. św. Szczepan, św. Wawrzyniec czy św. Filip (później także św. Franciszek z Asyżu).

W IV w. diakonat w Kościele łacińskim zaczął stopniowo tracić na znaczeniu, stając się jedynie stanem przejściowym do kapłaństwa (w formie stałej posługi zachował się w Kościele prawosławnym oraz związanych z Rzymem Kościo-

łach wschodnich – syryjskim i koptyjskim).

Nad przywróceniem tej instytucji w Kościele katolickim debatowano na Soborze Trydenckim, jednak nie powzięto w tej sprawie żadnych wiążących uchwał. Kwestię tę podjęto ponownie dopiero podczas Soboru Watykańskiego II – zgromadzeni wówczas w Watykanie biskupi zadekretowali w Konstytucji dogmatycznej o Kościele „Lumen gentium” odnowę diakonatu stałego w Kościele łacińskim.

Sakrament święceń obejmuje trzy stopnie: diakonat, prezbiterat i episkopat, przy czym biskupi i księża przyjmują święcenia dla kapłaństwa, a diakoni dla posługi. Pełniąc swój urząd, diakon winien być znakiem służby Bogu i ludziom, gdyż ma za wzór Jezusa Chrystusa, który przyszedł na świat, by służyć, a nie by jemu służyć.

Dziś na świecie jest blisko pięćdziesiąt tysięcy diakonów stałych. Polski Episkopat zwrócił się do Watykanu z prośbą o wprowadzenie tego urzędu w Kościele w Polsce w 2001 r. Jako pierwszy odpowiedni dekret w tej sprawie wydał biskup toruński Andrzej Suski w 2005 r.

6 czerwca 2008 r. ten sam biskup toruński wyświęcił pierwszego rzymskokatolickiego diakona stałego w Polsce, Tomasza Chmielewskiego.

Grono diakonów stałych w Polsce w ostatnich latach powoli się powiększało. 23 maja 2021 r. dołączył do niego czterdziesty trzeci wyświęcony – Cezary Uszyński.

Pisemna zgoda żony

Msza już się rozpoczęła. Odprawia ją biskup pomocniczy archidiecezji warszawskiej Michał Janocha. Po odcytaniu Ewangelii biskup wypowiada słowa: „Niech przystąpi mający przyjmując święcenia diakonatu”. Cezary odpowiada: „Jestem”. Następnie upoważniony przez biskupa prezbiter zaświadcza, że kandydat został uznany za godnego święceń.

Po przyjęciu sakramentu święceń, którego zawsze udziela biskup, diakon staje się członkiem hierarchii kościelnej. Jako osoba duchowna jest m.in. zobowiązany do codziennego odprawiania modlitwy brewiarzowej.

Biskup Janocha ogłasza, że brat Cezary został wybrany do stanu diakonatu.

JACEK TARAN



Cezary Uszyński uczestniczy w mszy św. – pierwszy raz jako diakon. Warszawa, 23 maja 2021 r.

Stan ten dzieli się na przejściowy i stały. Do stanu przejściowego wyświęca się alumnów seminariów duchownych znajdujących się na drodze do kapłaństwa (wiąże się to z przysięgą celibatu, którą składają oni około rok przed ukończeniem nauki). Diakonami stałymi mogą natomiast zostać zarówno kawalerowie (po 25. roku życia), którzy przysięgają pozostać do końca życia celibatariuszami, jak i mężczyźni już żonaci (mający ukończone 35 lat, co najmniej 5-letni staż małżeński oraz pisemną zgodę żony). Jak Cezary Uszyński.

Po homilii Cezary potwierdza, że chce jako diakon pomagać prezbiterom, przyrzeka też cześć i posłuszeństwo biskupowi oraz jego następcom.

Diakonat obejmuje jednocześnie trzy posługi: liturgii, słowa i miłości. Diakon nie sprawuje Eucharystii, nie spowiada, nie udziela sakramentu namaszczenia chorych. Zakres jego działań określa biskup w porozumieniu z proboszczem parafii, do której zostaje posłany. Diakoni mogą asystować biskupowi lub kapłanowi podczas mszy, błogosławić śluby, prowadzić pogrzeby, udzielać chrztu i komunii, czytać Ewangelię, głosić homilie, przewodniczyć nabożeństwom, sprawować sakramentalia oraz prowadzić działalność charytatywną i społeczną w imieniu Kościoła.

Podczas litanii do wszystkich świętych Cezary leży krzyżem.

Biskup z nałożoną mitrą staje przed ołtarzem. Gdy Cezary przed nim klęka, biskup w ciszy nakłada na jego głowę ręce.

Następnie wygłasza formułę święceń. Diakoni obecni na mszy pomagają założyć wyświęconemu diakonowi stulę przewieszoną ukośnie przez lewe ramię spiętą u dołu z prawego boku oraz dalmatykę będącą jego właściwą szatą liturgiczną.

Cezary klęka znów przed biskupem, który podaje mu księgę Ewangelii, polecając głosić z wiarą Słowo Boże i żyć zgodnie z nim.

Działanie z góry

Podkowa Leśna. Niewielki dom przy jednej z bocznych uliczek. Ogród zarośnięty jak diabli – widać, że trawnik dawno nie widział kosiarki.

– Te chwasty to też jest owoc ostatnich lat – śmieje się na powitanie Cezary Uszyński. Tłumaczy, że po prostu nie miał czasu zająć się ogrodem. Cóż, doba bywa za krótka: rodzina, praca, posługa nadzwyczajnego szafarza komunii świętej, czteroletnie przygotowania do święceń.

Czy to dla niego ważny dzień?

– No, nie tak ważny jak chrzest święty, ale na pewno jeden z najważniejszych w życiu – odpowiada, prowadząc na taras z tyłu domu; przy kawie wszystko opowie.

Przyznaje: przed laty za nic by nie pomyślał, że taki dzień nadejdzie. Kiedyś był „niedzielnym katolikiem”. W latach szkolnych właściwie stracił wiarę. – Było to kilka lat posuchy – opowiada.

Jego życiem było wtedy harcerstwo – w wieku osiemnastu lat został nawet komendantem szczepu. Ciągle mu jed-

nak czegoś brakowało. Pomodlił się pewnego wieczoru do Boga – ot tak, bo przecież niezbyt wtedy wierzył: „Panie Boże, jeżeli jesteś, spraw, abym był komuś potrzebny”. Po jakimś czasie przypomniał sobie o tej modlitwie – minęły dwa miesiące i Cezary poznał piękną dziewczynę, Magdalенę. Zakochali się w sobie. Po przeszło dwóch latach znajomości pobrali się. On miał wtedy 22 lata, ona 21. Dwa lata później urodziła się pierwsza córka, w następnych latach trzy kolejne. – Zobaczyłem, jaki jestem potrzebny! – wspomina.

Żeby utrzymać rodzinę, przeniósł się ze studiów dziennych na wieczorowe na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, pracując jednocześnie w Zakładzie Energetycznym. Rok po ich ukończeniu w 1980 r. założył własną firmę. – W latach komunii było to bardzo trudne, ale udało się – mówi. Praca na dwa etaty, od rana do nocy – wracał co wieczór cały obsypany pyłem (pracował głównie na budowach); w wannie niemal zasypiał.

W 1991 r. przeprowadził się z rodziną do Podkowy Leśnej. Pewnego dnia żona mówi mu, że byli u niej dwaj księża przekazujący sobie probostwo miejscowej parafii i zaproponowali jej prowadzenie katechezy w szkole. On na to: „Czy oni poszaleli?”. Bo przecież żona nie miała odpowiednich kwalifikacji (z wykształcenia była bibliotekoznawczynią), a poza tym przez ostatnie 16 lat zajmowała się domem i dziećmi. „Mieszkamy tu dopiero od pięciu miesięcy, nikt nas tu właściwie

→

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Już w środę 30 czerwca rozpoczynamy wakacyjny cykl dodatków

Włóczykij i Powsinoga

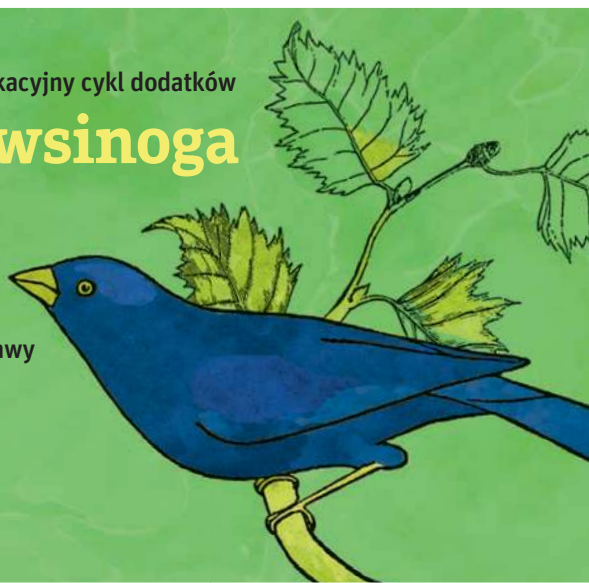
W pierwszym odcinku:

- Republika ptasia i podróż polsko-niemieckim pograniczem z reporterką Karoliną Kuszyk
- Wakacje ze sztuką: Piotr Kosiewski poleca najlepsze wystawy

Masz do zaoferowania naszym Czytelnikom i Czytelniczkom ciekawy sposób spędzania wakacji?

Zareklamuj się w naszym przewodniku

– czekamy pod adresem reklama@TygodnikPowszechny.pl





Cezary Uszyński z żoną Magdaleną przed swoim domem w Podkowie Leśnej, 23 maja 2021 r.

→ nie zna – dlaczego zwrócili się do ciebie?”. Wspólna decyzja: żona pójdzie na plebanię i odmówi. Poszła wieczorem. Wraca i mówi: „Nowy proboszcz i nowy wikariusz siedzieli z podkrążonymi oczami, chyba się czymś struli – nie miałam sumienia...”.

– Tak Magda została katechetką – bez kwalifikacji, z dziećmi na głowie. Opiekując się chorymi rodzicami, równolegle zajmowała się domem i robiła 6-letnie studia na ówczesnej Akademii Teologii Katolickiej (dziś Uniwersytet im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego). Dlatego mówię, że to było działanie z góry.

Delikatne impulsy

W tym czasie Magdalena często uczestniczyła w porannej mszy. Po jakimś czasie dołączył do niej Cezary.

Tak, żona go inspirowała: – Wówczas tylko jej towarzyszyłem – opowiada. – Byłem pełen podziwu, ile udaje się jej zrobić. Zdarzało się na przykład, że rodzice dzieci przygotowujących się do pierwszej komunii pod wpływem jej katechezy decydowali się zawrzeć sakramentalne małżeństwo. Widać było, że prowadzi ją Duch Święty.

Cezary opowiada, że jego przewodnikiem duchowym stał się ówczesny proboszcz, ks. Leszek Slipek, który na różne sposoby pokazywał mu drogę do Boga. Utrzymywał z nim kontakt nawet po przeniesieniu księdza do jednej z war-

szawskich parafii. Pewnego dnia nowy proboszcz w Podkowie Leśnej, ks. Wojciech Osiał, zaproponował Cezaremu kurs nadzwyczajnego szafarza komunii świętej. On jednak odmówił. – Byłem wtedy tak zajęty, że nie było o tym mowy – wspomina. Po dwóch latach proboszcz ponowił propozycję. – Pomyślałem wtedy: „To musi być jakiś znak. Ale kim jest ten szafarz nadzwyczajny?”. To była dla mnie zupełna egzotyka. Zgodziłem się jednak. Po jakimś czasie ludzie, którzy znali mnie z niedzielnej mszy, zaczęli do mnie przychodzić z pytaniami. Mówiłem im: „Idźcie do księdza”. Oni na to, że się krępują. Wielu ludzi miało nikłą wiedzę teologiczną – widać woleli ze mną pogadać, gdy im bezpieczniki naprawiałem – śmieje się.

A pytania były coraz ciekawsze. Zdarzało się, że do późnej nocy z ludźmi dyskutował na ulicy. Poczuł, że ma braki w wiedzy teologicznej – w końcu był elektrykiem, a nie teologiem. Pomyślał: „Dlaczego nie zapisać się na studia teologiczne?”. Miał jednak wątpliwości: w wieku 56 lat zaczynać naukę? Rektor Papieskiego Wydziału Teologicznego na warszawskich Bielanych na to: „A niby dlaczego za stary...?”.

Na studiach nie myślał o diakonacie stałym. Ale znowu przychodziły impulsy. Ktoś go pewnego dnia pyta: „Chce pan zostać diakonem?”. „A kto to jest?”. Potem znów ktoś zadaje to samo pytanie. I znów.

– Pomyślałem, że może rzeczywiście coś w tym jest. Bo Pan Bóg jak powołuje, to robi to nienachalnie.

Pojechał na rekolekcje diakonów stałych – chciał zobaczyć, kim oni są. Spotkał tam wspaniałych ludzi: otwartych na drugiego człowieka, niewspółzawodniczących ze sobą, nienastawionych na karierę. Został przyjęty z sercem i życzliwością. Zafascynowało go to – dotąd znał tylko świat biznesu, konkurencji, wygrywania się.

Postanowił: „Idę w ciemno”.

Element poruszający

Nie wie jeszcze, jaki będzie nosił strój jako diakon. W polskim Kościele II Synod Plenarny precyzyjnie określa jedynie strój prezbiterów. Diakon stały w Polsce, jako osoba duchowna, może więc w codziennym życiu nosić sutannę lub koszulę z koloratką, ale nie jest do tego zobowiązany. – Nie, sutanny jeszcze nie kupiłem. Ale może to zrobić – zastanawia się i podaje argument: – Bo jak idzie się z wiatkiem do chorych, to oni oczekują jednak widoku księdza. Podobnie przy prowadzeniu pogrzebu.

– Do marketu jednak z żoną w sutannie już nie pójde – dodaje ze śmiechem.

Podkreśla: najważniejsza jest dla niego relacja z Bogiem. Diakoni powinni być blisko ludzi, zanurzeni w normalnym życiu. – Jesteśmy chyba trochę takim łącznikiem pomiędzy księżmi a zwykłymi ludźmi. Często księża – choć oczywiście nie wszyscy – gdy zrobili już swoje, zamykają się na plebaniach i chcą odpocząć. Diakoni są tym elementem, który może coś poruszyć.

Wie już, gdzie będzie posługiwał: w warszawskiej parafii pw. św. Andrzeja Apostoła na Chłodnej. – To szczególnie dla mnie kościół. Parafią kieruje ks. Leszek Slipek. Poza tym w tym właśnie kościele czterdzieści sześć lat temu wzięliśmy z Magdą ślub.

Pierwszy chrzest

Na tarasie pojawia się Magdalena i pyta, czy nalać rosółu.

Czy będą świętować? Tak, ale skromnie: zjedzą dziś kolację z jedną z córek, zięciem i wnuczką – Ignasiem. Potem jadą do drugiej córki – do Zakopanego. Diakon Cezary Uszyński ochrzci tam swojego drugiego wnuka, dwumiesięcznego Józia.

ZUZANNA

Radzik: Bez sił



I OTO ROZGRZEWAJĄ SIĘ EMOCJE. NAPIERW wywiadu udziela arcybiskup, potem minister czerpie z niego obficie podczas wykładu, mówiąc o splocie Polski i chrześcijaństwa. I cytują ich, i chwytają się za głowy.

No dobrze, ja też się łapię na te plastyczne zdania, a już najbardziej na te batalistyczno-apokaliptyczne. O tym, że zawsze jest jakaś bestia, że będą męczennicy. I zapewnienia, że Kościół pod presją takiego świata nigdy się nie ugnie. Dokładniej to szło tak: „Kościół w Polsce jest ostatnim na naszym kontynencie, gdzie ciągle trwa zmaganie. Myśmy jeszcze ciągle białej flagi nie wywiesili, nie poddali się, nie uznaliśmy, że trzeba słuchać świata. I jej nie wywiesimy, nie poddamy się”.

Sama zaś zaczynam fantazjować, że oto idę w tym dystopijnym pejzażu niewywieszonych białych flag, męczenników, chrześcijaństwa od czasów Mieszka płynącego w krwi Polaków (etnicznych czy według obywatelstwa?). Gdy z zachodniej, upadłej Europy dobiega złowrogi płacz nad losem żab, ja gdzieś noszę swoje chrześcijaństwo do bunkra, żeby je uchronić przed tym bitewnym polem. Albo do jakiegoś źródła – żeby je napić czymś życiodajnym, nakarmić czymś świeżym, innym. Żeby mi nie zdechło w trujących oparach. Nie macie tak? Nie w dystopijnym, lecz w tym realnym świecie ministra mówiącego arcybiskupem czy arcybiskupa mówiącego... no, nie tak, jak arcybiskup powinien. Nie macie tak, że opadacie z sił?

Czytam tak sobie w przerwach te wywiady, już szarpią mi za ten nerw, że to się nie mieści w głowie. I już mi się wyrwają te emocje, ale wtedy coś szepcze w głowie puentę znanej przypowieści o wilkach: „Wygrywa ten, którego karmisz”. Oj, upasie się ten wilk na tych smakowitych, gęstych zdaniach, zagrzewających do obrony chrześcijaństwa. Na dziwaczności politycznego splotu, w którym minister parafrazuje biskupa. Obeżre się moich emocji tym wywołanych, mojego wzmożenia. A potem pójdzie nakarmić się u was. Będzie pewnie czym, prawda?

Poprzednim razem, gdy mnie tak zmęczyły własne emocje w reakcji na rzeczywistość, jęknęłam przyjaciółce: „Chciałabym przeczytać coś pięknego”. Chyba dodałam, że coś o czymś zupełnie innym, nie o problemach. A ona pozwoliła wybierać z długiej listy azjatyckich opowiadań, powieści. Moje wieczory wypełniły te odległe światy, drobne historie o miłości pisane w Hongkongu. Czuła historia o dotkniętym amnezją genialnym matematyku. Terapia literaturą. Nic nowego. I jeszcze to opowiadanie o niedźwiedziu, które ma dwie

wersje. Sprzed tsunami, i subtelnie zmienione, napisane po katastrofie.

Pamiętacie, jak biskupi krakowscy mówili inne kazania? Choć w sumie ambona absurdu rotuje, czasem jest w Gdańsku, czasem w Rzeszowie. Chyba odkąd pamiętam, podsumowania kazań biskupich z okazji ważniejszych świąt budziły zmieszanie. Tak skutecznie głoszona ta dobra nowina, że by została przyjęta, trzeba postraszyć wrogiem. Czy ten wróg będzie Żydem, czy gender, to właściwie drugorzędne. Homofobia koreluje z antysemityzmem i w kazaniach biskupów, i w umysłach wielu Polaków. Ponoć najbardziej w Europie.

No dobrze, to spacer. Spacer działa zawsze. Na nerwy, na myślenie. Zresztą tak mówię zwykle: idę wychodzić felieton. No to idę, w te ulice udekorowane tęczowymi flagami. To, że publiczne budynki noszą flagi, przejmuje zwłaszcza przyjezdną z Polski. Idę po tęczowych przejściach dla pieszych i pod wielkim tęczowym napisem o różnorodności, i wciąż rozmyślam o krakowskim biskupie i polskim ministrze edukacji. Obaj szczęśliwie są daleko. A tłum wokół mnie, korzystający z dusznego czerwcowego wieczora, nie wie o ich istnieniu.

Poszłabym nawet policzyć babcie na mszy w brukselskiej katedrze, ale to nie niedziela. Minister zapewniał, że jest ich siedem, co świadczy niechybnie o upadku chrześcijaństwa w zachodniej Europie.

Nie znam dobrze miejscowych kościołów. Wiem tylko, że w tym barokowym modlą się po flamandzku i od 30 lat pracują z bezdomnymi. Pod chórem wiszą dwie huštawki, a na ścianach są grafiki po hebrajsku i arabsku. Jawna kpina! Nie wiem tylko, co bardziej: huštawki w kościele czy ten arabski. W innym z okazji czerwca powiesili nad wejściem tęczowy napis „Alleluja”. W dawnym beginażu zaś, gdzie ulokowano projekt dla migrantów i uchodźców, teraz trwa strajk głodowy tych z nich, którzy nie mają dokumentów. Wejście osłonięte jest transparentami. Takiego chrześcijaństwa, jakie przepowiadają minister i arcybiskup, w żadnym z nich się nie znajduje. ©

POZEGNANIE

Urszuli Chwalbie

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

SKŁADAJĄ PRZYJACIÓŁKI I PRZYJACIELE
z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

ŁOWCY NIEZADOWOLONYCH

Program niemieckich populistów jeszcze nigdy nie był tak radykalny. W wyborach do Bundestagu mogą liczyć na ponad pięć milionów głosów.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z MAGDEBURGA



MARTIN REICHARDT, PRZEWODNICZĄCY Alternatywy dla Niemiec (AfD) w landzie Saksonia-Anhalt, podnosi głos, gdy woła do mikrofonu: – Dźwiękowców proszę o wzmocnienie sygnału. A od policji żądam, by zrobiła porządek z tym motłochem!

Jakieś 50 metrów od trybuny, z której przemawia Reichardt, stoją przeciwnicy AfD. Od ponad pół godziny usiłują zagłuszać przemówienia polityków występujących na wiecu Alternatywy. Początkowo prowadzący wiec z zadowoleniem konstatawali, że „AfD ma lepsze głośniki”, na co przeciwnicy wyciągnęli gwizdki. Gdy kolejni mówcy podnosili coraz bardziej głos, kontrademonstranci skandowali jeszcze głośniejsze: „Faszyści won!”.

– Kochani magdeburchy, kochani Saksończycy, kochani Niemcy! – zwraca

się do zebranych 51-letni Reichardt i szybko przechodzi do ataku. „Stare partie”, jak AfD nazywa wszystkie pozostałe partie w Bundestagu, dążą do „ekodyktatury” i propagują „kulturę śmierci” – tu polityk podnosi głos. W tym momencie po stronie przeciwników ustawia się samochód z przyczepą, na której stoją wielkie kolumny. W stronę trybuny AfD płyną rytmiczne uderzenia muzyki elektronicznej.

Do tej chwili zwolennicy AfD starali się ignorować kontrademonstrację. Dodatkowe decybele okazują się jednak skuteczną prowokacją. Rozsierdzeni ludzie ruszają w stronę źródła hałasu. Obie grupy rozdzielają barierki, a przestrzeń między nimi szybko zajmują policjanci. – Zdraycy narodu! – krzyczy ktoś z szeregów AfD. W górę wzniesione zostają czarno-czerwono-żółte flagi państwowe Niemiec, zaciśnięte pięści i środkowe palce. Do dalszej eskalacji nie dochodzi, bo policja szybko egzekwuje ściszenie muzyki, w końcu wiec AfD jest legalny. Grupa ok. 200 ludzi wraca pod trybunę słuchać kolejnych wystąpień.

Rytuał sprzeciwu

Ten wiec na placu Katedralnym w centrum Magdeburga, w piątek 4 czerwca, był ostatnim wydarzeniem w kampanii AfD przed wyborami do parlamentu landu Saksonia-Anhalt, które odbyły się dwa dni później. Ale podobny rytuał – kontrademonstracje, próby zagłuszania, wyzwiska rzucane przez obie strony – rozgrywa się niemal za każdym razem, gdy politycy AfD pojawiają się w przestrzeni publicznej.

– Protesty odbywały się w każdym miejscu, gdzie była AfD – mówi Christiane, jedna z organizatorek kontrademonstracji w Magdeburgu, zapytana przez „Tygodnik”. – Wolę nie podawać nazwiska – zaznacza. Strach? – Tak, boję się – przytakuje. Osoby zwalczające AfD dostają pogróżki, do sieci trafiają ich prywatne adresy.

Liderzy AfD (od lewej): Alexander Gauland (współprzewodniczący frakcji AfD w Bundestagu), Jörg Urban (szef AfD w Saksonii), Hans-Thomas Tillschneider (poseł do landtagu Saksonii-Anhalt) i Björn Höcke (lider frakcji w landtagu Turynгии i nieformalny lider środowisk skrajnie prawicowych w AfD) oczekują na wyniki wyborów w Saksonii-Anhalt. Magdeburg, 6 czerwca 2021 r.

Christiane, starsza kobieta, od 25 lat mieszka w Magdeburgu, stolicy landu. Ostatnio angażowała się w ruchy ekologiczne. – Grupy kościelne, diaspora żydowska, Fridays for Future, ludzie kultury – wymienia grupki, które jako Solidarny Magdeburg zorganizowały wspólnie ten protest. – W Saksonii-Anhalt AfD jest mocno powiązana z ruchami skrajnie prawicowymi, neonazystami i organizacją Obywatele Rzeszy – tłumaczy.

Główny postulat protestujących kierował się zresztą nie w stronę AfD. – Przestrzegamy wszystkie inne siły przed współpracą ze skrajną prawicą i AfD – tłumaczy Christiane.

Przeciwnicy AfD od zeszłego roku mają powody do obaw. Wówczas to politycy chadeckiej CDU – partii Angeli Merkel, która w landzie Saksonia-Anhalt ma premiera – zaczęli publicznie zastanawiać się nad jakąś formą współpracy z Alternatywą, np. pod postacią rządu mniejszościowego CDU tolerowanego przez AfD. Choć ta rebelia w łonie chadecji została oficjalnie szybko stłumiona, już same takie wypowiedzi budziły poczucie, że populiści są bliżej współzrzedzenia niż kiedykolwiek.

Tylko dla rdzennych Niemców

Aby potwierdzić swe obawy, wystarczy, że wyborca szeroko pojętego centrum zajrzy do programu AfD.

W kampanii w Saksonii-Anhalt partia przygotowała przede wszystkim dużą dawkę polityki socjalnej. Dopłaty dla rodzin do kredytów na budowę domu, darmowe przedszkola, dodatkowe środki dla rodzin wielodzietnych. AfD oferuje kilka tysięcy euro jako bonus na urodziny dziecka i dodatkowe świadczenia z funduszy landowych, które uzupełniłyby zasiłki już otrzymywane przez rodziny z puli federalnej.

Obietnice te mogłyby znaleźć się w programie innych głównych partii. Mocne socjalne wsparcie dla obywateli mają w swoich programach nie tylko Die Linke (partia najbardziej lewicowa), ale też socjaldemokraci (SPD) i chadecy. Jednak w przypadku AfD cała ta oferta skierowana jest tylko do rdzennych Niemców, jako jeden z dwóch filarów programowych. I tak jak ten pierwszy roztraca obietnicę poprawy bytu, tak w drugim chodzi o utrudnienie życia tym, których AfD nie uważa za prawdziwych Niemców.

Politycy AfD chcą bowiem odwrócić politykę migracyjną kanclerz Merkel →



KAI PFAFFENBACH / REUTERS / FORUM

→ o 180 stopni. Proponują umieszczanie osób, które wnioskuje o azyl, w miejscach odludnych. Dzieci osób, które uzyskały azyl, nie powinny uczyć się w niemieckich szkołach, lecz osobno, w ich języku ojczystym, tak aby nie odniosły wrażenia, iż będą mogły zostać tu na dłużej. W ten sposób AfD podważa nieformalny konsensus w Niemczech, wedle którego kraj jest otwarty na imigrantów i wywiązuje się ze zobowiązań wobec uchodźców. Po uzyskaniu azylu przybysze cieszą się wsparciem państwa i otrzymują perspektywę pozostania na stałe.

Również na wiecu w Magdeburgu tematy związane z imigracją wiodły prym. – Islam nie przynależy do Niemiec – przekonywał Oliver Kirchner, główny kandydat na landowej liście AfD. Został nagrodzony brawami.

„Niemcy. Ale normalne”

W programie AfD jest też akapit o zatrzymaniu imigracji „biedoty” z krajów Unii. Czy chodzi o Polaków, Rumunów lub Bułgarów, którzy także w Saksonii-Anhalt pracują w fabrykach i na polach? „Tygodnik” zadał to pytanie Kirchnerowi na chwilę przed rozpoczęciem wiecu. – Nie, chodzi o Romów. Oni tworzą skupiska wielodzietnych rodzin i utrzymują się tylko z naszego systemu socjalnego – odparł polityk. Ale akapit w programie jest sformułowany tak, że odbiorca może sobie sam wyobrazić, o kogo może chodzić.

Wsparcie dla „prawdziwych Niemców” i utrudnienie życia imigrantom uzupełniają postulaty z innych dziedzin. W opinii publicznej Niemiec panuje dość powszechnie zgoda, że wyzwaniem dekady są zmiany klimatu i obniżenie emisji CO₂. Tymczasem AfD proponuje utrzymanie wydobywania i spalania węgla oraz dalsze wsparcie dla silników spalinowych.

AfD obiecuje też rozprawić się z „lewicową mafią”. To określenie z programu oznacza organizacje pozarządowe, które w opinii populistów mają na sumieniu długą listę przewin: seksualizację dzieci, wspieranie „antyniemieckiej” kultury, genderyzację społeczeństwa, wspieranie uchodźców. Alternatywa przekierowałaby środki, które dostaje owa „mafia”, na to, co w jej języku określa mianem „normalności”. Główne hasło AfD na poziomie federalnym brzmi: „Niemcy. Ale normalne”.

Michael Kraske, dziennikarz z Lipska, obserwuje AfD od lat. W ostatniej książce



Oliver Kirchner, główny kandydat na landowej liście AfD. Magdeburg, 4 czerwca 2021 r.

poświęconej tej partii przekonuje, że jej język to nie tylko polityczna prowokacja, lecz autentyczny program. – Oni naprawdę myślą to, co mówią. To nie retoryka, lecz program radykalnej prawicy – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Kraske zwraca uwagę, że język, który padał na wiecu w Magdeburgu czy trafił do programu dla Saksonii-Anhalt, to stały słownik partyjny. Gęsto w nim od takich pojęć jak „obcy kulturowo”, „antyniemiecki”, „zdraycy narodu”, „biznes azylowy”. Czasem zbija się to w jedno, jak w przypadku Alice Weidel, jednej z liderki partii, która w 2018 r. krytykowała w Bundestagu rząd Merkel za ściąganie do kraju „dziewczynek w chustach, nożowników na utrzymaniu i innych nie-dojd”.

Od ekonomii do migracji

Alternatywa przeszła długą drogę od roku 2013 r., gdy grupa konserwatywnych polityków i ekonomistów tworzyła tę partię. Wtedy istotą programu był sprzeciw wobec pomocy finansowej dla Grecji, która była na skraju bankructwa. Dziś założycieli AfD, którzy stawiali na sprawy ekonomiczne, albo już w partii nie ma, albo są zmarginalizowani. Szarą eminencją i strategiem jest natomiast Alexander Gauland. 80-letni dziś polityk był w gronie założycieli, ale już wtedy uważał, że AfD nie może być partią jednego tematu.

Dla Gaulanda liczy się skuteczność: to, co przybliży do przejęcia władzy. Nie ma problemu z wyzywaniem od „kłamliwej prasy” niemal wszystkich mediów tzw.

głównego nurtu, choć – jak przyznaje – zaczyna dzień od lektury renomowanych dzienników „FAZ” i „Die Welt”, a w ciągu dnia najchętniej słucha publicznej rozgłośni Deutschlandfunk. Pozwala swoim harcownikom szerzyć ksenofobiczne treści wymierzone w imigrantów, a równocześnie jego córka Dorothea, z którą pozostaje w bliskiej relacji, jest ewangelicką pastorką o poglądach lewicowych.

Wiele na jego temat można dowiedzieć się z książki Olafa Sundermeyera pt. „Gauland”. Np. że nową partię założył ze złości i frustracji. Wcześniej, od lat 70. XX w., był członkiem CDU, ale nigdy nie dane mu było zbliżyć się do najważniejszych stanowisk. Po przejęciu sterów w CDU przez Merkel, wraz z grupą konserwatywnych seniorów został odsunięty na boczny tor, co miało pchnąć go do założenia własnego ugrupowania.

„Naród zaczął się bronić”

Od tego czasu Gaulandowi udało się zebrać w AfD wszystkie grupy na prawo od chadecji: od konserwatystów zawiedzionych kursem Merkel po prawicowych radykałów, którzy wcześniej głosowali na partię tyleż skrajne, co marginalne. Nieustrudzenie wyszukuje on kolejne grupy niezadowolonych, aby ich rozczarowania i frustracje przekuć na procenty poparcia. Gdy po rosyjskiej inwazji na Ukrainę zauważył, że część społeczeństwa Niemiec bez względu na wszystko będzie za współpracą z Rosją, do programu dodał akcenty prorosyjskie, których trzyma się do dziś. Niedawno przekonywał z trybuny Bundestagu, że Rosja to największy sojusznik Niemiec w historii.

Swoją tematykę jeden partia odkryła w 2015 r. Kryzys migracyjny i liberalna polityka migracyjna kanclerz Merkel do dziś są głównym paliwem AfD. Antyimigranckie hasła trafiają do elektoratu, a postulaty przywrócenia porządku i zatrzymania imigracji doprowadziły w 2017 r. do uzyskania w wyborach do Bundestagu 12,6 proc., tj. blisko 6 mln głosów (dziś w sondażach AfD ma nieco ponad 10 proc.). Również na tej fali AfD wprowadziła już swych polityków do parlamentów krajowych wszystkich 16 landów.

„Naród zaczął się bronić. Tak jak na Węgrzech, w Polsce czy na Słowacji” – komentował sukcesy Gauland. AfD sugeruje, że Niemcy są zależne od zewnętrznych sił, USA i Brukseli. I jak-



LUKASZ GRAJEWSKI

Wiec AfD przed katedrą w Magdeburgu, 4 czerwca 2021 r.

kolwiek absurdalnie by to z polskiej perspektywy brzmiało, oferuje swoim wyborcom program „wstania z kolan”. Co dobrze oddziałuje zwłaszcza w byłej NRD.

Wschodnie paralele

Na krótko przed wyborami w Saksonii-Anhalt Marco Wanderwitz – pełnomocnik rządu Merkel ds. nowych krajów związkowych (tj. byłej NRD) – stwierdził, że mieszkańcy Niemiec wschodnich zostali „wychowani w dyktaturze” i dlatego mają problem z pełnym zrozumieniem zasad demokracji. Przekonywał, że jest tam tendencja do głosowania na skrajną prawicę i że ta grupa wyborców może być już nie do odwołowania dla partii głównego nurtu.

Słowa te wywołały burzę. Jedni uznali je za taktyczne przecięcie spekulacji na temat rozmów między CDU a AfD. Z drugiej strony Wanderwitzowi zarzucano paternalizm, którego mieszkańcy wschodnich landów doświadczają od trzech dekad. – Jak można Niemców z byłej NRD tak traktować i zarzucać im brak zrozumienia demokracji? – pytał retorycznie w rozmowie z „Tygodnikiem” Oliver Kirchner. – To właśnie dlatego, że ci ludzie żyli w poprzednim systemie, są teraz bardziej wyczuleni na zapędy dyktatorskie – tłumaczył.

Kirchner i inni politycy AfD przemawiali w Magdeburgu ze sceny, na której widniał wielki napis „Widerstand” (niem. opór). Słowo to pojawiało się na demonstracjach przeciw reżimowi komunistycznemu w NRD. Snucie paralel to jedna z przyczyn sukcesów AfD na

wschodzie. Przekaz brzmi: tak wtedy, jak i dziś trzeba wychodzić na ulice (teraz na wiece AfD), aby popierać tych, którzy chcą ustrzec kraj przed „dyktaturą Merkel”, bo ona interesuje się tylko uchodźcami i „dyktaturą koronawirusową”, która odbiera wolności obywatelskie, czy też ustrzec przed „zieloną dyktaturą”, która sprawi, że wszystko będzie droższe, aż zgrozi egzystencji zwykłych ludzi.

Rozmowy na placu Katedralnym pokazują, jak to się sprawdza. – Państwo łoży na uchodźców więcej niż na nasze emerytury – mówiła mi uczestniczka wiecu AfD. – Nie chodzi o to, aby w ogóle im nie pomagać, lecz nie może być finansowania kryminalistów i dilerów narkotyków – mówiła inna. Wszyscy pytani wcześniej głosowali na CDU. Przekonywali, że teraz CDU zajmuje się tylko imigrantami, a nie własnymi wyborcami.

Badania socjologiczne wskazują, że na AfD głosuje więcej mężczyzn i że są to osoby gorzej wykształcone, które oddają głos głównie z rozczarowania, a nie z przekonania. Głosy na AfD to przede wszystkim głosy przeciw całej klasie politycznej, która zostawiła mieszkańców wschodu w konfrontacji z transformacją lat 90. – Ten cały proces przebiegał za szybko i takie tempo wyprzedawania państwowych przedsiębiorstw do dziś pozostawiło rysy na życiorysach ludzi, którzy wtedy stracili pracę – mówił mi Kirchner.

Strategiczna cierpliwość

Dwa dni po wiecu w Magdeburgu było już wiadomo, że AfD nie zrealizowała

swojego planu, który zakładał, że będzie najsilniejszą partią w Saksonii-Anhalt. W wyborach landowych z 6 czerwca uzyskała wprawdzie jedną piątą głosów (20,8 proc.), ale sensacyjnie wręcz wysokie zwycięstwo przypadło CDU (37,1 proc.). Tymczasem w sondażach obie partie szły łeb w łeb. Politycy AfD mieli więc podstawy, by liczyć nawet na najlepszy wynik.

Jednak właściwa Alternatywie umiejętność szybkiego reagowania pozwala sądzić, że może ona liczyć na to, iż we wrześniowych wyborach do Bundestagu przekroczy 10-procentowy próg psychologiczny.

– Badania wskazują, że nawet jedna trzecia niemieckiego społeczeństwa jest podatna na teorie spiskowe – mówi mi Michael Kraske, który tym tłumaczy, że AfD może skutecznie powalczyć we wrześniu o głosy nie tylko przeciwników imigracji, ale też koronasceptyków i tej części społeczeństwa, która jest rozczarowana rządową reakcją na kryzys epidemiczny.

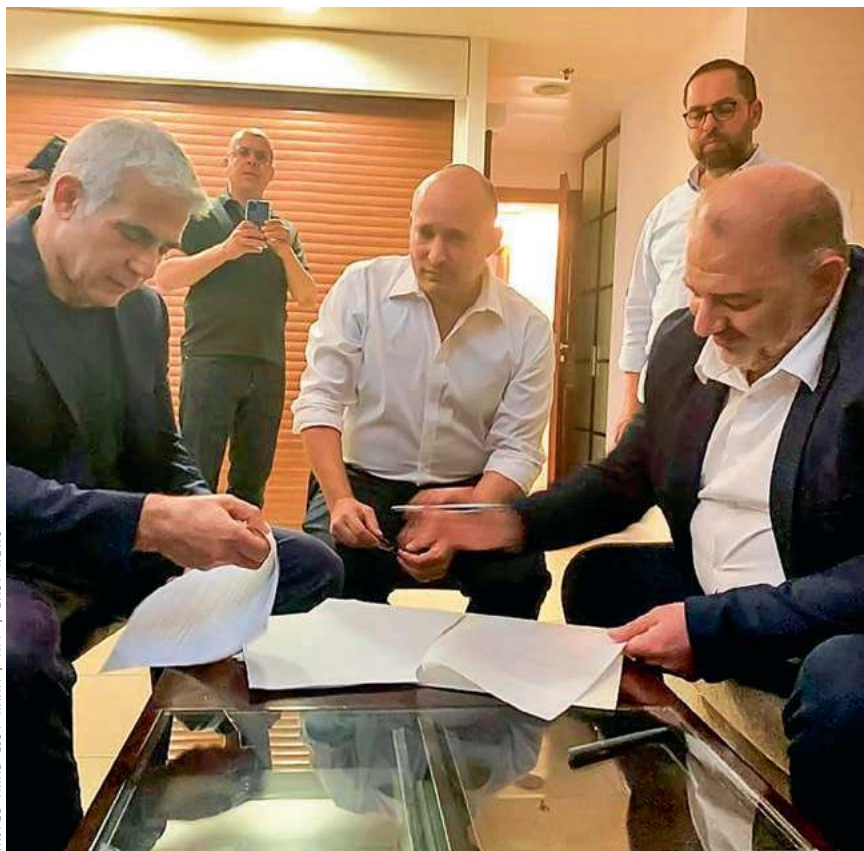
Również postulat wyjścia Niemiec z Unii Europejskiej, zapisany w programie AfD na wybory ogólnokrajowe, nie jest abstrakcyjny. Z sondażu European Council on Foreign Relations wynika, że aż 55 proc. Niemców uważa, iż Unia „nie działa”. Dodatkowym powodem do zadowolenia dla AfD może być fakt, że w Saksonii-Anhalt odniosła zdecydowane zwycięstwo w najmłodszych grupach wiekowych: otrzymała 19 proc. wśród wyborców w wieku 18-24 lata oraz aż 30 proc. wśród tych w wieku 25-34 lata.

Mając na myśli wydarzenia, które mogą wzmocnić poparcie dla AfD, partyjny strateg Alexander Gauland lubi podobno mawiać: „A zobaczycie, co dopiero nadejdzie”. Ponieważ kolejne kryzysy są nieuniknione, AfD nie zabraknie politycznego paliwa.

W swoich założeniach sprzed lat Gauland liczył się z pierwszą możliwością przejęcia władzy dopiero w 2025 r. Na długi marsz nastawieni są również wyborcy AfD w Magdeburgu.

– W czasach NRD też wszyscy mówili: po co wychodzicie na ulicę, to i tak nic nie da – mówiła mi uczestniczka wiecu. – A później nagle wszystko się rozsypało. Teraz też będą wychodziła, aż do skutku.

© LUKASZ GRAJEWSKI



Od lewej: Jair Lapid, Naftali Bennett i Mansur Abbas podpisują porozumienie o koalicji rządowej. Ramat Gan, Izrael, 2 czerwca 2021 r. (zdjęcie zrobione smartfonem).

Dla jednych pragmatyk, dla innych zdrajca

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Partia arabska w rządzie Izraela: to brzmi i egzotycznie, i obiecująco z perspektywy relacji żydowsko-arabskich. Ale wśród Arabów opinie są bardzo podzielone.

LEDWIE POJAWIŁ SIĘ NA SZEROKIEJ IZRAELSKIEJ scenie politycznej, narobił rabanu: w półtora roku nieznany wcześniej polityk z północy Izraela, Mansur Abbas (nie mylić z Mahmudem, prezydentem Autonomii Palestyńskiej), stał się gwiazdą mediów. Z zawodu dentysta, od 2010 r. był szefem lokalnych struktur Ruchu Islamskiego (ugrupowanie działające legalnie w Izraelu) w południowej części kraju. W przeciwieństwie do zdelegalizowanych

przez władze izraelskie radykalnych struktur w części północnej odłām Abbasa wspierał aktywny udział Arabów w izraelskim życiu politycznym. W 2019 r. wystartował w wyborach do Knesetu jako numer jeden na wspólnej liście ugrupowań arabskich. To on wprowadził niewielką partię Ra'am – dotąd mało wpływową i słabo widoczną – na środek sceny politycznej.

W swojej społeczności Abbas zdobył przychylność dzięki hasłom sprzeciwia-

jącym się liberalizacji praw dla społeczności LGBT+ (m.in. opowiadając się za terapią konwersyjną). Popularność dały mu więc nie palące kwestie dotyczące polityki w regionie, lecz sprawy dotyczące religijności i obyczajowości. W ostatnich marcowych wyborach w Izraelu frekwencja w społeczności arabskiej, stanowiącej 20 proc. społeczeństwa izraelskiego (2 mln obywateli), nie przekroczyła 50 proc., a partia Abbasa otrzymała ledwie cztery mandaty. Nie jest to najsilniejsza siła polityczna w tym środowisku, choć z pewnością stanowi konkretny jego głos.

ZGADZAJĄC SIĘ NA UDZIAŁ w nowym rządzie, Abbas właśnie złamał potężne tabu. Koalicja ogłoszona przez centrystę Jaira Lapida, której rząd ma zostać wkrótce zaprzysiężony, jest tyleż szeroka, co egzotyczna: od lewicy (partie Meretz i Ha-Avoda), przez centrum (Kahol Lavan i Yesh Atid), po prawicę (Yemina, Tivka Hadasha i Israel Beiteinu), i właśnie na dodatek z islamistyczną Ra'am. Tym, co łączy koalicjantów, jest odsunięcie Beniamina Netanjahu od urzędu premiera. Wielu komentatorów nie ma wątpliwości, że taki rząd nie ma szans na przetrwanie więcej niż kilka miesięcy.

Co ciekawe: tym, który otworzył Abbasowi drzwi do tych negocjacji, był sam Netanjahu. Komentatorzy śmieją się, że to premier „uczynił koszernymi” negocjacje z Arabami, gdy przed ostatnimi wyborami próbował przekonać ich do koalicji, aby ratować się przed przegraną. Abbas już wówczas był chętny do współpracy.

Podczas ostatniego konfliktu Mansur Abbas zdobył serca żydowskich Izraelczyków, gdy opowiedział się przeciw eskalacji nienawiści i zapewnił o pomocy w odbudowie synagogi w mieście Lod, zdevastowanej podczas rozruchów. W 2020 r. modlił się wersetami z Koranu i wyrażał solidarność z narodem żydowskim podczas obchodów izraelskiego dnia pamięci o ofiarach Holokaustu w Knesecie. Reprezentuje więc głosy tych arabskich Izraelczyków, którym zależy na dialogu i dla których nadrzędnym celem jest dbanie o interesy izraelskich Arabów, a dopiero w dalszej kolejności – o powstanie suwerennego państwa palestyńskiego. Taka postawa arabskiego polityka jest na izraelskiej scenie ewenementem.

CO ARABSKA SPOŁECZNOŚĆ IZRAELA sądzi o decyzji Abbasa? Nie pojawiły się jeszcze sondaże, które pozwoliłyby odpowiedzieć na to pytanie. Ale Arabowie, z którymi rozmawiam, są w swoich opiniach bardzo podzieleni.

Jack Khoury, dziennikarz: – Abbas wyszedł z założenia, że chce stanowić część władzy w Izraelu, że chce wziąć udział w kształtowaniu rządu. Nieważne, prawicowego czy lewicowego, grunt, aby w jego ramach udało się osiągnąć założone cele. I teraz w społeczności arabskiej toczy się o to gorąca dyskusja: miał rację czy nie?

W negocjacjach koalicyjnych Mansur Abbas postawił na tematykę społeczną i ekonomiczną. Wynegocjował przeznaczenie 50 mld szekli (ponad 56,5 mld zł) w ciągu kilku lat na rozwój infrastruktury w miejscowościach arabskich, programy pomocowe i samorządy.

Tematem, który Abbas porusza ostrożnie, jest sprawa państwa palestyńskiego. Zdaje sobie sprawę, że dla społeczności arabskiej w Izraelu i dla Palestyńczyków na terenach okupowanych to sprawa priorytetowa, lecz twierdzi, że trzeba najpierw zająć się sprawami arabskimi we wnętrzu kraju, a dopiero później tymi na Zachodnim Brzegu i w Gazie. W arabskiej części społeczeństwa takie podejście budzi ogromny sprzeciw. Owszem, są tacy, którzy twierdzą, że sprawa palestyńska jest dla nich mniej ważna, ale wydarzenia z ostatnich tygodni pokazały, że w tematyce dotykającej np. spraw religijnych, jak dostęp do meczetu Al-Aksa albo Wschodnia Jerozolima, ludzie są w stanie wyjść na ulice, a nastroje mogą się rozgrzać do czerwoności.

NIEKTÓRZY OCENIAJĄ GO OSTRO. – Nie mam wątpliwości: Mansur Abbas to zdrajca – mówi mi Rafat Abu Aish, młody beduiński dziennikarz i aktywista z regionu Negewu. Uważa on, że sprawa izraelskiej okupacji jest absolutnym priorytetem dla całej społeczności i nie należy tego podważać. – Próba naprawiania bieżącej sytuacji Palestyńczyków w Izraelu nie jest warta ceny, jaką Abbas za to płaci: wymazywania tożsamości społeczeństwa palestyńskiego i odpuszczania najważniejszych palestyńskich wartości. Potwierdziły to ostatnie wydarzenia i zbrodnie, jakich moim zdaniem Izrael dopuścił się na Palestyńczykach w Gazie. Po tym wszystkim Abbas nie ma żadnego prawa

do zrobienia tego, co zrobił, czyli do wejścia w taki układ polityczny. Jestem przekonany, że jego projekt i partia podziela los innych polityków arabskich, którzy próbowali współpracować w ramach izraelskiego rządu, a następnie zostali odsunięci od możliwości podejmowania decyzji. Abbas jest niebezpieczny dla naszej społeczności, tak jak jego partia i ludzie, którzy na niego głosują.

– Jeśli arabska partia staje się częścią rządu, który deklaruje kontynuację rozbudowy osiedli na Zachodnim Brzegu i we Wschodniej Jerozolimie, który dalej ma w planach okupację, to daje na to swoje przyzwolenie. Dla mnie jako Palestyńczyka to podstawowy problem, godzący w naszą tożsamość – mówi mi z kolei prof. Mahmud Jazbak, historyk z uniwersytetu w Hajfie specjalizujący się w dziejach Palestyny. Tak jak Rafat Abu Aish uważa on, że priorytetem we wszystkich negocjacjach powinna być dla arabskich polityków sprawa niepodległego państwa palestyńskiego. – Tylko tak możemy rozwiązać problem w regionie – dodaje.

Również to, co w kwestii równości obywatelskiej Abbas nazywa swoim sukcesem w negocjacjach koalicyjnych, Jazbak uważa za niewystarczające: – Abbas nie osiągnął nic nowego. Jedyne, co wynegocjował, to przedłużenie decyzji, które już funkcjonowały od kilku lat. Mówi też przykładowo, że jego sukcesem jest powołanie komitetu do spraw Arabów w Knesecie. A przecież my chcemy być częścią społeczeństwa izraelskiego, chcemy, aby traktowano nas na równi, a nie za pośrednictwem specjalnych komitetów. Nie tędy droga!

NIECO BARDZIEJ PRZYCHYLNI o Abbasie wypowiada się Rasza Atawneh, młoda beduińska prawniczka i aktywistka na rzecz praw kobiet w regionie Negewu: – W mojej społeczności słyszę na temat Abbasa wiele różnych głosów. Są ludzie, którzy uważają, że pod żadnym pozorem nie wolno brać udziału w tych rządach, lecz są i tacy, którzy chcą żyć w koegzystencji i szukać wspólnych rozwiązań, nawet za cenę warunków, jakich wymaga wejście do koalicji. Tu każdy ma jakąś rację, ta sytuacja nie jest czarno-biała.

Pałacą sprawą w społeczności beduińskiej na Negewie jest wyburzanie wiosek, które w myśl prawa izraelskiego są nielegalne. W 2017 r. Izrael w ramach tzw.

prawa Kaminitza ustanowił surowe kary za rozbudowę wiosek bez zgody władz. Choć oficjalnie prawo to obowiązuje wszystkich obywateli, nie ma wątpliwości, że uderza głównie w społeczność arabską. Szczególnie dotknięci są nim Beduini na pustyni Negew. Sprzeciw wobec tego prawa stał się jednym z głównych punktów programu Abbasa – i w ramach umowy koalicyjnej wynegocjował on zamrożenie tego prawa do 2024 r. Umowa obejmuje też czasowe zamrożenie wyburzeń beduińskich domów, a 45 dni po zaprzysiężeniu nowego rządu trzy beduińskie wioski mają otrzymać oficjalny status. Społeczność beduińska ma też dostać odpowiednie wsparcie, m.in. na rzecz walki z przestępczością, która jest tam dużym problemem.

Rafat Abu Aish: – Beduini cierpią z powodu dyskryminacji już od czasów Nakby [Katastrofy; tak Arabowie nazywają wydarzenia towarzyszące powstaniu Izraela, gdy Żydzi wygnali z domów kilkaset tysięcy Arabów – red.]. Tylko w ciągu ostatnich pięciu lat na Negewie wyburzono ponad 11 tys. naszych domów. W tej chwili istnieje 36 nieuznanych przez państwo wiosek, które nie mają dostępu do wody i prądu. Problemem jest prawo do ziemi: Żyd, który chce się osiedlić na Negewie, może wybrać życie między kibucem, moszawem [dwa rodzaje wspólnoty-spółdzielni – red.] a miastem, na własnej ziemi. My jesteśmy zmuszeni do przesiedlania się do miast i miasteczek, co ma służyć wyparciu nas z naszej historycznej ziemi. Sytuacja tutaj jest bardzo zła i oczywiście prawdą jest, że każdy chce żyć normalnie. Ale nawet jeśli Abbas mówi, że w tej tematyce coś dla nas „załatwił”, to i tak cena, jaką za to płaci, jest nieproporcjonalna.

■ ■ ■

– Czas pokaże, czy ten rząd zda egzamin i czy Abbasowi faktycznie uda się poprawić sytuację Arabów w miastach i wioskach, czy ich jakość życia się poprawi – mówi arabski dziennikarz Jack Khoury. – Mansur Abbas postawił przed sobą trudne zadanie: projekty, które założył, są raczej długoterminowe, zakrojone na 5-10 lat. A kto zagwarantuje, że ten rząd przetrwa w ogóle najbliższe miesiące? Oczywiście, jeśli uda mu się zrealizować założone cele, będzie to jego wielkie osiągnięcie. Ale jeśli mu się nie uda, jego kariera się skończy. I to z hukiem. ©P



Otwarcie meczetu przy placu Taksim w Stambule, 28 maja 2021 r.

Meczet nad meczetami

AGNIESZKA ROSTKOWSKA

Pierwsze próby jej zbudowania sięgają połowy wieku XX. Projekt wciąż rozpalął emocje. W końcu powstała: świątynia przy stambulskim placu Taksim, którą wielu uznaje za symbol zwycięstwa politycznego islamu.

PREZYDENT TURCJI LUBI ODWOŁYWAĆ SIĘ do historii imperium osmańskiego. Także tego dnia, w ostatni piątek maja, podczas ceremonii otwarcia nowej świątyni, Recep Tayyip Erdoğan mówił: „Ten meczet jest prezentem z okazji 568. rocznicy zdobycia Konstantynopola, a zarazem pozdrowieniem dla meczetu Hagia Sophia, który od niedawna znów służy wiernym”.

Tłum słuchający jego przemówienia, transmitowanego na ustawionych

na placu telebimach, przyjął to z wyrażną radością. Hagia Sophia to dawny kościół Mądrości Bożej, najważniejsza świątynia Cesarstwa Bizantyjskiego, która po zdobyciu miasta przez Turków w 1453 r. została przemianowana na meczet. W utworzonej po I wojnie światowej świeckiej Republice Tureckiej została w 1934 r. zamieniona na muzeum. Była nim aż do lipca 2020 r., gdy decyzją Erdoğan'a znów stała się meczetem. Krytycy uznali to wówczas za przejaw islamizacji kraju. Meczet przy Taksimie traktują już jako dowód koronny.

W rocznicę protestów

Budowany od czterech lat, meczet ten może pomieścić 4 tys. wiernych. Pierwotnie jego inaugurację planowano na 5 maja, ale przełożono o nieco ponad trzy tygodnie. Oficjalnie z powodu pandemii, jednak wielu wątpi w oficjalne zapewnienia.

Ostateczna data otwarcia była bowiem znacząca: 28 maja to ósma rocznica wybuchu protestów, które urosły do rangi symbolu. Początkowo miały one na celu obronę przylegającego do Taksimu niewielkiego parku Gezi, jedynej wysepki zieleni w tej okolicy. Władze postanowiły zlikwidować park, aby w tym miejscu zbudować centrum handlowe – w formie repliki osmańskich koszar.

Brutalność, z jaką potraktowano próbującą zapobiec temu grupę aktywistów,

sprawiła, że demonstracja przerodziła się w sprzeciw wobec autorytarnych tendencji Erdoğan'a. Protest swoim zasięgiem objął cały kraj, a jego hasłem stał się slogan „Her yer Taksim, her yer direniş”, „Taksim jest wszędzie, opór jest wszędzie”.

Wówczas protesty spacyfikowano po paru tygodniach. Podczas pacyfikacji zginęły 22 osoby (w tym jeden policjant), rannych było ok. 8 tys., a symboliczne znaczenie Taksimu zyskało nowy wymiar.

Plac pełen symboli

Na pytanie o symbolikę Taksimu profesor Hakan Koçak, socjolog i historyk, zaczyna nucić Boba Marleya. – *Get up, stand up, stand up for your rights...* Wstawajcie, brońcie swoich praw... Nie wiem, czy gdziekolwiek na świecie jest plac, który widziałby tyle protestów, co Taksim – dopowiada. – Na początku lat 90. XX w. policja pilnująca przy Taksimie porządku zarządzała demonstracjami jak drogówka ruchem na ulicy. Co weekend odbywały się tu jakieś manifestacje. Kurdowie, feministki, lewica, prawica, konserwatyści, religijni fanatycy... Na Taksimie spotykały się wszystkie możliwe poglądy i wizje przyszłości kraju. Oddziaływały na siebie, przenikały się, a czasem gwałtownie ścierały – wspomina.

Już na etapie jego projektu Taksim nasiąknął znaczeniami. Nakreślił go uznany francuski planista Henri Prost, któremu

rozgłos przyniosła modernizacja miast w Maroku, wówczas będącym protektoratem Francji. Jego plany tchnęły nowe życie w tradycyjne miasta, żyjące w rytmie islamu. Rządzący świecką Turcją zawierzyli, że Prost powtórzy to nad Bosforem, i w 1936 r. mianowali go głównym planistą Stambułu. Ale oczekiwania, że Francuz przekształci osmański Islambol (dosłownie „pełen islamu”; pod taką nazwą miasto figurowało niekiedy w dokumentach imperium osmańskiego) w zachodnią metropolię, okazały się na wyrost. Większość jego planów pozostała na papierze.

Te przewidziane dla Taksimu udało się jednak zrealizować. Wyburzono pozostałości osmańskich koszar, wybudowano promenadę nazwaną imieniem Ismeta İnönü (drugiego prezydenta Turcji), a nieco dalej park Maçka. Przestrzeń miała zachęcać tureckie społeczeństwo do spędzania tu czasu na świeżych przyjemnościach. W miejsce rygorów i ograniczeń muzułmańskiej wspólnoty wprowadzała swobodę, w równym stopniu dostępną kobietom i mężczyznom. Życie miało wyjść poza dziedzińce meczetów oraz domowe zacisza.

To było nasze życie

Na Taksim życie weszło razem z polityką. Plac szybko upodobała sobie lewica. Od początku lat 50. XX w. w pierwszy dzień maja zjeżdżali tu robotnicy z całej Turcji. W 1969 r. czekali na nich nacjonaliści i islamisci, zginęły dwie osoby. W 1977 r. doszło do kolejnej tragedii: w czasie zgromadzenia pierwszomajowego padły strzały, życie straciło 34 robotników. Dokładnego przebiegu zdarzenia ani sprawców masakry nie ustalono do dziś.

Po tym wydarzeniu władze wprowadziły bezwzględny zakaz organizowania tu pierwszomajowych demonstracji. Lewica nie zamierzała go respektować, więc w latach 80. pierwszego maja Taksim zamieniał się w pole bitwy między policją a grupami maszerującymi na plac z całego Stambułu. – Wśród nich maszerowałem i ja, nieraz z policzkami mokrymi od łez. Taksim to było nasze życie – wspomina prof. Koçak.

Tak było aż do 2009 r., kiedy rządząca Partia Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) zniosła zakaz i ustanowiła pierwszy maja Świętem Pracy. Przez trzy lata znów odbywały się tu wielkie zgromadzenia, a wszyscy uwierzyli, że Turcja pod rzą-

dami Erdoğan staje się bardziej demokratyczna. – Czwartego roku zakaz przywrócono, oficjalnie ze względu na przebudowę Taksimu. Tak samo w roku następnym. Trzy tygodnie później wybuchło Gezi, które stało się początkiem nowej epoki – mówi prof. Koçak.

Po Gezi na Taksimie zakazano jakichkolwiek demonstracji. Władze skierowały je w inne miejsce – zbudowały do tego dwa specjalne place: Maltepe i Yenikapı. Na Maltepe pozwalają gromadzić się socjalistom i lewicy, a na Yenikapı konserwatom i zwolennikom rządu. Oba place są z dala od centrum miasta, z dala od ludzi. Manifestujących z trzech stron obserwuje tylko Bosfor.

Dekady walk i marzeń

Dyskusje o meczecie przy Taksimie zaczęły się już w latach 50. XX w. W 1983 r. jego budowę w tym miejscu wykluczył Trybunał Konstytucyjny. Sprawa wróciła w latach 90. Meczec był bowiem wielkim marzeniem ówczesnego premiera Necmettina Erbakana, politycznego mentora Erdoğan. W 1997 r. Erbakan został jednak zmuszony przez armię do złożenia dymisji, a jego partia została rozwiązana przez Trybunał Konstytucyjny. Wszystko, aby zapobiec islamizacji Turcji.

Oprócz armii, tradycyjnie stojącej w Turcji na straży zasady państwowego laicyzmu, meczec miał innego potężnego przeciwnika: Izbę Architektów. To instytucja zajmująca się także ochroną zabytków. Cały obszar Taksimu, jak też każdy poszczególny komponent placu, są chronione szeregiem praw.

– W latach 90. Izba Architektów, której byłem wówczas członkiem, zorganizowała kampanię przeciw meczetowi. Sprzeciwialiśmy się planowi, by przylegał on do historycznego budynku Maksimu. Wiadomo było, że budowa naruszy i osłabi jego strukturę – mówi prof. Murat Cemal Yalçın tan z Uniwersytetu Sztuk Pięknych im. Mimara Sinana w Stambule. To właśnie od budynku Taksim Maksim wzięła się nazwa placu. Taksim to dawne określenie dystrybucji wody (jeszcze z czasów osmańskich), a Maksim to wybudowany w pierwszej połowie XVIII w. budynek wodociągów, który obecnie służy jako galeria sztuki.

W 2011 r. Izba Architektów na drodze sądowej po raz kolejny zatrzymała plany budowy meczetu. Po protestach Gezi rząd wprowadził jednak zmiany w przepisach

regulujących prace komisji zajmujących się ochroną i konserwacją architektonicznego dziedzictwa. Projekt meczetu przy Taksimie zatwierdzono. Izba Architektów przegrała kolejną sprawę. Złożyła apelację, ale zanim proces się zaczął, budowa była już niemal ukończona.

Pojedynek budynków

Inicjatorką większości pozwów przeciw projektowi meczetu jest szefowa Izby Architektów, Mücella Yapıcı. Jakiś czas temu prokuratura przygotowała przeciw niej 657-stronicowy akt oskarżenia, uznając, że za samo zaangażowanie w obronę parku Gezi należy się jej dożywocie. W lutym 2020 r. została uniewinniona, ale nadal jest na cenzurowanym. Dla niej meczet nierozzerwalnie związany jest z drugim budynkiem: AKM.

Za tym akronimem kryje się Atatürk Kültür Merkezi, Centrum Kultury im. Atatürka. To wielofunkcyjne centrum kulturalne przy Taksimie, które do niedawna służyło głównie jako opera. Uznawane za jeden z symboli świeckiej Republiki Tureckiej, w 1971 r. – półtora roku po otwarciu – zostało podpalone, prawdopodobnie przez islamskich reaccionistów, postrzegających je jako symbol zachodniej, świeckiej kultury i rozrywki. Odbudowane, przez następne trzy dekady było centrum życia kulturalnego Stambułu. Niedługo po objęciu władzy przez AKP rząd niespodziewanie je zamknął, oficjalnie z powodu planowanej modernizacji, której jednak nigdy nie rozpoczęto. Zamiast tego postanowiono wyburzyć AKM.

– Wyglądało to mniej więcej tak: meczet i AKM stoją naprzeciw siebie, jak zawodnicy w ringu. Mierzą się wzrokiem. Meczec rośnie bardzo powoli. AKM również rozbierany jest powoli. Jakby krok po kroku się do siebie zbliżali. Aby mogli się zrownać, rozbiórka zostaje wstrzymana. Wtedy budowa meczetu przyspiesza. Meczec wystrzeliwuje w górę, a AKM pada, w kłębach kurzu i przy ogłuszającym dźwięku ezanu, wezwania do modlitwy... – wspomina Yapıcı. AKM zniknął niemal dokładnie w rocznicę protestów Gezi: 30 maja 2018 r.

W jego miejscu ma stanąć nowa opera. Jednak słuchając przemówienia Erdoğan, można było odnieść wrażenie, że AKM ma już następcę. „Meczec jest wyposażony w cyfrową bibliotekę, a jego przestrzeń wystawowa uczyni go



Pomnik Republiki i nieistniejący już budynek AKM przy Taksimie, marzec 2014 r.

→ jednym z ważniejszych centrów kulturalnych Stambułu” – zachwalał prezydent.

Zmiana krajobrazu

– Wcześniej Taksim był zdominowany przez AKM i znajdujący się pośrodku placu Pomnik Republiki, który upamiętnia ustanowienie nowoczesnego świeckiego państwa oraz jego założycieli. Dziś to meczet góruje, a pomnik wydaje się przy nim malutki – mówi Yapıcı.

Zmianę proporcji zarządził sam Erdoğan. Długo wydawało się, że przy Taksimie powstanie meczet sprawiający wrażenie lekkiego i nowoczesnego, według obyspanego nagrodami projektu architekta Ahmeta Vefika Alpa. Ale zamiast realizacji swojego projektu Alp do czekał się spotkania z Erdoğanem. Prezydent miał mu powiedzieć, że wolałby meczet tradycyjny, wzorowany na osmańskim lub seldżuckim.

Nie powinno to dziwić. Większość budowanych obecnie w Turcji meczetów to niemal repliki dzieł architekta Mimara Sinana, najjaśniejszej gwiazdy imperium osmańskiego. – Jego meczety miały demonstrować wyższość imperium osmańskiego nad Bizancjum. Zwiastować nadejście nowych czasów, kiedy to imperium będzie stanowić centrum islamskiego świata – komentuje Yapıcı.

Projekt Alpa przepadł. Wybrano inspirowany motywami osmańskimi projekt Şefika Birkiyego. To ten sam architekt, który zaprojektował pałac Erdoğan w Ankarze: rezydencję o 1150 pokojach i powierzchnię 300 tys. m kw. (dla porów-

nanie: Pałac Elizejski ma 111 tys. m kw., a Biały Dom 55 tys. m kw.).

W podobnym duchu prezydent zmienia krajobraz całego Stambułu. W 2019 r. panoramę azjatyckiej części miasta zdominował meczet Büyük Çamlıca. Największy w kraju, może pomieścić 63 tys. wiernych. Jest niemal idealnym odwzorowaniem meczetów Mimara Sinana.

Budowę meczetów w takim właśnie stylu Turcja finansuje w wielu państwach, nawet tak odległych jak Somalia. Postęp prac można sprawdzić na internetowej stronie Diyanetu, urzędu do spraw religijnych. Obecnie trwają one m.in. w Albanii, Kirgistanie i Libanie. Pozycję Ankary w świecie islamu buduje również rządowa organizacja TİKA, odnawiająca meczety na całym świecie (nieдавно wsparła finansowo meczet w Bohonikach na Podlasiu, gdzie wykonała kamienny podjazd i drobne prace we wnętrzu budynku).

Komentatorzy mówią już nie tylko o wykorzystywaniu religii jako narzędzia *soft power*, ale o „dyplomacji meczetowej”.

Rozmowy prowadzone szeptem

W dyskusji o symbolach i polityce jakby umyka pytanie: czy Turcy chcą i potrzebują meczetu przy Taksimie? Nie ma na ten temat wiarygodnych sondaży. Pytani przeze mnie okoliczni muzułmanie najczęściej zapewniają, że do tej pory nie mieli gdzie się modlić. Młoda Turczynka, Rukiye, podkreśla: – Pobliski meczet Ağa Camii jest malutki i pełen turystów. Poza

tym dlaczego w okolicy, gdzie są trzy kościoły i synagoga, miałyby nie być meczetu?

Taksim jest częścią dzielnicy Beyoğlu, historycznie zamieszkaną przez mniejszości niemuzułmańskie. Kiedyś, jeszcze od czasów Bizancjum, rezydowali tu genewscy kupcy, tu za imperium osmańskiego znajdowały się zachodnie przedstawicielstwa dyplomatyczne, tu osiedlali się przedstawiciele mniejszości wyznaniowych, głównie chrześcijanie i żydzi, oraz narodowych, jak Grecy i Ormianie. W ostatnich dekadach okolica stanowiła kosmopolityczne centrum rozrywki i życia kulturalnego.

Przy samym Taksimie znajdował się jedynie ledwo widoczny *mescid* (mały meczet). Co piątek – w islamie dzień o randze chrześcijańskiej niedzieli – na swoich murach wywieszał plakaty ze strzałką i napisem *kible*. To turecki odpowiednik arabskiego słowa *qibla*, oznaczający kierunek, w którym znajduje się świątynia Al-Kaba w Mekce. Muzułmanie w czasie modlitwy zwracają się w stronę Al-Kaby. W meczetach wskazuje ją *mihrab*, specjalna nisza lub płyta reliefowa. Ale gdy ludzie w meczecie się nie mieszczą i część modli się na zewnątrz, z tym kierunkiem bywa problem. Plakaty go rozwiązują. Co tydzień uliczkę, na którą wychodziło wejście mescidu przy Taksimie, szczerze wypełniał tłum modlących się mężczyzn, dla których w środku nie starczyło miejsca. Dla nich budowa nowego przestronnego meczetu była krokiem w stronę normalności.

Tu jednak sprawa się komplikuje. Na pytanie, ile meczetów jest w okolicy Taksimu, zwolennicy meczetu odpowiadają: zero. Przeciwnicy, że kilkanaście. Kategoria „w odległości spaceru” w tym przypadku okazuje się elastyczna, a miary ustępują miejsca emocjom.

Na tureckich ulicach o meczecie na Taksimie rozmawia się najczęściej szeptem i rozglądając się dookoła. Każdy, kto podważa jego zasadność, może zostać uznany za wroga islamu. Każdy, kto go broni, za wroga świeckiej republiki.

© AGNIESZKA ROSTKOWSKA

Autorka jest niezależną dziennikarką, specjalizuje się w tematyce Turcji, gdzie mieszkała i pracowała. W 2020 r. nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazała się jej książka reporterska „Wojownicy o szklanych oczach. W poszukiwaniu Nowej Turcji”.



ARCHIWUM RODZINNE

Ujgurscy muzułmanie Mehray i Mirzat, jeszcze szczęśliwi i beztroscy, 2016 r.

Robię, co mogę, aby nie zwariować

ANNA MIKULSKA

Po ślubie Mehray i Mirzat mieli zamieszkać w Australii. Dwa dni przed opuszczeniem Sinciangu chińscy policjanci zapukali do drzwi ujgurskiej pary. Tak zaczął się ich dramat, który trwa do dziś.

TO BYŁ PIERWSZY RAZ, GDY MEHRAJ POSZŁA NA tradycyjne ujgurskie wesele. Jej własne. Było to w Sinciang, chińskim regionie autonomicznym. Stąd pochodzili jej rodzice i tam mieszkał Mirzat, jej narzeczony.

Gdy dziś rozmawiamy, kobieta wspomina każdy szczegół, jakby ślub brała wczoraj: – Zgodnie z tradycją drużny miały nie wpuścić pana młodego do pokoju, w którym czekałam, aż przyjdzie z bukietem kwiatów. Gdy w końcu mu

się udało, zagrała muzyka. Zespół muzyków chodził za nami krok w krok. Grali bardzo głośno. Potem wszyscy tańczyliśmy w parku. Było mnóstwo gości. Prawie nikogo nie znałam, ale przyjechały ze mną mama i siostra. Następnie przyszedł czas na właściwą ceremonię. Było mnóstwo kwiatów i śmiechu. Najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Mehray i Mirzat pobrali się 10 sierpnia 2016 r. Jeszcze przed ślubem postanowili, że zamieszkają w Australii. Mehray mogła polecić tam w każdej chwili, bo w Australii się urodziła i ma obywatelstwo, ale Mirzat musiał czekać na wizę. Pierwsze osiem miesięcy wspólnego życia spędzili więc w Sinciang.

– To był czas, kiedy sytuacja w regionie zaczęła się zmieniać. Docierały do nas plotki o znikaniu kolejnych osób. Ludzie mówili, że policja przychodzi po nich w środku nocy. Czuliśmy, jakby krąg wokół nas się zacieśniał. Zaczęliśmy się bać – opowiada Mehray.

Aż dotarli także do nich. W ostatniej chwili: Mirzat miał już australijską wizę. Dwa dni przed datą lotu policjanci zabrali Mirzata na przesłuchanie. Powiedzieli, że wypuszczą go po trzech dniach. Zamiast tego wysłali go do tzw. obozu reedukacyjnego.

Mehray: – Władze przekonywały, że mniejszości etniczne są w obozach uczane języka mandaryńskiego, żeby lepiej odnaleźć się na rynku pracy. Wtedy jeszcze mało kto wiedział, co tak naprawdę dzieje się w środku.

Mirzat wyszedł na wolność po dwóch latach. Mehray czekała na niego w Australii. Z Sinciang musiała wyjechać, bo nie mogła w nieskończoność przedłużać wizy. Miała nadzieję, że mąż do niej dołączy. Ale znów został zatrzymany, najpierw na trzy miesiące. Szybko okazało się, że to nie koniec. – Pewnego dnia obudziłam się i jak co rano wysłałam do niego wiadomość. Nie odpisał. Myślałam, że śpi – wspomina Mehray.

W kwietniu tego roku otrzymała informację, że mąż został skazany na 25 lat więzienia.

Lepiej patrzeć w przyszłość

27-letnia Mehray Mezensof, od ponad czterech lat samotna żona, mieszka w Melbourne wraz z siostrami i rodzinami, którzy wyjechali z Chin 35 lat temu. Tak jak Mirzat, są Ujgurami. To mniejszość etniczna pochodzenia →

→ turkijskiego, wyznająca islam, która zamieszkuje głównie Sinciang, region w północno-zachodnich Chinach.

Ujgurzy są dyskryminowani od dekad, a od kilku lat władze Chin rozwijają sieć tzw. obozów reedukacyjnych. Oficjalnie to odpowiedź na tendencje separatystyczne i akty terroryzmu, do których dochodziło w przeszłości. Organizacje praw człowieka i bliscy tych, którzy wyszli z takich obozów, donoszą o znęcaniu się psychicznym i fizycznym, torturach, a także o pracy przymusowej. Według niektórych doniesień w obozach ma dochodzić do przymusowej sterylizacji kobiet [o Ujgurach pisaliśmy w „TP” nr 17/2021 – red.].

W samym Sinciangu o obozach nikt nie mówi wprost. Gdy ktoś wychodzi, to mówi się, że ukończył szkołę. Kiedy Mirzat został takim „absolwentem”, był chudszy o 10 kg.

– Gdy po jego wyjściu z obozu kontaktowaliśmy się, mąż bał się mówić, co tam się działo. Nie naciskałam. Po pewnym czasie zaczął mi wrywkowo opowiadać, przez co przeszedł razem z innymi „studentami” – mówi Mehray. I tak, całymi godzinami śpiewali pieśni i wygłaszali peany na cześć Komunistycznej Partii Chin. Gdy przez przypadek odezwał się do strażnika po ujgursku zamiast w języku mandaryńskim, spędził dobę zakuty w kajdanki bez jedzenia i picia.

Mehray: – Mówił, że dawali im głodne porcje czegoś, czego nie podałby zwierzęciu. Podejrzewał też, że była to wieprzowina, której muzułmanie nie jadają. Ale najgorsze było znęcanie się psychiczne. Strażnicy mówili im, że już nigdy nie opuszczą obozu, nie spotkają bliskich. Przez lata nie widzieli świata zewnętrznego. W pokoju mieli tylko jedno okno, ale tak wysoko, że mogli jedynie zobaczyć, czy jest pochmurno, czy słonecznie. Nigdy nie gasło światło, nigdy nie wyłączano kamer monitoringu.

Mąż nie chciał mówić jej wszystkiego. Powiedział, że lepiej patrzeć w przyszłość i zapomnieć o tym, co było.

Za podróż sprzed lat

30-letni dziś Mirzat Taher po raz pierwszy trafił do tzw. obozu reedukacyjnego w związku ze swoim wyjazdem do Turcji.

Gdy był jeszcze studentem filologii турецkiej, pojechał na rok do Stambułu, gdzie przez pewien czas pracował

W Sinciangu o obozach nie mówi się wprost.

Gdy ktoś je opuszcza, powiada się, że ukończył szkołę. Mirzat został takim „absolwentem” chudszy o 10 kg.

jako przewodnik turystów. Kiedy policja zapukała do drzwi młodego małżeństwa, pytała właśnie o tę podróż. I z tego powodu, jak tłumaczy Mehray, władze oskarżyły go o separatyzm. – Nie mieli żadnego dowodu, że cokolwiek wiązało go z ruchem separatystycznym czy jakąkolwiek działalnością polityczną, bo nigdy nie miał z tym nic wspólnego – twierdzi kobieta.

Turcja znajduje się na liście 26 „wrażliwych” państw, których samo już tylko odwiedzenie może oznaczać dla Ujgurów poważne konsekwencje.

Gdy Mirzat został ponownie aresztowany, usłyszał te same zarzuty, choć po wyjściu z obozu ani razu nie opuścił Sinciangu. Tym razem odbyła się rozprawa sądowa. – Tylko na pozór, bo nie miał możliwości, by się bronić. Nie wiem, co się z nim dzieje – dodaje Mehray.

Nie otrzymała żadnych oficjalnych dokumentów sądowych ani powiadomień.

Australijski portal ABC, który jako pierwszy opisał sprawę Mirzata, nie otrzymał żadnej odpowiedzi na pytania wysłane do chińskich władz.

Dożywocie za brata

Historii takich jak Mirzata Tahera przybywa. Od 2014 r. Chiny prowadzą kampanię, której nazwa („Mocne Uderzenie w Brutalny Terroryzm”) nie oddaje jej istoty: to działania wymierzone w Ujgurów i inne mniejszości wyznające islam, głównie z Sinciangu. Szacuje się, że w obozach może przebywać ponad milion ludzi (cały Sinciang liczy 26 mln mieszkańców, z których ponad 8 mln to Ujgurzy, a 1,2 mln to Kazachowie; Chińczyków Han, którzy są dominującą narodowością w ChRL, jest tu ok. 7,5 mln). Według oficjalnych statystyk z 2017 r. aresztowania w Sinciangu stanowiły

prawie 21 proc. wszystkich aresztowań w kraju, choć mieszkańcy tego regionu stanowią tylko 1,5 proc. populacji Chin.

– Ci, którzy przeżyli i zostali wypuszczeni, to zazwyczaj obywatele innych państw pochodzenia ujgurskiego, jak Kazachstanu, którzy zostali uwolnieni dzięki interwencji swego kraju. Ale nawet oni boją się mówić, bo władze grożą, że ich krewni mieszkający w Sinciangu zostaną zatrzymani. Nawet po zwolnieniu są cały czas monitorowani – komentuje w rozmowie z „Tygodnikiem” Dolkun Isa, prezes Światowego Kongresu Ujgurów.

Dolkun Isa przekonuje, że ujgurskie pochodzenie jest dostatecznym powodem, by trafić do obozu. Z danych zebranych przez badaczy z Uniwersytetu Stanforda, Human Rights Watch i wiele innych organizacji wynika, że swoją polityką wobec mniejszości islamskich rząd chiński popełnia zbrodnie przeciw ludzkości (Wielka Brytania, USA, Kanada, a także Unia Europejska nałożyły za to sankcje na Pekin). Niektórzy idą krok dalej i twierdzą, że Chiny dokonują ludobójstwa ludności ujgurskiej, zgodnie z definicją konwencji ONZ w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa.

Tak uważa również Dolkun Isa: – Mówimy tu o oddzielaniu dzieci od rodziców, niszczeniu kultury i historii oraz przymusowej sterylizacji. Nie mamy pojęcia, ilu Ujgurów straciło dotąd życie w obozach.

Chiński rząd twierdzi, że w „ośrodkach” trzymani są tylko terroryści i separatyści. Na stronie ambasady chińskiej w Warszawie czytamy: „Działania w Sinciangu w żadnym wypadku nie są wymierzone w prawa człowieka, pochodzenie etniczne ani religię, są one wynikiem konieczności podjęcia walki z brutalnym terroryzmem i separatyzmem. Sinciang nigdy nie miał tak zwanych »obozów reedukacyjnych«. I wreszcie: Sinciang zapewnia swobodę podróżowania osób ze wszystkich grup etnicznych, w tym Ujgurów, oraz ich komunikację z krewnymi za granicą zgodnie z obowiązującym prawem”.

Pod koniec maja tego roku brat prezesa Światowego Kongresu Ujgurów, Hushar Isa, został skazany na dożywocie. „Ta wiadomość łamie mi serce. Mój brat jest niewinnym człowiekiem. Został ukarany z powodu mojej działalności na rzecz



ARCHIWUM RODZINNE

*Jewher Ilham widziała ojca po raz ostatni osiem lat temu.
Tu jeszcze razem z nim oraz z bratem, 2011 r.*

praw człowieka” – napisał w oświadczeniu Dolkun Isa. Wcześniej w obozie zmarła jego matka.

Oskarżony o ekstremizm

Jewher Ilham widziała swojego ojca po raz ostatni osiem lat temu na lotnisku w Pekinie. Został zaproszony przez amerykański uniwersytet jako profesor wizytujący. Mieli lecieć razem, ale na pokład samolotu musiała wejść sama. „Idź, nie płacz, moje dziecko. Nie pozwól im myśleć, że Ujgurki są słabe” – to ostatnie słowa, jakie od niego usłyszała.

– Ojca zatrzymano na lotnisku, choć jego podróż była legalna. We mnie, nastolatce, nie widzieli zagrożenia, pozwolili mi lecieć – wspomina dziś Jewher w rozmowie. – Ojciec powiedział mi: „Wykorzystaj szansę, drugiej możesz nie mieć. Wolę, żebyś zamiatała ulice w Stanach,

niz żyła dalej tutaj”. Bałam się lecieć, nie znałam języka, nie znałam tam nikogo. Ale wpełchnął mnie do samolotu. Nie wiedziałam, co się z nim stanie.

Dziś Jewher ma 26 lat. Urodzona w Pekinie, w USA mieszka od 2013 r. Gdy lądowała w Chicago, miała jedynie kontakt do mężczyzny, który zaprosił jej ojca na uczelnię. – On mówił po mandaryńsku, pomógł mi się odnaleźć, zacząć kurs angielskiego. Ojciec przebywał w areszcie domowym, często z nim rozmawiałam. Ostatni raz prawie rok po moim wylocie. Dzień później policja weszła do naszego domu w Pekinie i aresztowała ojca na oczach moich dwóch młodszych braci, siedmio- i czteroletniego.

Ilham Tohti, ojciec Jewher, to ujgurski ekonomista walczący o prawa Ujgurów w Chinach. W 2019 r. został laureatem Nagrody im. Sacharowa, przyznawanej

przez Parlament Europejski (nagroda nosi imię rosyjskiego dysydenta z czasów komunizmu).

Jewher: – Ojciec został oskarżony o separatyzm i ekstremizm. To niedorzeczne. Podstawą do zamknięcia go w więzieniu miały być jego wykłady na uczelni i strona internetowa, na której pisał np. o bezrobociu wśród Ujgurów z powodu dyskryminacji albo o ujgurskiej kulturze. Strona nie miała nic wspólnego z ekstremizmem.

Ilham Tohti dostał dożywocie. – Skazali też moją kuzynkę na 10 lat, za posiadanie zdjęcia ojca i jego artykułu w telefonie – mówi Jewher.

Podobnie jak Mehray, Jewher nie wie, gdzie dziś przebywa ojciec ani co się z nim dzieje. Nie wie nawet, czy żyje. Ostatni raz rodzinie pozwolono odwiedzić go w więzieniu w 2017 r. Ilham Tohti stracił wtedy prawie 20 kg, jego włosy posiwiały. Miał wówczas 48 lat.

– Ujgurzy na emigracji nie pozwalają sobie na cieszenie się życiem. Czują się winni, bo ich bliscy przechodzą piekło – mówi Jewher. – Robię, co mogę, aby nie zwariować. Praca na rzecz ujgurskiej społeczności pochłania prawie cały mój czas, ale nie mogę w kółko myśleć o tym, co dzieje się w Chinach. Muszę być w pełni sił psychicznych i fizycznych, bo tylko tak mogę pomóc rodzinie.

■■■

W 2015 r. Jewher Ilham wydała książkę opowiadającą historię jej rozłąki z ojcem oraz opisującą rzeczywistość mieszkańców Sinciang. Teraz pracuje nad kolejną. Działa na rzecz ujgurskiej społeczności i robi wszystko, by wydostać ojca z więzienia. W 2020 r. wystąpiła na szczycie dotyczącym praw człowieka w Genewie.

Tymczasem w Melbourne Mehray Mezensof nie może wrócić do pracy, bo cały jej czas pochłania walka o sprawiedliwość dla męża. Od ponad siedmiu miesięcy Mirzat przebywa w areszcie. Nadal ciąży na nim wyrok 25 lat więzienia. Aby go uwolnić, Mehray współpracuje z organizacjami broniącymi praw człowieka, li czy też na wsparcie australijskich władz.

Tuż przed oddaniem tego tekstu do druku dostałam wiadomość, w której Mehray pisze, że australijskie MSZ obiecuje pomóc skontaktować się jej z mężem. Ma nadzieję, że się uda.

© ANNA MIKULSKA

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu

„Tygodnik” na ucho

co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

 **audioteka**



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Podkast
Powszechny**

Zapraszamy do słuchania autorskich cykli podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój

rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej
o kobiecej niezależności

#DOM

rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela

korespondencje
Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas
na nowo średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania na powszech.net/podkast



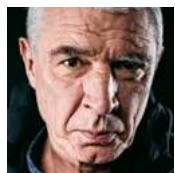
SALES|||manago
marketing automation

weź, słuchaj!



ANDRZEJ

Stasiuk: O nierzeczywistości ojczyzny



NO I ZOSTAJE Z TYŁU TO NASZE SHENZHEN, ten nasz Dniepropietrowsk albo i Magnitogorsk. Największy w kraju areal betonu, asfaltu i żelaza. Nasza urbanistyczna Godzilla opleciona wielopasmówkami, torowiskami, taśmociągami jak jakiś Laookon. Tak, możemy sobie wmawiać, wyobrażać sobie, godzić się z lokalnym patriotyzmem, że jedno się kończy, drugie zaczyna, a potem jeszcze następne i następne, i jeszcze. Tak, oczywiście, z całym szacunkiem. Ale to tylko zielone tablice.

Zawsze wjeżdżam tutaj z duszą na ramieniu. Nie wiem, czy się wydostanę. Jak to wieśniak w metropolii. Ale jeździłem przecież po chaotycznych miastach, gdzie nie było żadnych tablic. Zielonych czy jakichkolwiek. Spróbujcie w godzinach szczytu przejechać przez Nowosybirsk. Albo nocą przez Karagandę. Robiłem to, ale nigdy nie towarzyszył temu lęk, tylko podniecenie i ciekawość. A tutaj jakbym schodził do labiryntu. Do labiryntu wydrążonego było nie było w ojczyściej jednak ziemi.

A może ona właśnie nie ojczysta? Nie Karaganda wprawdzie, ale jednak jakoś nierodzinna. Trochę obcy kraj. Nie ma granic, język ten sam, drogi mają te same numery, chociaż prowadzą do niej z oddali i ją opuszczają. Więc jakaś ciągłość powinna być zachowana. Jakieś zadowolenie. Tymczasem więcej lekką grozą. Że z labiryntu wylezie Minotaur. Albo że nic pięknie i się zgubi drogę. Albo że jak nawet się wydostanie, to po tamtej stronie niczego się nie pozna. Więc jak jest z tym krajem, który jest i swój, i obcy? Jedziemy z jednego miejsca w drugie i czujemy coś na kształt osierocenia. Dotkliwej samotności.

Och, biadolisz jak przedwojenny chłopina przed podróżą do sąsiedniego powiatu. Jak babina, którą pierwszy raz wsadzili do pociągu i całą drogę nawet nie drgnie ściskając tobolek na podołku. No tak. Biadole i truchleję w aglomeracji śląskiej. No ale młody Czesław Miłosz truchlał w schludnym szwajcarskim miasteczku i doszedł do siebie dopiero wtedy, gdy w niedalekim lesie zwinął się w kłębek i zagrzebał w liściach, bo poczuł się jak na Litwie. A kosmopolityczny Gombrowicz, gdy wylądował w Berlinie po tych wszystkich latach w Argentynie, chciał się rozpłakać, bo poczuł jesienną woń liści ciągnącą od Tiergarten i wydało mu się, że raptem znalazł się pod Radomiem. Więc coś dopiero ja, siwy dziaders o włościańskim rodowodzie zbłąkany w trzewiach postindustrialnego molocha... Skoro takie tuzy nie dawały rady, to ja mam dawać? Nie daję i tylko umiarkowanie się wstydzę.

Albowiem wierzę głęboko, że pejzaż dzieciństwa kształtuje na całe życie. Nawet wtedy, gdy za wszelką cenę chcemy od niego uciec. Ja nigdy nie uciekałem. „Nie będziesz wierzył przeciw ościeniowi”, jak mówi Pismo. Nie uciekałem, bo

nie miałem dokąd. Moja Warszawa była wówczas wiejska. W Choszczówce po głównej ulicy chodziły krowy i zstawały na asfalcie swoje zielonkawe placki. Krowy należały do mojego najlepszego kolegi. Trzy albo cztery czarno-białe, niezwykle wyluzowane zwierzęta. Było trochę jak w Indiach. Wokół rośło zboże i ciągnęły się kartofliska. Matka do końca życia miała ojcu za złe, że ją oszukał. Obiecał, że porzuci swoje sennie wsie i zamieszkać w mieście. A tutaj po staremu piali koguty, czekały psy na łańcuchach, trzeba było palić w piecu, a do autobusu szło się przez las. Tyle że autobus był po miejsku czerwony. Ale żeby dotrzeć do prawdziwego miasta, trzeba było przesiąść się na tramwaj.

Żyłem w zaroślach i ciszy. Kury grzebały w piachu. W powietrzu czuć było zapach sosnowego dymu. Wiosną przyjeżdżał wóz. Ponury mężczyzna zdejmował z niego pług, przypięgał konia i zaorywał kawał naszego, powiedzmy, ogrodu i potem bronował. Pamiętam skrzyp uprzęży, koński pot i poswist bata. Miasto. Matka z ojcem sadzili na tym kawałku ziemniaki. Powtarzali gesty znane z dzieciństwa. Mieszczanie. Przez jakiś czas ojciec hodował w komórce świnię. Potrafiła rozwalić zagródkę, żeby posmakować wolności. Chyba ją w końcu sprzedał, bo nie pamiętam świniobójstwa, kwików ani krwi. To wszystko w naturalny sposób łączyło się z wyjazdami na prawdziwą wieś. Do dziadków, do wujostwa. Tam było prawie tak samo, tylko bardziej. Nie chcę napisać, że „naprawdę”. Po prostu w tak zwanym mieście nasza wiejskość była rozcieńczona, była *soft*. I pewnie wstydliva wstydlivością perwersji, która jednak wydawała się nam czymś jak najbardziej naturalnym.

Tak, pejzaż dzieciństwa osłania nas i z biegiem lat łagodzi dotyk świata. Ale też czyni nas nieco bezbronny. Gdy go opuszczamy, doświadczamy czegoś na kształt małego wygnania z raju. Albo lekkiego przerażenia, na przykład w infernalnej aglomeracji, która podaje się za ojczyznę. Z drugiej strony znam ludzi, których nocna cisza i ciemne niebo, na którym świecą tylko gwiazdy, wprawiają w niewytłumaczalną bojaźń i za wszelką cenę chcą cokolwiek włączyć, niechby i radio, oraz zapalić światło. A mój paryski znajomy muzyk do tej pory wspomina traumę z dzieciństwa, gdy rodzina na wsi wysłała go do ogródka po sałatę i nie dość, że ta sałata wyrosła z brudnej ziemi, to jeszcze chodził po niej ślimak. Gdy mnie odwiedził, w ogóle nie chciał wyjść na zewnątrz. I tak to wygląda.

W każdym razie za Dąbrową Górniczą raptem zrobiło się pusto, pięknie i pagórkowato. Stałem, wspierałem się na wapienną skałę, żeby spojrzeć wstecz. W oddali z zielonego bezmiaru sterczały białe-czerwone kominy i szare chłodnie kominowe. Wyglądały naprawdę groźnie. Wydawało się, że kroczą w ślad za mną. „Och, nie bój się”, mruknąłem. Zaraz zaczęły się Jura, a potem to nawet Kieleckie. ©



SOFLA / INTERFOTO / FORUM

22 CZERWCA 1941: STARCIE TYRANÓW

MARK SOŁONIN, ROSYJSKI HISTORYK:

80 lat temu Hitler wyprzedził Stalina. Mniej więcej o dziesięć-dwadzieścia dni.

ZBIGNIEW ROKITA: Pod koniec lat 50. w Związku Sowieckim powstała oficjalna interpretacja wydarzeń z lata 1941 r., czyli początku wojny niemiecko-sowieckiej, która obowiązuje do dziś. Opiera się na trzech тезach: że Stalin chciał uniknąć tej wojny, że Armia Czerwona była nieprzygotowana, i że za długo zwle-

kano z mobilizacją, dlatego Niemcy z zaskoczenia zniszczyli np. sowieckie lotnictwo. Zaczniemy od tego: czy Stalin sam chciał zaatakować Hitlera?

MARK SOŁONIN: Oczywiście. Na początku lipca 1941 r. Stalin planował zbrojnie wkroczyć do Europy. Gdy w 1988 r. Wiktor Suworow opublikował książkę

„Lodołamacz”, wówczas była to hipoteza. Dziś wiemy, że to fakt. Istnieje na to co najmniej 13 dokumentów. Dokładnie pokazują plany ataku sowieckich wojsk na kierunku zachodnim.

Jak miał wyglądać ten atak?

W pierwszej kolejności Armia Czerwona miała zaatakować terytorium Sło-

Fotoreporter wojenny Georg Schödl (z lewej) i niemiecki pilot (nieznany z nazwiska) na porzuconym sowieckim czołgu ciężkim KW-2, lato 1941 r. Wyposażony w armatę kalibru 152 mm, KW-2 był wtedy najlepiej uzbrojonym czołgiem świata. W 1941 r. Niemcy chętnie wykorzystywali zdobyczne czołgi sowieckie, uznając, że są lepsze technicznie od ich własnych.

wacji i Polski, tj. jej część okupowaną przez Niemcy. Co ciekawe, w dokumentach nigdzie nie pada słowo „Polska”.

A jak jest nazywana?

Hitlerowski terminem: Generalne Gubernatorstwo. Po wrześniu 1939 r. w sowieckich dokumentach nie mogło być już żadnej Polski.

Głębokość natarcia Armii Czerwonej podczas pierwszej strategicznej operacji miała wynosić 200-250 km na zachód od sowieckiej granicy. Chciano prędko zająć Kraków, Katowice, Bydgoszcz i Warszawę. Ta operacja miała zająć 20-25 dni.

Co dalej? Niektórzy historycy twierdzą, że Stalin planował dość do Atlantyku.

O tym, co miało stać się dalej, dokumenty niemal milczą. Sowietów nie wybiegali tak daleko w przyszłość. Jest takie rosyjskie przysłowie: „Wojna pokaże, jakie są plany”.

Co znaczy: „niemal”?

Jest jeden dokument, który mówi więcej. Pochodzi z marca 1941 r. Czytamy w nim, że po zakończeniu pierwszej operacji możliwe będzie natarcie albo na Berlin, albo na Pragę, albo na Budapeszt. Ale nikt nie odnalazł w dokumentach dowodów, że Stalin chciał dość do Portugalii i kanału La Manche. Zrozumiałe natomiast, że skoro pierwszym zadaniem było rozgromienie sił Niemców i ich sojuszników, to później można było posuwać się już daleko. Ale plany to jedno, a konkretne działania to drugie.

Co wiemy o podejmowanych działaniach?

Do 5 maja 1941 r. Józef Stalin formalnie był nikim w sowieckiej strukturze władzy: był tylko zwykłym deputowanym Rady Najwyższej [parlamentu – red.]. Tego dnia, 5 maja, Stalin mianuje sam siebie szefem rządu, a pod koniec sierpnia w jego gabinecie zbiera się dowództwo sił zbrojnych. Dysponujemy dziennikiem

wizyt w gabinecie Stalina i wiemy, że w poprzednich latach nigdy nie doszło do podobnej narady. Następnie zaczyna się tajna dyslokacja wojsk. Na zachód przesuwa się miliony żołnierzy, dziesiątki tysięcy czołgów, samolotów itd. W końcu w dniach 18-19 czerwca nagle pojawiają się różne istotne dokumenty wojskowe z numerami 1, 2, 3 itd. Te numery mówią, coś się zaczęło. Dyslokacja Armii Czerwonej na pozycjach wyjściowych do ofensywy miała zakończyć się w pierwszych dniach lipca.

Ale w międzyczasie Niemcy uderzyli.

Tak. Hitler wyprzedził Stalina o mniej więcej 10-20 dni.

Może Hitler wiedział o sowieckich planach i postanowił zaatakować przewencyjnie?

Termin „wojna przewencyjna” zawiera w sobie usprawiedliwienie ataku jako prowadzonego rzekomo w imię obrony. Hitler nie był ofiarą agresji, lecz agresorem. Razem ze Stalinem zaczął w 1939 r. wojnę, ale odegrał w tym większą rolę. Dlatego nie nazwę „prewencyjnymi” żadnych działań wojsk niemieckich między 1 sierpnia 1939 r. a 8 maja 1945 r. Natomiast wracając do pytania: według wiedzy mojej i moich kolegów niemiecki wywiad nie miał pojęcia o sowieckich planach. Operacja „Barbarossa” [kryptonim ataku na Związek Sowiecki – red.] nie była odpowiedzią na sowieckie plany.

Hitler i Stalin przypadkowo planowali napaść na siebie w tym samym czasie?

Tak, to zbieg okoliczności. Inna sprawa, że niemiecki atak miał zacząć się już w połowie maja 1941 r.

Ale pod koniec marca w Jugosławii doszło do zamachu stanu, jej nowe władze zerwały porozumienie z Niemcami, więc Hitler musiał zająć się najpierw Bałkanami...

...i atak na Związek Sowiecki opóźnił się o miesiąc.

Jesienią 1941 r. Niemcy podchodzą pod Moskwę. Czy jej zajęcie przesądziłoby o przebiegu wojny?

Utrata Moskwy miałaby kolosalne znaczenie i z prawdopodobieństwem bliskim pewności zadałaby Armii Czerwonej śmiertelny cios.

Nie byłby możliwy wariant admirała Kołczaka z czasów wojny domowej: wycofanie się w głąb kraju, sforsowanie tam ośrodka władzy i kontrnatarcie?

Myślę, że punktem odniesienia może tu być nie Kołczak, lecz traktat brzeski, który w marcu 1918 r. Niemcy i Austro-Węgry zawarły z bolszewicką Rosją. Bolszewicy wycofali się wtedy z I wojny światowej i oddali ogromne terytorium. Tak prawdopodobnie wyglądałaby klęska Związku Sowieckiego w 1941 r. Przecież Niemcy nie mogli okupować całego sowieckiego terytorium od Bugu po Władywostok. Nie wystarczyliby Niemców. Ale gdyby udało im się zająć Moskwę, złamać opór Armii Czerwonej i podpisać ze Stalinem pokój, który przesuwałby wspólną granicę na Wołgę – już samo to oznaczałoby zupełne rozbitcie Związku Sowieckiego.

Trzy czwarte sowieckiego przemysłu zbrojeniowego znajdowało się na zachód od linii Leningrad–Moskwa–Stalingrad. Pozostała jedną czwartą Niemcy mogliby łatwo zniszczyć, gdyby, zachowawszy władzę w hipotetycznej Uralo-Syberyjskiej Republice Sowieckiej, Stalin chciał złamać postanowienia pokojowe. Utrata zachodnich terenów oznaczałaby koniec Związku Sowieckiego jako kraju znaczącego coś w polityce europejskiej. Stałby się słabo rozwiniętym państwem azjatyckim.

Na początku XVII w. Polacy zajęli Kreml, ale ten sukces był początkiem klęski.

W 1941 r. sytuacja była inna niż w roku 1612. Przede wszystkim dlatego, że w XVII w. w wojnach brała udział szlachta, czyli mała część społeczeństwa, a nie chłopci. W wieku XX było inaczej: na placu boju stały wielomilionowe armie złożone ze zwykłych ludzi. W przeciwieństwie do szlachty, tym ludziom nie tłuczono od dziecka do głów, że narodzili się, by wojować. Konieczne było zmotywowanie tych mas do walki. Utrata stolicy w tak krótkim czasie jeszcze bardziej utwierdziłaby sowieckie społeczeństwo w przekonaniu, że władza Stalina się wali i ryzykowanie życia na wojnie nie ma sensu. Zdolność Armii Czerwonej do walki opierała się bowiem głównie na strachu przed represjami. Czynnikiem byłby słabszy, tym mniej byłby strach.



AKG-IMAGES / EAST-NEWS

Żołnierze Armii Czerwonej, którzy przeszli na stronę Niemców, wykonują prace saperские przy utrzymaniu drogi; Ukraina, lato 1941 r. Łącznie w szeregach Wehrmachtu na froncie wschodnim walczyło ponad milion byłych czerwonoarmistów, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo Stalinowi. Gdy trafiali do niewoli, z reguły byli zabijani bez sądu przez NKWD.

rzucano przeciw niemu ogromne siły powietrzne. Jeśli wziąć pod uwagę liczbę przelotów wykonanych przez sowieckich pilotów i liczbę bomb zrzuconych podczas wojny zimowej, od końca listopada 1939 r. do marca 1940 r., to jest ona większa niż w przypadku niemieckich ataków podczas bitwy o Anglię w 1940 r.

→ **Czyli gdyby Niemcy zaatakowali jeszcze w maju i zdołali zająć Moskwę przed zimą, państwo Stalina mogłoby upaść?**

Istotne były zarówno wydarzenia w Jugosławii, jak też błędy Niemców, które popełnili, planując atak.

Jakie błędy?

Niemcy utrzymywali znaczne siły we Francji i Norwegii, choć nie były tam potrzebne. Błędem było, że nie przerzucili ich na front wschodni. Błędem było też równoczesne prowadzenie operacji w Afryce Północnej. Istotne jest jednak to, że zwycięstwo na wschodzie i klęska Związku Sowieckiego były bardzo, bardzo prawdopodobne. Stalin był o włos od klęski. Tak, nie można wykluczyć, że gdyby w Jugosławii nie doszło do przewrotu, albo gdyby Niemcy przerzucili część sił z Francji na wschód, to po paru miesiącach Stalin podpisałby traktat brzeski bis.

Wbrew temu, co się często sądzi, w 1941 r. to Stalin miał najnowocześniejszą pod względem technicznym armię świata: miał kilka razy więcej czołgów, samolotów czy dział niż Niemcy. Także sowiecka przewaga liczebna była wielka. Jednak latem 1941 r. Armia Czerwona się rozpada. Jak to było możliwe?

Odpowiedź jest prosta: czołgi same nie walczą, walczą czołgiści. Także samoloty same nie walczą, walczą piloci. I tak dalej. Jeśli człowiek nie chce się bić, to ilość i jakość sprzętu nie mają znaczenia. Już na początku wojny niemiecko-sowieckiej Armia Czerwona przekształciła się w beładną tłuszcę, która zaczęła porzu-

cać wszystko, co miała: czołgi, samoloty, działa. I wzięła nogi za pas.

Dokąd uciekali?

Jedni wracali do domów, inni przechodzili na stronę Niemców, jeszcze inni trafiali do niewoli. Przy tak masowych dezercjach i tak masowej niechęci do walki za reżim stalinowski potencjał techniczny Armii Czerwonej nie miał znaczenia.

Co stało się np. z czołgami? Przewaga liczebna czołgów sowieckich nad niemieckimi była na początku tej wojny cztero- czy nawet pięciokrotna.

Większości z nich Niemcy nie zobaczyli nawet na placu boju. W walce wzięło udział od jednej trzeciej do jednej czwartej sowieckich czołgów, resztę porzucano. Niemcy znajdowali ten sprzęt i nie mogli uwierzyć w to, co widzą. W ich dokumentach znalazłem różne fantastyczne wytłumaczenia tej sytuacji, bo niemieccy oficerowie nie mogli uwierzyć, że ta masa sprzętu została tak po prostu porzucona.

Nagły rozkład Armii Czerwonej tłumaczy Pan głównie psychologią?

Tak, ludziom brakowało motywacji. Oczywiście istotne było też – choć w drugiej kolejności – niewystarczające wyszkolenie. Oba te czynniki oddziałują na siebie: jeśli brakuje mi umiejętności i wiem, że będę po prostu mięsem armatnim, to nie mam ochoty walczyć. Ale, z drugiej strony, nie było tak, że sowieckie wojska były zupełnie nieprzygotowane. Np. piloci walczyli wcześniej podczas hiszpańskiej wojny domowej i w Chinach, a przede wszystkim podczas wojny zimowej z Finlandią. Tak, Finlandia to mały kraj, ale

Ten brak motywacji sugeruje, że projekt stworzenia homo sovieticus, lojalnego obywatela, zakończył się klęską. A przecież żołnierze, którzy w 1941 r. mieli po 20 lat, nie pamiętali innego świata niż sowiecki.

Jestem za, a nawet przeciw: uważam, że jednak udało się stworzyć człowieka sowieckiego.

Wcześniej armia Imperium Rosyjskiego nie odznaczała się wysokimi umiejętnościami bojowymi, w 1905 r. pokonała ją Japonia, a później ponosiła porażki podczas I wojny światowej. Jednak nigdy nie poniosła takiej klęski, jak Armia Czerwona w 1941 r. Nigdy żaden wróg nie wszedł tak daleko w głąb rosyjskiego terytorium. Tak, w 1612 r. Polacy zajęli Moskwę. Ale nie doszli do Wołgi. A Niemcy doszli. Poza tym w 1612 r. granica między Rzeczpospolitą a Moskwą przebiegała kilkaset kilometrów dalej na wschód niż granica niemiecko-sowiecka w 1941 r. Nigdy wcześniej nie notowano też tylu milionów dezerterów i jeńców, co latem 1941 r.

A więc eksperyment bolszewików, polegający na stworzeniu nowego człowieka, się powiódł. Na czym polegał?

Na tym, że wymordowano stare elity, większość ludzi wykształconych, najbardziej pracowitych chłopów, obywateli samodzielnie myślących. W zamian Sowietci zyskali masę ludzi zastraszonej, którzy trwali w stanie półzwierzęcy. Dziś trudno Europejczykom pojąć, jak ogromny był strach w Związku Sowieckim. Pamiętam pokolenie rodziców: oni

drżeli, bali się podejść do telefonu, rozmawiać w domu. W 1941 r. ta masa ludzi nie mogła walczyć.

80 lat temu doszło też do pewnego szerzej nieznanego wydarzenia: 25 czerwca, a więc parę dni po tym, jak zaczął się niemiecki atak, Armia Czerwona jakby nigdy nic znów atakuje Finlandię. Ona nie była wtedy jeszcze formalnym sojusznikiem Hitlera, do tego momentu nie wzięła udziału w niemieckim ataku. Dlaczego Stalin stworzył dodatkowy front?

Rzeczywiście, rankiem czwartego dnia wojny niemiecko-sowieckiej lotnictwo Armii Czerwonej podjęło próbę nalotów na Finlandię. Nie osiągnięto jednak celów, a w odpowiedzi tego dnia wieczorem Finlandia wypowiedziała Moskwie wojnę. Zapewne i tak by to uczyniła: w sytuacji, gdy Armia Czerwona ponosiła porażki, Finowie najpewniej wykorzystaliby okazję, aby odzyskać terytoria, które stracili podczas wojny zimowej. Niemniej fakty są takie, że w czerwcu 1941 r. to nie Finlandia zaatakowała, lecz odwrotnie.

Dlaczego ją wtedy zaatakowano?

Dużo było w tym sowieckim ataku zwykłej głupoty. To było tak: poprzedniego dnia ktoś poinformował Stalina – nie wykluczam, że była to niemiecka prowokacja – że w Finlandii koncentrują się ogromne siły Luftwaffe, które zaatakują Leningrad. Była to dezinformacja, niemająca nic wspólnego z rzeczywistością. Ale Stalin w trzecim dniu wojny był już bliski paniki i polecił wyjąć z sejfu plany ataku na Finlandię i przeprowadzić operację.

Sowieci odnieśli sukces?

W żadnym razie. Zniszczyli niewiele fińskich samolotów, tymczasem jedna trzecia ich maszyn została zestrzelona przez skromne siły fińskie. Próba zdemontowania przez Sowietów, że mogą wygrywać, zakończyła się klęską.

Wieczorem 28 czerwca Stalin jedzie do swojej podmoskiewskiej dachy i przez dwa dni nie ma z nim kontaktu. Pan pisze, że bez jego zgody nie można było wówczas zmienić nawet repertuaru w Teatrze Bolszoj. W tej sytuacji machina państwowa musiała więc stanąć. Prawdziwe są opowieści, że jego otoczenie chciało go w tych dniach obalić?



GORDONIA / YOUTUBE

MARK SOŁOMIN jest rosyjskim historykiem. Ukończył Instytut Lotniczy w Kujbyszewie i pracował

w tajnym biurze konstrukcyjnym. Od niemal 30 lat bada historię udziału Związku Sowieckiego w II wojnie światowej. Jego książki ukazały się także w Polsce, m.in. „22 czerwca 1941, czyli jak zaczęła się wielka wojna ojczyźniana”, „23 czerwca. Dzień »M«” czy najnowsza „Jak Związek Radziecki wygrał wojnę”.

Ogromna część państwowych dokumentów, które w latach 90. XX w. ujawniono, dziś znów jest tajna. Już Borys Jelcyń stworzył prezydenckie archiwum, do którego z różnych miejsc zwieziono 15 mln różnych spraw. Nie stron, lecz spraw [ros. *dielo*: sprawa, zagadnienie – red.]. Całe wagony akt. Nie mamy więc dziś dostępu do wielu dokumentów, które mogłyby rzucić światło na tamte wydarzenia.

Wiemy, że 28 czerwca Wehrmacht zajmuje już Mińsk, a Stalin dowiaduje się o tym nie od podwładnych, lecz z angielskiego radia. Wpada w szal, jedzie do sztabu generalnego, tam robi awanturę – wiemy to ze wspomnień Gieorgija Żukowa – po czym udaje się do swojej dachy, znika na dwa dni i nikogo nie chce widzieć. Co się wtedy dzieje, dokładnie nie wiemy. Na ile mogę sobie jednak odmalować psychologiczny portret Stalina, wyobrażam sobie, że bał się przewrotu pałacowego. Powinno do niego dojść.

Dlaczego?

W 1917 r. Stalin był członkiem władz partii bolszewickiej, która zniszczyła rosyjską armię i rękami dezertów przeprowadziła wojskowy przewrót, zwany później Wielką Socjalistyczną Rewolucją Październikową. Wiedział, że latem 1941 r. mogło dojść do przewrotu, bo ćwierć wieku wcześniej sam taki organizował. Był świadom, że wielomilionowa tłuszcza może nie tylko porzucić broń, ale też ruszyć na Moskwę, aby zaprowadzać nowe porządki.

I wówczas, 30 czerwca, przyjeżdżają do niego najbliżsi współpracownicy.

Anastas Mikojan [wówczas sowiecki wicepremier – red.] napisze po latach, że gdy do niego weszli, Stalin miał oczy „przerażonego psa”. Myślał, że przyjechali go aresztować.

Sądził, że podzieli los ostatniego cara?

Los jednak sprzyjał Stalinowi – jego współpracownicy zaczęli prosić go, aby na powrót objął stery. Bo zrozumieli, że jeśli Stalin zniknie czy popełni samobójstwo, sami nie podołają wyzwaniom i naród rozerwie ich na strzępy. Stalin wziął się w garść i 3 lipca wystąpił ze znanym przemówieniem: „Bracia i siostry, zwracam się do was, moi przyjaciele...”.

Swoją książkę „22 czerwca 1941” zaczyna Pan tak: „Jestem za moratorium. Słowo honoru. Jeśliby taka decyzja została podjęta na szczeblu rządowym, podporządkowałbym się jej całkowicie i sumiennie”. Mowa o moratorium na badanie okoliczności wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej aż do 2045 r. Jak to rozumieć?

Wielu Rosjan czuje się obrażonych tym, co piszę w moich książkach. Zwycięstwo w tym, co oficjalnie nazywane jest „wielką wojną ojczyźnianą”, to dla nich najwspanialszy moment w rodzimej historii. A tu nagle pojawia się ja i dowodzę, że było inaczej, niż ich uczono, że nie było tak, iż Hitler napadł na pokojowo nastawiony i niczego niespodziewający się Związek Sowiecki...

...czym podważa Pan główny mit współczesnej Rosji.

Podważając główny mit państwowej propagandy, obrażam uczucia ogromnej liczby ludzi. Wiedziałem, że usłyszę takie zarzuty, stąd w mojej pierwszej książce, w jej pierwszych słowach, zaproponowałem moratorium na badania. Powiedziałem: jeśli twierdzicie, że badanie prawdziwej historii kogoś uraża, to zamilkniemy. Ale zamilkniemy wszyscy.

Wszyscy?

Tak: nie tylko ja, lecz również wy. Ale jeśli się na to nie godzicie i chcecie urządzić swoje parady zwycięstwa każdego 9 maja oraz inscenizacje szturm Reichstagu z kartonu, to ja swoich badań prowadzić nie przestanę.

© Rozmawiał ZBIGNIEW ROKITA

TRZECI KCIUK

Czy nasze ciała można rozbudowywać o dodatkowe elementy?

Zespół naukowców sprawdził, jak ludzki mózg radzi sobie z nowym, mechanicznym palcem. Wyniki eksperymentu mogą być ważne nie tylko dla osób potrzebujących protez.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

JEDEN Z NAJPRAKTYCZNIJSZYCH WYNAZKÓW ewolucji zadebiutował około 170 mln lat temu, między ogromnymi miłorzębami i iglakami obszaru, który dziś stanowi chińską prowincję Liaoning. Małe, latające gady dorobiły się wówczas tajnej broni, która miała pozwolić im skuteczniej polować w gęstych zaroślach. Ta broń okazała się tak skuteczna, że dobór naturalny wyposażył w nią później także niektóre ptaki i ssaki. A 169 mln lat po tym, jak *Kunpengopterus antipollicatus* polował między miłorzębami na cykady, jego wynalazek stał się jedną z podstaw cywilizacji człowieka.

Chodzi o kciuk. Dodatkowy, nonkonformistyczny palec po zawadiacku ustawiony pod kątem w stosunku do pozostałych. Małe pterozaurowie, podobnie jak nasi przodkowie, korzystały z niego zapewne po to, by zręcznie i bez wysiłku chwycić się leśnych gałęzi. Ale jego użyteczność wykracza dalece poza wspinaczkę po drzewach. Bez kciuków nie byłoby narzędzi, bo nie byłibyśmy w stanie mocno chwycić młotka czy zaostrego kamienia. A bez narzędzi nie byłoby rolnictwa, miast, nauki i tygodników opinii.

Ale skoro jest tak użyteczny, to dlaczego mamy tylko dwa kciuki? Co właściwie zrobilibyśmy z trzecim, czwar-

tym, piątym? Czy nasz mózg dałby sobie z nimi radę? Absurdalne z pozoru pytanie może okazać się bardzo ważne, bo prowadzi nas do głębszej analizy tego, jak właściwie nasz mózg steruje przypisanym mu ciałem. I czy ludzkość może te ciała do woli przebudowywać.

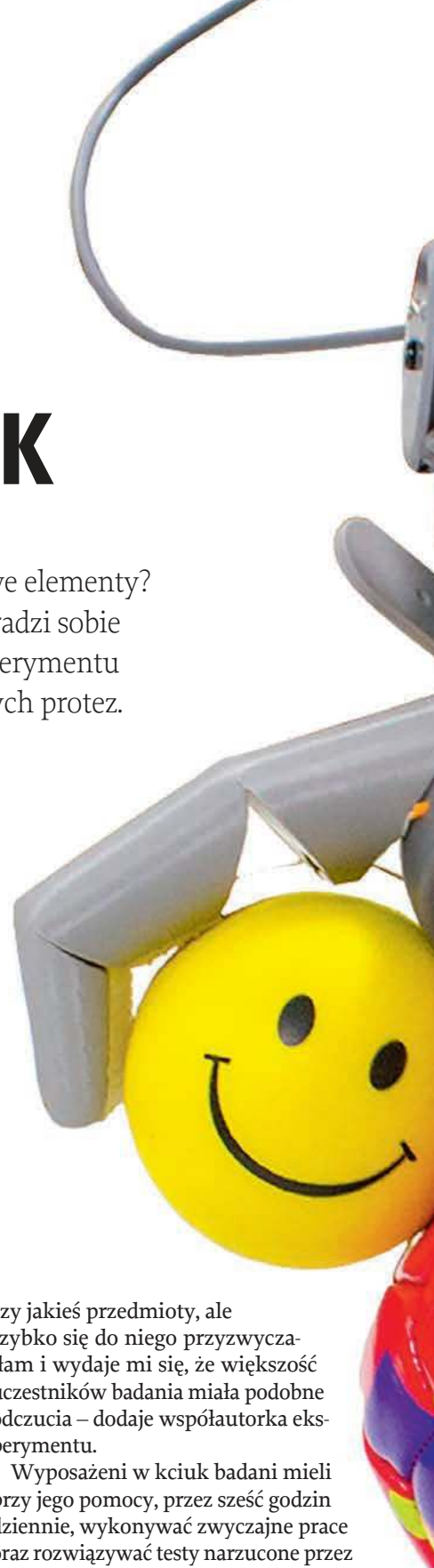
To już część mnie

Aby to sprawdzić, zespół uczonych z University College London wyposażył 36 osób badanych w trzeci, drukowany w 3D, mechaniczny kciuk. Wymyślone przez projektantkę Dani Clode urządzenie zamocowane na dłoni pozwala na precyzyjną kontrolę ruchów dodatkowego palca za pomocą czujników nacisku przyklejonych do dużych palców stóp. Naciskając je, badani sterowali silniczkami zginającymi na różne sposoby mechaniczny palec.

– Na początku to dziwne uczucie. Jesteśmy jednak przyzwyczajeni do tego, że zwykle widzimy pięć palców na dłoni – wspomina „Tygodnikowi” Paulina Kieliba, polska neurobiolożka, członkini zespołu prowadzącego badanie. – Ale to bardzo szybko staje się naturalne. Po kilku dniach, a może nawet po kilku godzinach miałam wrażenie, że już jest to dla mnie coś w miarę normalnego. Jasne, obijałam się nim czasem o ścianę

czy jakieś przedmioty, ale szybko się do niego przyzwyczaiłam i wydaje mi się, że większość uczestników badania miała podobne odczucia – dodaje współautorka eksperymentu.

Wypożyczeni w kciuk badani mieli przy jego pomocy, przez sześć godzin dziennie, wykonywać zwykłe prace oraz rozwiązywać testy narzucone przez naukowców. Większość rzeczywiście błyskawicznie przyzwyczaiła się do dodatku. Badani byli w stanie prawidłowo korzystać z nowego kciuka nawet wtedy, gdy byli rozproszeni – np. gdy musieli budować wieżę z klocków, jednocześnie





rozwiązując problemy matematyczne, albo gdy zawiązano im oczy.

„Nasze badanie wykazało, że ludzie są w stanie szybko nauczyć się korzystać z urządzenia wspomagającego i wykorzystywać je bez zbędnego myślenia o nim” – piszą autorzy eksperymentu w raporcie opublikowanym w maju tego roku na łamach „Science Robotics”. „Korzystając z trzeciego kciuka, ludzie zmienili swoje naturalne ruchy dłoni. Twierdzili też, że zrobotyzowany kciuk wydawał im się częścią ich własnego ciała”.

Zmiana w reprezentacji

To właśnie jest najbardziej fascynująca część eksperymentu. Bo korzystanie z kciuka nie tylko zmieniło przyzwyczajenia użytkowników. Coś szczególnego wydarzyło się w ich mózgach. Skany przeprowadzone przed pięciodniowym eksperymentem i po nim wykazały różnice w funkcjonowaniu pewnych obszarów kory mózgowej.

– Zauważyliśmy po tych pięciu dniach, w grupie osób, które używały tego kciuka, zmiany w reprezentacjach dłoni w korze czuciowo-ruchowej. Chodzi o ośrodki mózgu, które mają do czynienia z ruchem – tłumaczy „Tygodnikowi” Paulina Kieliba.

– Zmiana dotyczy tego, jak nasz mózg reprezentuje ruch pojedynczych palców dłoni. Już po tak krótkim czasie z dodatkowym kciukiem ruch każdego z palców stał się dla naszego mózgu bardziej podobny, niż był wcześniej. Coś, co nazywamy reprezentacją dłoni, zmalało. Reprezentacje palców, wcześniej bardzo od siebie różne, stały się bardziej podobne. To o tyle ciekawe, że reprezentacja dłoni zazwyczaj jest bardzo stabilna. Pracujemy z ludźmi po amputacji, u których nawet po 20 latach konkretne obszary mózgu reprezentują utraconą kończynę. A w naszym eksperymencie zaledwie po pięciu dniach zauważyliśmy, że następuje jakaś zmiana – dodaje Kieliba.

Może się nam wydawać, że narzędzie, z którego często korzystamy – czy to klawiatura, kierownica samochodu, czy śrubokręt – jest przedłużeniem naszego ciała. Ale nasz mózg zazwyczaj widzi bardzo wyraźną różnicę między tym, co stanowi jego bezpośrednią domenę, a zewnętrznymi urządzeniami wspomagającymi. Okazuje się jednak, że ta granica zaciera się, gdy mamy do czynienia z urządzeniem, które staje się trwałym elementem ciała. Wcześniej podobne zjawisko zaobserwowano jedynie u pianistów koncertowych. Japońscy badacze odkryli w 2019 r., że lata treningu prowadzą u nich do zaburzenia reprezentacji dłoni w mózgu na podobny sposób – palce dla mózgu zaczynają „zlewać się” i upodabniać do siebie.

Żelazna dłoń generała

Ta zdolność mózgu do adaptacji może się okazać bardzo istotna. Choćby dla budowy lepszych protez. Zastępcze kończyny przez dwa tysiące lat nie uległy wielkim przemianom. Jedną z pierwszych, o jakich wiemy, jest żelazna dłoń rzymskiego generała Marcusa Sergiusa. Dowódca stracił dłoń podczas drugiej wojny punickiej z Kartaginą (218-201 p.n.e.). Na jej miejsce kazał sobie stworzyć metalową protezę, która pozwalała mu utrzymać tarczę. Późniejsze modele nieco rozwinęły rzymski pomysł. Metalowa ręka niemieckiego rycerza Goetza von Berlichingena miała ruchome palce, pozwalające mu utrzymać wodze konia.

Palce trzeba było jednak układać przy pomocy drugiej, sprawnej dłoni.

Później seria wynalazków pozwoliła na stworzenie protez nieco bardziej

Mechaniczny kciuk wykorzystany w eksperymencie Pauliny Kieliby i współpracowników.

DANI CLODE DESIGN / DANICLODE.COM / MATERIAŁY PRASOWE

→ przypominających funkcjonalnością dłonie, ale prawdziwy przełom dopiero się zaczyna. Postępy robotyzacji i neuro nauki pozwalają mieć nadzieję na stworzenie kończyn funkcjonalnością odpowiadających ludzkim. A transhumanści, tacy jak Kevin Warwick z Uniwersytetu Coventry, autor kilku książek o robotach, cyborgach i sztucznej inteligencji, idą jeszcze dalej, twierdząc, że w przyszłości opracujemy części ciała o możliwościach daleko przekraczających potencjał oryginałów. I, być może, będziemy chcieli usprawniać nasze ciała biomechanicznymi dodatkami.

Tyle że wyniki londyńskiego badania z trzecim kciukiem można interpretować dwojako. A jedna z możliwości to zła wiadomość dla ludzi czekających na przyszłość pełną bionicznych akcesoriów.

– Z jednej strony, nasze wyniki mogą świadczyć o tym, że nasz mózg znalazł bardziej optymalny, bardziej kompaktowy sposób na przetwarzanie informacji o dłoni. I dzięki temu może oddelegować więcej zasobów do kontrolowania dodatkowego kciuka – tłumaczy Kie-

Bez kciuków nie byłoby narzędzi.

A bez narzędzi
– rolnictwa, miast, nauki
i tygodników opinii.

liba. – Zły scenariusz jest taki, że zmiany w reprezentacji świadczą o tym, iż mamy ograniczoną ilość zasobów do kontroli naszych własnych pięciu palców. Dodanie szóstego sprawia więc, że nasz mózg musi zabrać część zasobów przypisanych pozostałym palcom i oddać je nowemu. To mogłoby skutkować tym, że kontrola, jaką mamy nad naszym normalnym ciałem, staje się nieco gorsza.

Proces odwracalny

Nie wiemy też, jak długo utrzymuje się efekt wykryty przez londyński zespół.

Zmiany w reprezentacji dłoni wydają się cofać po kilkunastu dniach. Ale naukowcy przestrzegają, że skala ich badania była zbyt mała, a jego czas zbyt krótki, by wyciągać daleko idące wnioski.

– Wyobraźmy sobie, że żyjemy w futurystycznym świecie i idziemy do pracy, w której na przykład dostajemy dwie dodatkowe dłonie, by nosić ciężary czy pracować na linii produkcyjnej. Po ośmiu godzinach zostawiamy te dodatkowe dłonie w szafce – rozważa Paulina Kieliba. – Czy nadal jesteś w stanie korzystać równie dobrze ze swoich dwóch naturalnych dłoni? Czy nadal jesteś w stanie bezpiecznie kontrolować swoje ciało? Tego nie wiemy, nasz eksperyment otwiera okno dla kolejnych badań, jednak prowokuje również wiele nowych pytań.

Daje też nadzieję na to, że odtworzenie naturalnych, ale utraconych funkcji organizmu jest możliwe i nie jest dla naszego mózgu szczególnym problemem przyzwyczajenie się do nawet bardzo złożonych protez. Natura dała protezom przyszłości kciuk w górę.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI



DOMENA PUBLICZNA

Homunculus

W FILOZOFII termin ten używany jest m.in. do zobrazowania problemów związanych z wyjaśnianiem świadomości. Co bowiem powoduje, że doświadczamy świadomych wrażeń – oraz że oglądamy coś „okiem umysłu”? Możemy sobie wyobrazić, że istnieje w mózgu struktura, która niczym

miniaturowy człowieczek (to właśnie po łacinie znaczy homunculus) przygląda się obrazom dostarczonym nam przez zmysły lub wyobraźnię. Ale to nie rozwiązuje problemu, możemy bowiem zapytać: jak to się dzieje, że sam homunculus doświadcza tych wrażeń? Czyżby w jego małej głowie znajdował się

jeszcze mniejszy człowieczek? A w nim – kolejny?

W NEUROBIOLOGII

homunculus zyskał nową postać. W korze mózgowej istnieją bowiem wyspecjalizowane obszary czuciowe i ruchowe, które reprezentują konkretne części ciała. Np. gdy ruszamy małym palcem albo dotykamy czegoś kolanem, aktywuje się inny obszar niż wtedy, gdy poruszamy stopą albo po naszym policzku spływa kropla potu (możemy także wywołać określone ruchy lub wrażenia, jeśli będziemy stymulować magnetycznie odpowiednie części mózgu). Obszary te tworzą dwie mapy naszego ciała, nazywane homunculem czuciowym i ruchowym. Układ tych map nie odzwierciedla dokładnie naszego planu anatomicznego: np. reprezentacje palców i części twarzy są położone blisko siebie.

Te części ciała zajmują również na mózgowych mapach mnóstwo miejsca – ponieważ wymagają przetwarzania wielu informacji. Gdyby nasze mózgowie mapy dokładnie odwzorowywały nasze ciała, wyglądałyby tak, jak na widocznych obok modelach z Muzeum Historii Naturalnej w Londynie.

BADANIA POKAZUJĄ, że mapy te są dość stabilne, a nawet częściowo wrodzone. Prawdopodobnie to one odpowiadają za tzw. bóle fantomowe u pacjentów po amputacjach. Mają one wynikać z faktu, że po amputacji mózgowa mapa nie zdołała się „zaktualizować”, a pacjenci mogą odczuwać, iż odcięta część ciała ciągle istnieje, ale np. zastygła w bolesnym skurczu. Również „uderzenie się” w fantomową kończynę może powodować doznania bólowe.

© P Ł K



Wargatek sanitarnik (po prawej) z jednym ze swoich klientów.

Rybka pod kontrolą

ŁUKASZ KWIATEK

Odraczanie gratyfikacji, czyli przedkładanie późniejszych większych korzyści nad mniejsze doraźne, nie musi wymagać dużego mózgu.

WARGATEK SANITARNIK TO RYBKA zdolna do kompromisów. Żyje w grupach zwanych haremami, w których jednemu samcowi towarzyszy kilka samic. Gdy samcowi przytrafi się coś złego, do stada nie musi dołączyć żaden nowy osobnik – bo najwyższą rangą samica może zmienić swoją płć. Zaczyna ona wykazywać agresywne, „męskie” zachowania i przechodzi odpowiednie zmiany fizjologiczne.

Agresja jest w tym hierarchicznym gatunku częstym zjawiskiem i służy m.in. właśnie kontrolowaniu płci u członków stada – żadna samica nie zmieni się w samca, dopóki w pobliżu jest jakiś dominujący osobnik. Odwrotną zmianę płci – z samca w samicę – w warunkach eksperymentalnych udało się zaobserwować, ale w naturze prawdopodobnie zdarza się ona bardzo rzadko. Powód jest prosty: by samcowi opłacało się zostać samicą (czyli by wzrosły jego szanse na spłodzenie potomstwa), w okolicy musiałoby nie być żadnych partnerek, a jedynie inne, większe od niego samce. Rzadko kiedy ten warunek jest spełniony.

Trzy tysiące decyzji

Międzygatunkowe kontakty wargatka są bardziej pokojowe. Gatunek ten żywi się

głównie pasożytami występującymi na skórze innych ryb. Podpływają one do niego i oferują posiłek w zamian za pożyteczną usługę. Również tutaj ujawnia się u wargatka zdolność do kompromisów. Ta rybka-czyszcicielka w rzeczywistości woli po prostu zjeść łuski i śluz swojego „klienta”, a nie jego pasożyty. Takie oszustwo bywa karane – niekooperatywny wargatek zostaje przegoniony, a poszkodowana ryba przez jakiś czas nie będzie miała ochoty korzystać z jego usług. W ciągu doby jedna rybka może wchodzić nawet w 3 tys. interakcji z klientami – a każda z nich wiąże się z podjęciem decyzji o tym, czy uczciwie szukać pasożytów, czy pójść na skróty i pożywić się smaczniejszym śluzem, czy może w ogóle odmówić swoich usług.

Z tego powodu zachowanie wargatka zainteresowało badaczy umysłów zwierząt. W opisanym w maju w „Animal Behaviour” eksperymencie Melisande Aellen z Uniwersytetu w Neuchâtel i współpracownicy poddali te rybki znanemu testowi samokontroli. Jego założenia są proste: uczestnik otrzymuje porcję pożywienia, ale jeśli powstrzyma się przed zjedzeniem jej od razu, po pewnym czasie dostanie dokładkę albo smaczniejszy kąsek.

Ten paradygmat badawczy wykorzystał pół wieku temu psycholog Walter Mischel w eksperymencie z udziałem dzieci, a od tego czasu modyfikowano go i stosowano wiele razy – także w badaniach nad zwierzętami. Największy rozgłos zyskały przeprowadzone po latach analizy, które pokazały, że na podstawie wyników uzyskanych w tym teście przez małe dzieci można przewidzieć ich przyszły sukces życiowy. Te osoby, które w dzieciństwie wykazały się wyższą samokontrolą i dłużej powstrzymywały się przed zjedzeniem porcji słodczy, w dorosłości dorobiły się m.in. lepiej płatnych stanowisk. W naszym społeczeństwie samokontrola może więc być ważną umiejętnością.

Czy oszustwo się opłaca

Co jednak z rybkami? W kilku wersjach testu większość wargatków umiała powstrzymać się przed zjedzeniem pożywienia przez co najmniej kilkanaście sekund – co czwarty znacznie dłużej, nawet przez minutę. To wynik porównywalny do tych osiągniętych przez testowane w analogicznym badaniu kapucynki, makaki, kruki czy wrony, czyli zwierzęta o znacznie bardziej rozwiniętych niż u ryb mózgach. Mogłoby się więc wydawać, że o sukcesie wargatków w teście zadecydowały specyficzne warunki ekologiczne, w których żyją – zwłaszcza powtarzające się okazje do współpracy z innymi rybami. Nie bez powodu zdolność do odraczania gratyfikacji, przedkładania późniejszych większych korzyści nad mniejsze doraźne, przez wielu naukowców uznawana jest za podstawę wszelkiej kooperacji.

Razem z wargatkami badacze przetestowali jednak również spokrewnione z nimi rybki-czyszcicielki, które przemieszczają się, oferując swoje usługi – dlatego mogą częściej pozwalać sobie na oszukiwanie klientów – a także inne ryby należące do tej samej rodziny, które w ogóle nie trudnią się zjadaniem cudzych pasożytów. Jedne i drugie były w stanie czekać na drugą porcję pożywienia równie długo jak wargatki.

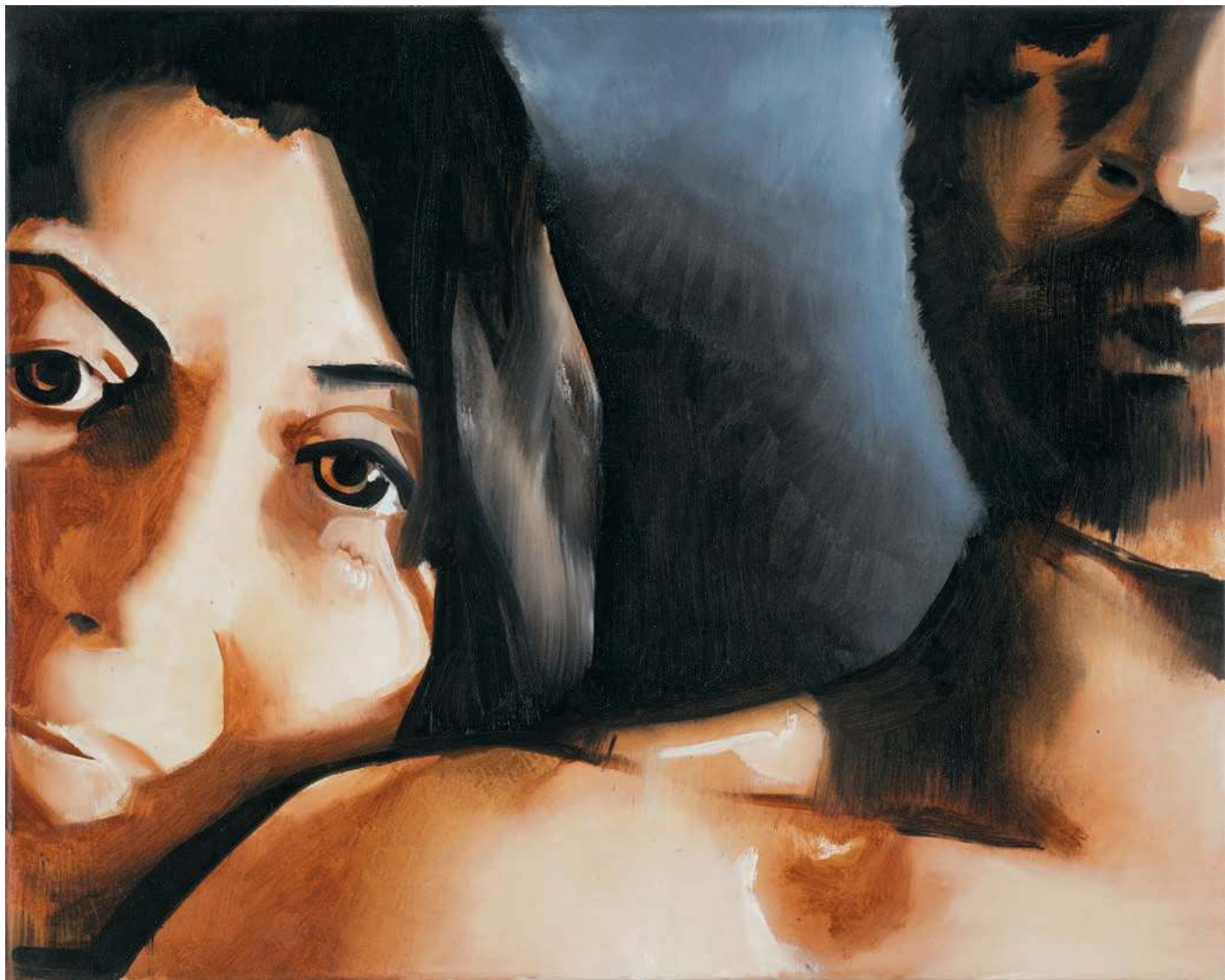
Opisane badanie raczej nie mówi, które wargatki odniosą największy życiowy sukces. Ale na pewno uzmysławia, że sama zdolność do odraczania gratyfikacji może pojawiać się nawet w małych mózgach. I to również u tych osobników, które nie są skłonne do jakiegokolwiek współpracy. ©P

SERIO I SWAWOLA

WILHELM SASNAL, MALARZ:

Dawniej od razu wiedziałem, że obraz się udał.
Namalowałem i sprawa zamknięta. Dziś coraz częściej ścieram z płótna
to, co namalowałem, i zaczynam od początku.

Bez tytułu (Ja i Anka), olej na płótnie, 50 x 40 cm, 2016



PIOTR KOSIEWSKI: Jak się malarzowi żyje w pandemii?

WILHELM SASNAL: Moja żona Anka się śmieje, że i tak cały czas żyłem w lockdownie. Ograniczam się do spotkań z najbliższymi. Jestem mało aktywny społecznie. Pandemiczne ograniczenia niewiele tu zmieniły – poza świętami, bo nie mogliśmy spotykać się w większym gronie. Nie odwiedzałem rodziców – widzieliśmy się tylko na dworze. W pracy od nikogo nie zależę. Nawet pracownię mam obok domu.

A jak pandemia wpłynie na sztukę? Na jej tworzenie, funkcjonowanie?

Na jej sztukę? Chyba nie wpłynie. Jedyny mój obraz bezpośrednio odnoszący się do pandemii to portret pary niemieckich naukowców, Uğura Şahina i Özlem Türeki. Znaczące i wiele mówiące o obecnych czasach jest, że szczepionkę na COVID-19 wynaleźli badacze o tureckich korzeniach – ona urodzona w emigranckiej rodzinie, on jako dziecko mieszkał w Niemczech.

Co zaś do funkcjonowania sztuki, to z rozmów z galerzystami wiem, że obiegi sztuki bardzo się zlokalizował. Ludzie nie podróżują i oglądają przede wszystkim twórczość, która jest w ich bezpośrednim zasięgu: w mieście, w kraju. Podobnie lokalny stał się rynek sztuki. Szczególnie jest to widoczne w Polsce, ale też np. niedawna nowojorska edycja targów Frieze, które należą do najważniejszych międzynarodowych targów sztuki, była ograniczona do galerii działających w Stanach Zjednoczonych.

Będziemy szli w kierunku lokalności, swojskości? Przypatrywania się temu, co tu i teraz?

Za wcześniej, by o tym przesądzać. Wierzę jednak, że globalizacja w sztuce nie musi zabijać lokalności, ale ją wspierać.

Być może będziemy rozpięci między tym, co jest osiągalne globalnie przez sieć – za jakiś czas także organoleptycznie, bo wrócimy do podróżowania – a tym, co powstaje na miejscu, lokalność zaś stanie się jeszcze mocniejsza.

Coraz bardziej rozpada się obraz sztuki definiowany według zachodnich norm – norm świata, do którego tak chcieliśmy przynależać. Wszyscy musimy się teraz uczyć nowych imion i nazwisk

artystek i artystów wywodzących się często z bardzo odległych miejsc.

To przekraczanie dotychczasowych przekonań wydaje mi się bardzo ważne. Wyobrażam sobie, że sztuka jest początkiem zmian, polem społecznego eksperymentu i miejscem, w którym dokonują się zasadnicze zmiany. Niesamowicie cenne jest to otwarcie, a nawet poszukiwanie artystek i artystów, którzy nie mają tak bezpośredniego związku z tradycyjnie rozumianym światem Zachodu. Przede wszystkim mam na myśli to, co dzieje się w sztuce amerykańskiej, i zwrócenie uwagi na czarnoskórą artystkę i artystów.

Te zmiany mogą być przykre dla takiego artysty jak ja – białego heteryka w średnim wieku – ale uważam, że należy oddać pole. Świat nie może trwać wiecznie w kształcie, który jeszcze niedawno wydawał się oczywisty. I zdaje sobie sprawę, że za tym otwarciem może iść protekcyjność, a także bardzo komercyjne cele.

Często jest to – jak w przypadku Afroamerykanek Njideki Akunyili Crosby czy Tschabalali Self – bardzo dobre malarstwo. A czy pod wpływem pandemii zmieni się sama sztuka? Czy spróbuje unaoczniać grozę naszego czasu i tego, który może przyjść?

Nie wiem, ale jest inny problem. Po wiem ze swojej perspektywy. Wiosną ubiegłego roku czułem, jakbyśmy wszyscy uczestniczyli w gigantycznym eksperymencie społecznym – nie mam na myśli biologicznego zagrożenia, lecz noszenie maseczek, stanie się niemalże anonimowymi, lockdown, puste ulice. Wtedy groza miała swoją siłę. Teraz ustąpiła, a przynajmniej ja jej nie odczuwam. Nie z ignorancji, ale z zastanawiania się, co mi się może stać. Martwiłem się przede wszystkim o bliskich, o rodziców.

I gdybym dziś miał powiedzieć o zagrożeniu, to jest nim prekariat, który pandemia wzmacnia. Nie mówiłbym zatem o grozie śmierci, lecz grozie niepewności, z którą będzie mierzyć się przede wszystkim pokolenie wchodzące teraz w dorosłość. Mój syn ma 21 lat. Kończy studia. Przez półtora roku był z nami w domu i miał dobre warunki do nauki. Należy jednak do uprzywilejowanej grupy – jego rówieśnicy nie są już w takiej sytuacji i wchodzi do świata, którego możliwości jeszcze bardziej się skurczyły.

W czasie pandemii powstał też w Warszawie według Twojego projektu mural upamiętniający Jacka Kuronia. Dlaczego właśnie Kuroń?

Z pomysłem zwróciło się do mnie Wolskie Centrum Kultury. Jednak jeżeli już coś robię na zamówienie, muszę być do tego przekonany. Musi za tym stać idea mi bliska. W tym przypadku odpowiedź była oczywista. Jeżeli miałbym wskazać osoby, które są dla mnie wciąż ważne, wymieniałbym wśród nich właśnie Jacka Kuronia.

Czy taka forma upamiętnienia jest bardziej adekwatna do dzisiejszych czasów?

W zalewie pomnikowy pewnie tak. To jest zresztą szczególna sytuacja – mural powstał na ścianie liceum, a młodzież bardziej zapewne utożsamia się z taką formą niż z rzeźbą odlaną z brązu. Nie jeden czy niejedna z nich namalował już swój mural czy graffiti.

Mówisz o pomnikozie, ale mamy też do czynienia z muralozą. Murale stały się elementem oficjalnej narracji historycznej – trudno już zliczyć upamiętnienia w ten sposób powstańców warszawskich, żołnierzy wyklętych czy innych postaci. Spróbowałeś zhakować tę formę?

Tak! Uznałem też, że wyróżnieniem dla mnie jest możliwość zrobienia w centrum Warszawy muralu. Trwa wojna kulturowa – co krok można spotkać prawicowe plakaty i billboardy. Lewa strona musi być bardziej aktywna, bo ma nieporównywalnie bogatszy *background* intelektualny i kulturowy.

Przygotowując ten mural ponownie wszedłeś w rolę malarza historycznego. Dobrze się w niej odnajdujesz?

Tak, czuję się w niej całkiem dobrze.

Niedługo w Muzeum Polin w Warszawie otworzy się wystawa Twoich obrazów odnoszących się do historii. Dlaczego poświęcasz jej tak dużo uwagi?

Bo jest dla mnie ważna! Jestem też świadom tego, jak duży wpływ ma na teraźniejszość. Nie da się wcisnąć szpilki między historią a tym, co tu i teraz – to przeszerzenie tak do siebie przylegające, że wręcz nierozdzielne. Poza tym historia jest poddawana permanentnej interpretacji. →

→ Chcę ją dla siebie odnajdywać, po swojemu nazywać, dokładać własne konteksty. A przede wszystkim zastanawiam się nad samym sobą – skąd ja tu się wziąłem.

Twoja twórczość jest bardzo wrośnięta w polskość. Pokazujesz ją jednak w sposób dość nieoczywisty, trudny. Malujesz zamordowanego prezydenta Narutowicza, odwołujesz się w obrazach do doświadczenia Holocaustu.

Bo trzeba przyjąć historię w całości, także to, co było złe. To, czego można się wstydić. Tylko wtedy można dokonać odpowiedzialnego wyboru, co należy ocenić z przeszłości.

Niektórzy przestrzegają przed eksponowaniem ciemniejszych czy trudniejszych wydarzeń z polskiej historii, bo to ma prowadzić do osłabienia wspólnoty.

Owszem, prawda bywa brutalna i niektórzy nie chcą jej poznać. To jednak ich problem, a nie mój. Czuję się w obowiązku, by o tym opowiadać, choćby dla siebie samego. Podobnie jak to, by stanąć po lewej stronie. Wiem, że używam staroświeckiego terminu, ale odwołuję się do niego świadomie teraz, bo prawa strona jest w natarciu. Jest też pytanie, czy chęć zapewnienia dobrego samopoczucia trzydziestu paru milionom to powód, by milczeć o części historii. Otóż nie. Co więcej, takie przemilczenie osłabiają wspólnotę.

Muszę jeszcze powiedzieć: nie boję się posądzenia o antypolskość. Słowa „polskość” czy „patriotyzm” zostały tak przywłaszczane, zawładnięte przez jedną stronę i zdewaluowane, że już nic nie znaczą. Z lekkim sercem oddaję je apologetom polskości, niech się nimi dławią. Bardzo lubię polski język, w nim czuję się najlepiej. Natomiast nie mam poczucia, że żyję we wspólnocie ludzi. Raczej – nie chcę, by brzmiało to arogancko – w jakiejś krainie geograficznej. Z nią bardziej się utożsamiam.

Z miejscem, przestrzenią, pejzażem? W dużej mierze tak.

Malujesz obraz dla własnej pamięci czy dla pamięci zbiorowej?

Nie wierzę, jeżeli ktoś mówi, że nie myśli o publiczności. Każdy w większym lub mniejszym stopniu bierze ją pod uwagę. A jednak czuję, że te obrazy maluję dla

siebie. Spełniam swoje zachcianki, ambicje, potrzeby. Jestem ich pierwszym odbiorcą.

A potem przychodzi widz.

Czy stawiasz granice interpretacji swych prac?

Nie. Nigdy. Nieraz jestem zaskoczony oddziaływaniem obrazu, bo prozaiczne powody stają za tym, że obraz staje się rozpoznawalny. Tak było z „Narutowiczem”, którego porównywano z portretem trumiennym. Pierwotnie był to poprawny, nawet szkolny portret. Pomyślałem, że muszę coś z nim zrobić. Pomieszałem więc werniks z czarną farbą i zamałowałem cały obraz. Nie sądziłem, że pojawia się tak dalece idące interpretacje.

Podaję ten przykład, bo okazuje się, że każdy widz maluje obraz dla siebie.

Dlaczego tak rzadko wystawiasz w Polsce?

Z każdą wystawą idzie odbiór medialny. Człowiek wystawia się na strzał. Nie chodzi tylko o przykrości, ale też o dużo przyjaźniejsze reakcje. Nie lubię tego zainteresowania. Najtrudniej byłoby mi zrobić wystawę w Krakowie. Tu mieszkam i musiałbym na co dzień radzić sobie z taką sytuacją.

Swoje obrazy oddajesz innym do interpretacji. Jednocześnie sam bierzesz cudze przedstawienia – część Twoich prac jest zaczerpnięta przede wszystkim z fotografii. Czym się kierujesz biorąc coś cudzego?

Zwykle są to materiały, które w jakiś sposób mnie zaintrygowały. Mogę powiedzieć: to zdjęcia mnie znajdują, a nie ja ich szukam! Mam nawet specjalny folder w komputerze. I zazwyczaj te zdjęcia czekają na swój czas.

Zdarza się jednak, że interesując się jakimś tematem, szukam materiałów, które z nim korespondują.

Czasami wykorzystujesz obrazy innych malarzy. Tworzysz sztukę ze sztuki. W 2019 r. w Fundacji Galerii Foksal pokazałaś tryptyk, w którym wykorzystasteś „Kamieniarzy” Gustave’a Courbeta i „La Méridienne” Jeana-François Milleta. Dlaczego te właśnie płótna?

Bo od pięciu chyba lat pracuję nad komiksem – i nie widzę jeszcze końca – dotyczącym historii mojej rodziny. Parę po-

koleń wstecz jestem w stanie ją odtworzyć. Natomiast ta wcześniejsza, o której chcę też opowiedzieć, jest zmyślona, ale potencjalnie prawdziwa. By ją stworzyć, wiele czytam o okresie przednowoczesnym. I znalazłem informację, że polskie chłopki i chłopci – a takie są rodzinne prakorzenie – zdobili swoje ubrania farbami olejnymi. Pomyślałem, że powinienem w jakiś sposób to wykorzystać. I powstał tryptyk o chłopskiej problematyce, a same obrazy były tak połączone, by płótno ze szczelin między obrazami wyłaziło, kłuło w oczy. Być może jest to hołd złożony prozaicznemu życiu.

Powrót do komiksu to także powrót do początków twórczości?

Nie! Nawet nie wiem, czy ostatecznie ten komiks zostanie wydany. Ma być inny niż „Życie codzienne w Polsce w latach 1999–2001”. Co ciekawe, kiedy zacząłem opisywać życie moich rodziców, zauważyłem, że patrzę na nich z zupełnie innej perspektywy. To nie oni opowiadają, tylko ja tworzę ich opowieść. Jednocześnie są mi bliżsi, ale w inny niż dotychczas sposób.

Jednak to malowanie jest dla mnie najważniejszą i codzienną praktyką. Muszę odkładać ten komiks na miesiąc, na dwa... I tęsknię za tym.

Komiks daje inne możliwości, np. snucia opowieści. A malarstwo – można za jego pomocą opowiadać?

Oczywiście, że tak! Tylko że malarstwo jest wierszem, a komiks prozą. Obraz daje też pole do interpretacji.

Co zatem z filmem? Z żoną Anką nakreśliście m.in. „Z daleka widok jest piękny” i „Aleksandra”.

Film jest zdecydowanie innym medium. Tu narracja rozwija się w czasie. Przy czym wszystkie nasze filmy są pewnego rodzaju metaforami.

Czym było dla Ciebie to doświadczenie?

Ciekawe pytanie. Dopiero teraz zobaczyłem, że te filmy to przede wszystkim „bajka” Anki. Ona jest *spiritus movens* tej działalności. Ostatni film – jest teraz w postprodukcji – to wyłącznie jej dzieło, ja byłem tylko operatorem. Kiedy siadaliśmy do pisania scenariusza – nieraz robiliśmy to razem – to Anka wiedziała więcej o tym, co chcemy opowiedzieć. Dodawała →



Bez tytułu (Rohingya),
olej na płótnie,
280 x 200 cm, 2017

Uğur Şahin
i Özlem Türeci,
olej na płótnie,
50 x 40 cm, 2021



→ warstwy umożliwiające kolejne interpretacje. I zdarza się, że ja to dopiero teraz odkrywam!

Jestem w dość szczególnym momencie. Anka robi swój film, ja zaś wróciłem, a właściwie wracam, do budowania krótkich form filmowych związanych z muzyką, ale też z elementami narracji. To jednak formy teledysku, nijak mające się do filmu fabularnego.

Jak dziś patrzysz na te wspólne filmy?

Do każdego z nich mam odmienny stosunek. Każdy był „podróżą” z grupą ludzi, z którymi pracowaliśmy. Po premierze nie wracam do nich, jednak parę razy oglądałem je na jakichś pokazach. Wciąż działają, może dzięki metaforze? Wytrzymały upływ czasu i niewiele bym w nich zmienił.

Zapytałeś na początku: jak zniósłem pandemię? Film jest pracą zbiorową. Musisz polegać na pewnej liczbie ludzi, a będąc reżyserem – podejmować decyzje kluczowe i brać za nie odpowiedzialność. Za filmem też stoją pieniądze. Pomyłka, „wywalenie się” sporo kosztuje. A malarstwo jest czymś tak swawolnym. Obszarem trochę anarchistycznym, w którym świat można bez żadnych kosztów wyrzucić albo wywrócić do góry nogami. Najwyżej obraz się nie uda – co z tego?

A kiedy jesteś przekonany, że obraz się uda?

Dawniej od razu wiedziałem. Namalowałem obraz i sprawa zamknięta. Dziś tak też bywa, ale coraz rzadziej. Coraz częściej nie tylko poprawiam, ale ścieram z płótna to, co namalowałem, i zaczynam od początku.

Rozmawiamy wciąż o Twoich obrazach odnoszących się do przeszłości. W polskim odbiorze stałeś się niemalże malarzem historycznym. Tymczasem większość Twoich obrazów dotyczy tego, co codzienne, tu i teraz.

Może gdybym funkcjonował tylko w Polsce, to taki odbiór byłby uciążliwy. Tak jednak nie jest. Poza tym nie mogę udawać, że nie tworzę prac dotyczących przeszłości. To dla mnie ważny temat! Ale ciekawe, że powiedziałeś o tym, iż moje obrazy dotyczą życia codziennego. Od kilku dni jestem pochłonięty tym, co dzieje się w Gazie i w Izraelu. To codzien-



WILHELM SASNAL

(ur. 1972 w Tarnowie) jest malarzem, rysownikiem, filmowcem i autorem komiksów. Współtwórca Grupy Ładnie (działała w latach 1996–2001). Miał wystawy m.in. w Kunsthalle Zürich, Whitechapel Gallery w Londynie i Haus der Kunst w Monachium, a jego prace znajdują się m.in. w Museum of Modern Art w Nowym Jorku, Tate Modern, Centre Pompidou i Stedelijk Museum. W 2006 r. otrzymał Nagrodę im. Vincenta van Gogha. W 2020 r. nowojorskie wydawnictwo Rizzoli wydało jego monografię. 17 czerwca w Muzeum Polin zostanie otwarta jego (pierwsza od lat w Polsce) wystawa „Wilhelm Sasnal. Taki pejzaż”.

Na zdjęciu: przed CXIX Liceum im. Jacka Kuronia w Warszawie, 26 czerwca 2020 r.

Reprodukcje obrazów:
Marek Gardulski x3, Paweł Gardynik x1;
publikacja dzięki uprzejmości artysty

ność – i jest pytanie, czy historią jest to, co się wydarzyło wczoraj? Czym jest zbombardowanie bloku mieszkalnego w najbardziej zagęszczonym na świecie miejscu? Dzisiejszą informacją czy historycznym zdarzeniem?

Gdybyś namalował bombardowanie Gazy, to czym byłby ten obraz? Manifestacją polityczną? Świadectwem tych wydarzeń? Zapisem Twojej reakcji?

Tym ostatnim, czyli moją reakcją. Myślę, że malowanie obrazów nie jest zabawą, mimo tego, co powiedziałem o malarstwie jako czymś swawolnym, bo chodzi tylko o swobodę tworzenia, możliwość popełniania błędów czy używane materiały.

Malarstwo traktuję serio. Nie jest ono jeszcze jednym zdjęciem w internecie, materiałem na Instagram. Dla mnie obraz jest świadectwem, ale przede wszystkim moją reakcją. To jest niezwykle, że mogę zareagować natychmiast. Mija piąty dzień bombardowania Gazy i jednocześnie ostrzeliwania stref przygranicznych Izraela, a ja mogę dzisiaj namalować obraz na ten temat. By powstał film o tym zdarzeniu, musiałbym długo czekać.

Czy według Ciebie istnieje odpowiedzialność artysty?

Na pewno istnieje odpowiedzialność obywatela. A czy artysty? W pewnym sensie też: namalować można wszystko, ale kontekst, w jakim to dzieło zostanie pokazane, jest czymś innym.

I artysta powinien brać pod uwagę, w jakim kontekście jego dzieło będzie umieszczone?

Na pewno są sytuacje, w których artysta musi brać pod uwagę, co będzie się dzieło z tym, co stworzył.

Mówisz o swojej lewicowości. Nazwałbyś siebie artystą zaangażowanym czy obywatelem zaangażowanym?

Obywatelem zaangażowanym – zdecydowanie. I mam wątpliwości, czy sztuka ma aż tak duży wpływ polityczny. Malarstwo to bardzo niszowa działalność, a siła jego rażenia jest znikoma.

Zadałeś mi pytanie: czym jest dla mnie namalowanie obrazu? Zobaczyłem kiedyś zdjęcie w „Guardianie” przedstawiające dwóch młodych mężczyzn niosących



Pierwszy styczeń (Tyt), olej na płótnie, 100 x 70 cm, 2021

w kocu o kwiatowym wzorze cały swój dobytek. To byli Rohindzowie, muzułmanie, wypędzeni z Mjanmy przez buddyjską większość. Oni szli w błocie i... byli uśmiechnięci.

Nie byłem w stanie oprzeć się pokusie namalowania obrazu na podstawie tego zdjęcia. Jednak przez cały czas zastanawiałem się, czy powinienem to robić. Ja, żyjący w kraju względnego dobrobytu, w ciepłej pracowni, po śniadaniu, maluję obraz, a oni gdzieś tam idą w tym błocie. To są dylematy moralne.

Dziś jednym z zarzutów wobec sztuki, która próbuje odnieść się do dramatycznych wydarzeń politycznych czy społecznych, jest to, że wykorzystuje nieszczęście.

To jest poważny problem. W ubiegłym roku na fali protestów Black Lives Matter namalowałem obraz na podstawie zdjęcia, które przedstawiało Afroamerykankę trzymającą kartkę z tekstem „George Floyd’s life mattered”. Potem, jesienią, w londyńskiej galerii Sadie Coles HQ miałem wystawę. Zastanawiałem się, czy ten obraz pokazać. Uznaliśmy z galerzystką, że to nie byłoby „halo”.

Zawsze jest pytanie, jakie są intencje artysty. Rozumiem delikatność problemu

i myślę, że każdy z nas, artystów i artystek wypowiadających się publicznie, powinien mieć w sobie takiego autocenzora i być powściągliwym. Żyjemy w bardzo wulgarnym świecie, a sfera publiczna jest mocno rozchwiana. Łatwo zostać źle zrozumianym.

Wracając do zaangażowania obywatelskiego: w ubiegłym roku wykonałeś wizerunek Rafała Trzaskowskiego, który stał się jednym z symboli jego kampanii wyborczej. Nie bałeś się, że zostaniesz uznany za aktywistę politycznego?

Nie! Głosowałem na Trzaskowskiego. Wydaje mi się, że żyjemy w czasach, w których nie można nie zabierać głosu. Nie miałem żadnych dylematów.

Czy artyści powinni angażować się politycznie?

Każdy obywatel powinien angażować się politycznie, chociażby idąc na wybory. A czy artysta? Z jednej strony jest Artur Żmijewski, a z drugiej strony ktoś, kto maluje surrealistyczne czy abstrakcyjne obrazy, niemające zakorzenienia w tym, co tu i teraz. Wybór każdej z tych dróg jest możliwy.

Natomiast denerwuje mnie wciąż pokutujący stereotyp artysty, który jest usprawiedliwiony ze swojej nieobecności w sferze publicznej, ponieważ ma inne sprawy do zrobienia, inne potrzeby itd. To kompletny anachronizm.

Może niezaangażowanie jest jedną z odpowiedzi na obecną politykę?

Nie mogę słuchać obecnej politycznej bieżączki. W domu trwa spór między mną i Anką. Ona zaczyna dzień z Tok FM (i bardzo się denerwuje), a ja nie zawsze mogę tego słuchać. Gadanie o politykach, których nie znoszę, przydaje im sprawczości, a nie ma dla nich miejsca w mojej głowie i sercu. Sztuka jest jednak czymś innym niż wiadomości z radia.

Po dojściu PiS do władzy w 2015 r. zabrałem się za malowanie obrazów, które wynikły z zastanawiania się, co teraz zrobić. Czy się emocjonować, czy też uciec w przestrzeń niezwiązaną bezpośrednio z rzeczywistością polityczną. To było zadanie sobie samemu zleczone.

I jaki był jego wynik?

Powstało kilka obrazów przedstawiających niebo. I wróciłem do swoich tematów. Obrazy były OK.

© Rozmawiał PIOTR KOSIEWSKI

Dusza i matma

JAN BŁASZCZAK

Wśród tegorocznych muzycznych polskich premier warto zwrócić uwagę na dwa albumy wyrosłe z tradycji indyjskiej muzyki klasycznej.

TRASA KONCERTOWA W INDIACH BYŁA dla mnie tak silnym bodźcem, że wróciwszy do Polski, nie próbowałem pojąć, co się właściwie ze mną stało. Nie zdążyłem się jeszcze z tego otrząsnąć, gdy zadzwonił telefon. Instytut Polski w New Delhi proponował, żebym za trzy tygodnie zorganizował dla nich warsztaty muzyczne. Skasowałem wszystkie plany i polecałem znowu – tak o swojej fascynacji Indiami mówi saksofonista i kompozytor Jerzy Mączyński.

Jego pełne emocji wspomnienie wydaje się tym ciekawsze, że dopiero w ostatnich latach muzyka indyjska zaczęła mocniej zaznaczać swą obecność na polskiej scenie improwizowanej. Duża w tym zasługa Waława Zimpla i jego międzynarodowej grupy Saagara. Teraz trend tylko się nasila.

Ukażą się właśnie dwa wyrosłe z tradycji indyjskiej albumy, których współtwórcami są artyści cenieni przez krytykę i modni wśród fanów nowego jazzu. 28 maja doszło do premiery „Nafs at Peace” zespołu Jaubi z udziałem pianisty Marka Pędziwiatra (EABS, Błoto). Natomiast we wrześniu holenderska wytwórnia Yeyeh wyda „Sariani”, solową płytę Jerzego Mączyńskiego nagrywającego pod pseudonimem Jerry & The Pelican System. Choć oba wydawnictwa sięgają korzeniami dalekiej Azji, dzieli je niemal wszystko: rola, jaką odgrywają tu polscy artyści, sposób ich pracy, a także tradycja, do której nawiązują.

– Indyjską muzykę klasyczną dzielimy na hindustani i muzykę karnatycką – tłumaczy Mączyński. – Obie posługują się ragami, ale ta pierwsza jest bliższa religii, a zarazem mniej zaawansowana rytmicznie. W hindustani większy nacisk stawia się na trans, na przeżycie. Pojawia się w niej dużo pieśni dewocyjnych, połączeń z medytacją i klasztornymi rytuałami. Natomiast muzyka karnatycka to systemy rytmiczne. Jedna wielka matma.

Hindustani jest popularne w północnych Indiach, ale także w Pakistanie, do kąd polecał Pędziwiatr, by nagrywać z muzykami z zespołu Jaubi. Głównymi ośrodkami muzyki karnatyckiej są zaś metropolie – Bengaluru i Cennaj (dawniej Madras), tam zgłębiał ją Mączyński. Obaj trafili do Azji okreśną drogą – pierwszy przez Detroit, drugi przez Walencję.

Światy równoległe

Pochodzące z Lahaur Jaubi to zespół jedyny w swoim rodzaju. Pakistański kwartet łączy tradycję hindustani z wpływami amerykańskiego hip-hopu. Ta niecodzienna mieszanka przykuła uwagę wrocławskiej wytwórni Astigmatic – wydawcy zespołów Pędziwiatra. Jej nakładem ukazała się płyta „Deconstructed Ego”, na której Pakistańczycy interpretują utwory pochodzącego z Detroit producenta J Dilli, posługując się przy tym instrumentami takimi jak sarangi, tabla czy kalimba. Choć same nagrania są bardzo surowe, kreatywność tych reinterpretacji zyskała Jaubi fanów wśród ważnych postaci świata hip-hopu, m.in. Madliba czy Gaslamp Killera.

Twórczość Jaubi spodobała się również Pędziwiatrowi. Poza walorami stricte muzycznymi płyta Pakistańczyków mogła obudzić w nim sentymenty związane z początkami grupy EABS. Ten wrocławski septet, tak jak kwartet z Lahaur, zaczynał swoją wydawniczą przygodę od instrumentalnych reinterpretacji hip-hopowej klasyki, które ostatecznie trafiły na „Puzzle Mixtape”.

– Jest tutaj pewna analogia – przyznaje pianista. – Ten okres, kiedy graliśmy dużo hip-hopu, jakoś nas ukierunkował. Wiedzieliśmy, że jego połączenie z jazzem to będzie nasz styl. Jaubi przeżyło podobną drogę. Gdyby wybrali inną, do naszego spotkania pewnie w ogóle by nie doszło. Może jesteśmy potwierdzeniem teorii o światach równoległych?



MATERIAŁ PRASOWY

Jerzy Mączyński

Po przylocie do Pakistanu Pędziwiatr szybko zorientował się, że sympatia do amerykańskiego rapu nie jest jedynym, co łączy go z członkami Jaubi: – Znalazłem w nich bratnie dusze. Podchodzę do muzyki w sposób uduchowiony. Grając w Polsce, często spotykam instrumentalistów, którzy mają do niej podejście czysto techniczne, mechaniczne. W hindustani ten element duchowy jest bardzo ważny, bo wynika bezpośrednio z tradycji.

Na sesje nagraniowe do Lahaur wrocławianin przyleciał wraz z brytyjskim flecistą i kompozytorem Tenderloniousem. W takim składzie artyści przez dwa tygodnie nagrywali zarówno klasyczną muzykę indyjską, jak i fusion, które dominuje na płycie „Nafs at Peace”. Pędziwiatr przyznaje, że przed otrzymaniem zaproszenia od Pakistańczyków nie znał praw, jakimi rządzi się muzyka hindustani. Na szczęście lider zespołu Ali Riaz Baqar wysłał mu wcześniej rozmaite nagrania i materiały, które pomogły mu przygotować się do wyprawy.

– Główna różnica polega na tym, że my w jazzie używamy skal muzycznych, za pomocą których możemy tworzyć różne kolory, a oni mają ragi wyznaczające zakres dźwięków, po których trzeba improwizować – tłumaczy pianista. – Wyjście



UZMA RAO / MATERIAŁY PRASOWE

Jaubi z Markiem Pędziwiatrem, 2021 r.

poza ich ramy to grzech. Z jednej strony wymagało to od nas dyscypliny, ale z drugiej wyzwalało zupełnie nowy rodzaj kreatywności. A na mnie ograniczenia wpływają bardzo twórczo. Jeżeli zostałbym z grzebieniem na pustyni, to wiem, że wymyśliłbym i zagrałbym coś ciekawego.

Przez dwa tygodnie muzycy pracowali nad aranżacjami do kompozycji napisanych przez Jaubi. Rozmawiali, grali, wymieniali się pomysłami. Rola Pędziwiatra była podwójna, ponieważ oprócz instrumentów klawiszowych wszedł także w rolę basisty, grając na moogu. Ponadto wśród siedmiu kompozycji, które trafiły na „Nafs at Peace”, znalazł się też jego autorski utwór. Jego tytuł – „Mosty” – oddaje ducha całej inicjatywy: – Chłopcy byli zadowoleni, że mogą pograć jakieś europejskie melodie.

Długie dystanse

Droga Jerzego Mączyńskiego do klasycznej muzyki indyjskiej wiodła przez Hiszpanię, gdzie poznał skrzypczkę Apoorwę Krishnę. Oboje podjęli studia w Berklee College of Music w Walencji, gdzie artyści reprezentujący najróżniejsze tradycje i style uczą się tajników produkcji muzycznej. Szybko okazało się, że polski artysta nauczył się tam znacznie więcej.

– Kiedy tylko usłyszałem grę Apoorwy, zaproponowałem jej, żebyśmy wszystkie szkolne zadania realizowali wspólnie – wspomina Mączyński. – Od tego czasu razem wchodziliśmy w raga, pisaliśmy kompozycje, wariowaliśmy z różnymi systemami rytmicznymi. Graliśmy też na wielu hiszpańskich scenach. Pod koniec studiów Apoorwa zaproponowała mi zagranie wspólnego koncertu w najbardziej prestiżowej sali w Indiach – NCPA w Mumbaju.

Jeden planowany występ z triem skrzypczki szybko przerodził się w trasę po całym kraju: od prestiżowych sal Cennaju po ubogie Kanpur na północy Indii, gdzie rzadko docierają turyści. W tym czasie Mączyński dostał pierwszą – i nie ostatnią – propozycję od Instytutu Polskiego w New Delhi, który zaproponował pomoc w zorganizowaniu trzech kolejnych występów. W ramach tych koncertów artysta musiałby jednak promować swój debiutancki album „Jerry & The Pelican System”. Sęk w tym, że od muzyków, z którymi zarejestrował płytę, dzieliły jazzmana tysiące kilometrów.

Mączyński zaproponował więc wspólnie wykonanie tych kompozycji Apoorwie i jej zespołowi: – To rodziło różne wyzwania. Musiałem na przykład

zagrać 50-minutowe solo na saksofonie, bo żaden koncert, który graliśmy w Indiach, nie mógł trwać krócej niż trzy godziny. Dzięki Apoorwie byłem do tego dobrze przygotowany, ale mimo to rozwijanie frazy w taki sposób było niełatwym zadaniem.

Po tej podróży Mączyński raz za razem wracał do Azji. Organizował warsztaty, grał na festiwalach, nagrywał nepalskie świątynie. Te wyprawy wywarły wpływ na płytę „Sariani” nie tylko na poziomie kompozytorskich inspiracji, ale także historii i wspomnień, którymi dzieli się ze słuchaczem.

– Utwór „Kathakali Masks” nawiązuje do festiwalu w Kerali, podczas którego przedstawiciele najniższych kast tańczą w wielkich maskach – tłumaczy. – Na ten czas są traktowani jak bóstwa, których pozostali obmywają i całują im stopy. „Everest Inn” to wspomnienie trekkingu do podnóża Himalajów, a „Raga or Raga” jest oparta sekunda po sekundzie na tali, czyli wzorze budowania struktury transowej w muzyce karnatyckiej.

Wyprawy Mączyńskiego przerwała pandemia, ale dała mu też coś w zamian. Po pierwsze perspektywę i czas, by poukładać zgromadzone w Indiach doświadczenia i teorię zebraną w Walencji oraz w ramach podyplomowych studiów „Carnatic music to western music” w Amsterdamie. Globalny lockdown dał mu również przewodnika w osobie wyjątkowo dysponującego czasem wolnym Wacława Zimpla.

– Zaproponował, że mógłby mi pomóc w pracach nad tą płytą. A ja do nikogo innego nie miałem takiego zaufania w zakresie tej muzyki – wspomina Mączyński. – Wiedział, że ciągnie mnie w stronę elektroniki, więc kiedyś zapytał mnie, dlaczego nie miałbym tego zrobić solo. I przez następne osiem miesięcy budowałem ten swój wielki performans.

Zegar rag

Spotkanie z klasyczną muzyką indyjską to nie tylko sięgnięcie po inne instrumentarium czy inny sposób komponowania. Mierzenie się z tą kulturą niejednokrotnie wymaga zrozumienia historii i religii, co bywa trudniejsze niż opanowanie kolejnych rag.

– Indyjscy guru wymierzają raga wobec pory dnia – tłumaczy Mączyński. – O siódmej rano grasz konkretną raga, o dziewiątej inną. Problem polega na tym, ➔

→ że na saksofonie nie jestem w stanie zagrać niektórych z nich. Instrument mi na to nie pozwala. I teraz ze względu na tę praktykę nie mogę spotkać się z guru w pewnych godzinach, bo on wtedy nie zagra nic innego.

Z podobnym sposobem argumentacji spotkał się podczas sesji nagraniowej „Nafs at Peace” Marek Pędziwiatr: – Dhani, który w Jaubi gra na tabli, ma piękny niski głos. Zapytaliśmy go, czy nie pośpiewałby więcej na tej płycie. A on odpowiedział, że religia zabrania mu równoczesnego śpiewania i grania na tabli.

Czasem okazywało się również, że za niektórymi wyborami napotkanych w Azji muzyków nie stały ani ich upodobania, ani wierzenia, lecz rodzinna tradycja. Związany z EABS pianista tak wspomina rozmowę z Zohaibem Hassanem Khanem z Jaubi, który pewnego dnia zapytał go o genezę jego muzycznej drogi.

– Opowiedziałem mu krótką historię o mojej niezbyt muzykalnej rodzinie i dziadku Bernardzie, który był multiinstrumentalistą, ale zmarł dwanaście lat przed moimi narodzinami. I w sumie tyle. W odpowiedzi on zaczął snuć historię swojej rodziny od XVII wieku. Wszystko w kontekście sarangi, bo tajniki gry na tym instrumencie były u niego przekazywane z pokolenia na pokolenie. Niezależnie od woli ktoś w tej rodzinie musi na nim grać, żeby przetrwała tradycja i wykonawczy kunszt.

Mączyński zwraca uwagę, że w środowisku europejskich twórców coraz rzadziej pojawiają się neokolonialne kalki i próby wykorzystywania muzyki karnatyckiej czy hindustani z pogwałceniem towarzyszących im reguł. Wraz z kolejnymi podróżami i międzynarodowymi spotkaniami na scenie rośnie świadomość. Zresztą nie tylko w obrębie muzyki: – Tytuł mojej płyty odnosi się do wymyślonej przeze mnie superbohaterki, która walczy o prawa kobiet w Indiach. Apoorva nie tylko wielokrotnie opowiadała mi o ich trudnej sytuacji, o przemocy, która je spotyka, ale także zwracała uwagę, że ten problem należy poruszać w sztuce.

Jak widać, poznawanie nowych światów jest inspirujące na wielu płaszczyznach. Nawet wtedy, gdy są to światy równoległe. © JAN BŁASZCZAK



MAŁANA / MATERIAŁY PRASOWE

Jeremaiah Marobyane w „Spacerze z Aniołami”

Afrykańska psychodrama

ANITA PIOTROWSKA

Dzięki przewodnikowi i własnej odwadze Tomasz Wysokiński zagłębia tam, gdzie rzadko dociera kino dokumentalne, zwłaszcza polskie.

NA PIERWSZY RZUT OKA TO HISTORIA o błądzeniu w ciemnościach albo o poszukiwaniu igły w stogu siana. Niezależnie od swojego zakończenia jest także zapisem fascynującej podróży wewnętrznej, jaką odbywa Jeremaiah Marobyane z RPA. Bohater dokumentu „Spacer z Aniołami” (wygrał właśnie konkurs polski na Krakowskim Festiwalu Filmowym) na własny rachunek zajmuje się poszukiwaniem zaginionych dzieci, które znikają w jego kraju średnio co godzinę. Zazwyczaj bez wieści i często jako ofiary handlu ludźmi. Tym jednak, co wzbudza największą zgrozę, są porwania, okaleczenia i morderstwa o podłożu stricte religijnym. Film Tomasza Wysokińskiego schodzi więc za swoim bohaterem do otchłani, dotykając po drodze kilku jej wymiarów: najbardziej bolesnych doświadczeń indywidualnych, zbiorowej traumy apartheidu i wreszcie – metafizycznego zła w przebraniu lokalnych wierzeń.

Jeremaiah, a za nim kamera Wysokińskiego działają po omacku. Podążając

tropem zaginionej przed kilkoma laty dziewczynki, przejmują rolę niewydolnych w tej materii służb państwowych, organizacji pozarządowych i lokalnych mediów. Podejmując prywatne śledztwo, bohater wraz z reżyserem wkracza również na grząskie terytorium tabu.

Oto bowiem wedle plemiennego rytuału o nazwie *muti* organy płciowe żywego dziecka mogą być wykorzystane przez szamanów do produkcji leczniczych bądź wzmacniających mikstur. Im młodsza, im bardziej „niewinna” ofiara, tym wyższa jej cena rynkowa. Dodajmy, że nie są to praktyki wyłącznie południowoafrykańskie; podobne zabójstwa rytualne odnotowuje się w Ugandzie, Tanzanii, Nigerii, a nawet w Wielkiej Brytanii. Ze względu na otaczającą proceder zмовę milczenia trudno rozpracować zajmującą się nim siatkę osób.

W „Spacerze z Aniołami” podejmuje się tego człowieka, który mógł kiedyś równie dobrze podzielić los zaginionych. Jako dziecko ulicy i dziecko-żołnierz, zwerbowane do oddziałów Afry-

kańskiego Kongresu Narodowego i walczące na wielu frontach, przeszedł własne piekło. Okaleczony psychicznie i fizycznie (podczas walk stracił prawą rękę) mógłby podzielić los tysięcy odurzonych różnymi substancjami młodych ludzi żyjących dziś na ulicach dużych miast RPA. Ale szczęśliwie los nad nim czuwał. W filmie Jeremiaah mówi wprost: to chrześcijański Bóg wyciągnął kiedyś do niego dłoń i postawił do pionu. Od tamtej pory bohater ma do wypełnienia misję, choć odnalezienie małej Angie w slumsach Soweto czy na śmietniskach Johannesburga od początku zakrawa na cud.

Debiutujący w pełnym metrażu Wysokiński zdążył już zjeździć kawał świata i zapewne sporo widział. Dzięki swojemu przewodnikowi i własnej odwadze zagląda tam, gdzie rzadko dociera kino dokumentalne, zwłaszcza polskie. W niewielkim wycinku południowoafrykańskiej rzeczywistości pokazuje kraj pokryty licznymi ranami, ciągle jeszcze niezabliźnionymi. Kolejne konflikty zbrojne i radykalna segregacja rasowa, trwająca aż do połowy lat 90. XX w., odcisnęły ślad na całych pokoleniach. Podczas festiwalowej rozmowy Marobyane, zapytany o to, co kryje się za przemilczaniem popełnianych na dzieciach zbrodni i skąd się biorą tak straszliwe zaniedbania w ich wykrywaniu, wskazywał na dziedzictwo kolonializmu. Mówił o tym, jak bardzo lata zależyłości polityczno-ekonomicznej zniszczyły rodzinne więzy i poczucie lokalnej wspólnoty.

W jednej z początkowych scen dzieciaki z Soweto bawią się pod gołym niebem w dom – odgrywają role mamy i taty, udają przygotowywanie wspólnego posiłku, jakby chciały odtworzyć coś, czego mało które z nich doświadcza na co dzień. W filmie Marobyane wspomina także o potężnej demoralizacji i ogromie przemocy, jakie stały się udziałem jego rodaków w czasach apartheidu i dają się we znaki do dzisiaj. Wskazuje też na systemowe ubóstwo w kraju uchodzącym za jeden z najbardziej rozwiniętych na kontynencie.

Potencjalny ciężar zbrodni, która stoi za tą historią, tudzież małe szanse, że znajdzie ona swój szczęśliwy finał, każą twórcom odejść od konwencji typowego dokumentu śledczego. Równolegle z poszukiwaniami jesteśmy świadkami czegoś na kształt religijnego transu, przy czym „Spacer z Aniołami” odsłania przed nami

nie tylko te najmroczniejsze rejony płemiennej religijności. Obcowanie z tajemnicą, a zwłaszcza kontakt z duchami przodków jest istotną częścią tożsamości wielu czarnych mieszkańców RPA. I znowu – to naturalne, że po latach rasowej i religijnej dyskryminacji różnego rodzaju tradycyjne obrządku stały się bardziej widoczne. Trudno też czasami, być może ze względu na religijny synkretyzm, zorientować się, z jakiego rodzaju transem mamy w danej chwili do czynienia: animistycznym, satanistycznym czy chrześcijańskim.

Najciekawszy jednak wydaje się w „Spacerze...” sam portret głównego bohatera. A składają się nań nie tylko jego wspomnienia, ale także powidoki, jakie kamera wydobywa dziś z mijanych po drodze miejsc. Tworzą one w głowie Jeremiaah intymny pejzaż i to właśnie w nich, w ciągnących się kilometrami krajobrazach po niedawnych bitwach, ciągle drżemiu jego dawne demony. Świetnie ów wewnętrzny mrok oddaje wyróżniona na KFF muzyka Pawła Mykietyna – dopiero w finale wszystkie te otchłanne dudnienia i zgrzyty zaczynają układać się w coś na kształt linii melodycznej, niosąc jakąś nadzieję, a nawet ukojenie.

Czuje się, że „Spacer z Aniołami” był dla bohatera formą autoterapii lub nawet psychodramą, pozwalającą rozprawić się (na dobre?) z przeszłością małego żołnierza, szkolonego wyłącznie do nieważyści i zabijania. Oglądamy na ekranie ocalałego, któremu nie wystarcza samo biologiczne przeżycie, dlatego z takim samozaparciem rusza na poszukiwania uprowadzonej dziewczynki. A im więcej dookoła tej sprawy odkrywa, tym głębiej zanurza się w siebie i konfrontuje z tym, co w nim wyparte. Dla widza zaś film jest przede wszystkim wyprawą poza granice etnograficznego obrazka. Znajdujemy tam rzeczy porażające, związane nie tylko z ludzkim okrucieństwem czy religijnym zabobonem, ale i z bezlitosną pracą historii. Mimo upływu czasu i politycznych zmian rozrywa ona społeczną tkankę, znieczula na krzywdę i sprawia, że w imię powrotu do rdzennych tradycji plenią się ich najbardziej barbarzyńskie wcielenia. ©

SPACER Z ANIOŁAMI – reż. Tomasz Wysokiński. Prod. Polska 2021. Dystryb. Mañana. Film do obejrzenia w kinach.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Nasze miejsce na ziemi



Dokumentalny, reż. John Chester, USA 2018, Canal+ Dokument, 21 VI, 18.30

A może by tak rzucić wszystko i zamieszkać na ekologicznej farmie? Reżyser filmu wraz z żoną i psem spełnili to marzenie, choć rzeczywistość okazała się mniej sielska, niż ją sobie wyobrażali. Własnymi rękoma musieli stworzyć samowystarczalne, zgodne z naturą gospodarstwo, a przy okazji stawić czoło serii plag. Efektem jest rozłożona na osiem lat osobista relacja z utopii.

2. Jacques Tati



Przegląd, iTunes Store „Dzień świąteczny”, „Wakacje pana Hulot”, „Mój wujaszek”, „Playtime”, „Pan Hulot wśród samochodów”, „Parada”

– dorobek francuskiego mistrza komedii jest już dostępny online. Humor sytuacyjny, cierpka ironia, zmagania jednostki z materią i systemem plus charakterystyczna sylwetka samego reżysera w roli głównej to cechy tego niezwykłego kina.

3. Spróbujmy skoczyć do studni



Dokumentalny, reż. Piotr Stasiak, Dorota Wardęszkiewicz, Polska 2020, vod.mdag O stylu pracy Krystiana Lupy z jego aktorami

krążą legendy. Tym razem mamy okazję zajrzeć za kuliszy rodzącego się w bólach spektaklu. Kamera towarzyszyła próbom do „Procesu” według Kafki, rejestruje napięcia i konflikty, próbuje oddać twórczy chaos. Zapis tego fascynującego procesu to także przyczynek do dzisiejszej dyskusji o ludzkim i międzyludzkim aspekcie pracy w teatrze.



4. Piłat
Dramat, reż. Linda Dombrowsky, Węgry 2020, HBO GO
Na podstawie głośnej powieści Magdy Szabó

węgierska reżyserka dotyka problemu starości i międzypokoleniowego niezrozumienia. Po śmierci męża Anna przeprowadza się ze wsi do mieszkania swojej córki. Jednak dobre intencje nie wystarczają, a wymuszona bliskość staje się początkiem domowego koszmaru na zwolnionych obrotach.



„NASZ NAJWIEKSZY SKLEP”

Książki, których szukasz,
czekają na Ciebie
w jednym miejscu.

allegro

WŚRÓD GOŚCI:
LISA APPIGNANESI
BEHROUZ BOOCHANI
HELENA JANECEK
HAN KANG
KRISTIAN NOVAK

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

MAGAZYN
CONRAD 02
„TP” 25/2021

FESTIWAL
CONRADA
18-24.10.2021



**natura
przyszłości**

Festiwal Conrada, 18 – 24 października 2021



GRZEGORZ JANKOWICZ

Przyszło trzydzieści lat temu francuski filozof Michel Serres opublikował zbiór czterech esejów pt. „Le contrat naturel” („Umowa z naturą”, dosłownie: „Umowa naturalna”; odpowiednik „Umowy społecznej” Rousseau). Zauważa w nim, że szczęśliwym zrzędzeniem losu w języku francuskim istnieje słowo, za pomocą którego można mówić zarówno o czasie, jak i o pogodzie: *le temps*. A mówienie o obu tych zjawiskach naraz jest według Serres’a koniecznością, gdyż skala zniszczeń, za które odpowiada człowiek, jest tak duża, że już za chwilę może być za późno na zatrzymanie destrukcyjnych procesów. Problem polega na tym, że myślimy o wszystkim, również o środowisku naturalnym, wyłącznie z perspektywy teraźniejszości. Zbyt rzadko, przekonuje filozof, zastanawiamy się nad długofalowymi konsekwencjami cywilizacyjnych przemian.

Serres wzywa do zawiazania nowego kontraktu z naturą. Pierwszym krokiem powinna być zmiana w rozumieniu prawa naturalnego, które zostało ufundowane na założeniu, że tylko człowiek posiada podmiotowość prawną. Skutkiem tego przeświadczenia jest nasza pasożytnicza relacja z przyrodą. Pasożyt zawsze zaciera granicę między użyciem a nadużyciem. Jego działalność jest ekscesywna i prowadzi do anihilacji żywiciela. Według Serres’a właśnie tak oddziałuje na środowisko naturalne człowiek. Sytuacja ulegnie zmianie wyłącznie wtedy, gdy podmiotowość prawną zyskają również pozostałe istnienia zamieszkujące wraz z nami Ziemię, a także sama Ziemia, łącznie z materią, z której się składa. Musimy zapewnić planecie prawną ochronę.

Od wydania manifestu francuskiego filozofa minęły trzy dekady. Sytuacja jest jeszcze poważniejsza niż wtedy. Nikt nie powinien mieć dziś wątpliwości, że bez wdrożenia ogólnosięgowych procedur ekologicznych czeka nas totalna katastrofa. A jednak kontrakt wciąż nie został zawiazany. W najlepszym przypadku spieramy się o jego poszczególne zapisy. W rzeczywistości jednak wciąż trzeba kogoś przekonywać, że umowa z naturą jest konieczna.

Dlaczego nie możemy dojść do porozumienia? Czy chodzi o to, że nie jesteśmy zdolni do współdziałania? To też, ale główna przyczyna leży głębiej: różni nas nie słowa, lecz światy. Mamy tak odmienne koncepcje życia i natury, że współpraca okazuje się trudna, a czasem wręcz niemożliwa. I właśnie w przezwyciężeniu tych przeszkód może nam pomóc literatura. Literackie opowieści przekształcają nasz stosunek do rzeczywistości i pomagają nam w oswojeniu się z koniecznością zmian. To właśnie w nich istnienia, które do tej pory były pomijane i marginalizowane, zyskują podmiotowość, to w nich i poprzez nie idea podmiotowości środowiska naturalnego zostaje upowszechniona. Dyskusjami, które odbędą się w ramach tegorocznej edycji Festiwalu Conrada, chcemy się do tego przyczynić.

GRZEGORZ JANKOWICZ

DYREKTOR PROGRAMOWY FESTIWALU CONRADA

W NUMERZE



8I

JUSTYNA NAJBAR-MILLER
Cierpliwý oddech drzew

85

MARCIN ŻYŁA
Strzępki

89

HELENA JANECEK
Fotografka na wojnie

94

GRZEGORZ JANKOWICZ
Program Festiwalu

97

MICHAŁ SOWIŃSKI
Gra w szaleństwo

102

ALEKSANDRA WOJTASZEK
Kłamstwo,
ale najpiękniejsze

REDAKCJA
Grzegorz Jankowicz
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Artur Strzelecki
FOTOEDYCJA
Grażyna Makara
KOREKTA
Katarzyna Domin
Sylvia Frołow
Maciej Szklarczyk
OKŁADKA
Hakobo /
/ Marek Zalejski



www.conradfestival.com

Organizatorzy:

kbf: KRAKOW
UNESCO CITY
OF LITERATURE

Zespół Festiwalu Conrada:

Dyrektor artystyczny
– Michał Paweł Markowski
Dyrektor programowy
– Grzegorz Jankowicz
Dyrektorka wykonawcza
– Urszula Chwalba

Partner strategiczny
Festiwalu Conrada:

allegro

Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury,
Dziedzictwa Narodowego
i Sportu pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu

Cierpliwy oddech drzew

JUSTYNA NAJBAR-MILLER

W książkach Han Kang – mimo przepełniającej je świadomości wszechobecnego cierpienia – dostrzec można pragnienie przedarcia się na stronę czegoś jasnego i nieskazitelnego.

Han Kang wychowała się wśród książek. Jej ojciec był znanym pisarzem, a jego biblioteka nieustannie się rozrastała, przysłaniając w domu niemal wszystko (prócz okien i drzwi). Już jako mała dziewczynka mogła więc czytać do woli. Początkowo robiła to dla przyjemności, ale z czasem zaczęła szukać w tekstach literackich odpowiedzi na trudne egzystencjalne pytania. Na próżno. W wywiadach wspomina jednak, że lektury zachęciły ją do podjęcia pierwszych prób pisarskich. Uświadomiła sobie, że zadaniem pisarza jest przede wszystkim stawianie pytań. W jej przypadku są to pytania o naturę człowieka, jego miejsce w świecie, sens istnienia oraz doświadczanie przemocy, które odciska na nas piętno i w nieunikniony sposób wywołuje przemianę.

Sprzeciw wobec przemocy

Han (w języku koreańskim nazwiska zapisuje się jako pierwsze, imiona jako drugie) podejmuje problem przemocy oswojonej, której przykładem jest przyrządzanie i spożywanie mięsa. O sposób radzenia sobie z taką przemocą, która zagnieżdżona w codzienności dotyka nas niemal niepostrzeżenie, pisarka pyta w powieści „Wegetarianka” (w Korei Południowej opublikowanej po raz pierwszy w 2007, a w 2016 roku nagrodzonej Międzynarodową Nagrodą Bookera). Główną bohaterką utworu jest kobieta o imieniu Yöng-hye, która pod wpływem koszmarów sennych postanawia zrezygnować z jedzenia mięsa. Utwór składa się z trzech części, w których Yöng-hye przedstawiana jest kolejno z perspektywy

męża, szwagra i siostry, sama pozostając nieprzeniknioną.

Dlaczego mięso budzi w niej tak silną odragę? Dlaczego jej wybory żywieniowe spotykają się ze zdecydowanym, wręcz historycznym sprzeciwem otoczenia? W odpowiedzi na te pytania pomocna może być teoria Carol J. Adams. W pracy „The Sexual Politics of Meat: A Feminist-Vegetarian Critical Theory” z 1990 roku Adams przedstawia mięso jako symbol patriarchalnego ucisku i nawołuje do zaprowadzenia równości, dając do zrozumienia, że warunkiem obalenia istniejących struktur jest rezygnacja z jedzenia mięsa i wybór diety wegańskiej. W fabule „Wegetarianki” można odnaleźć wiele elementów spójnych z teorią amerykańskiej ekofeministki.

Wprawdzie po ślubie Yöng-hye bez sprzeciwu dopasowuje się do oczekiwań męża, ale stopniowo zaczyna utożsamiać się z zabitymi zwierzętami. W rezultacie nie tylko wprowadza w domu nowe zwyczaje kulinarne, nie tylko odmawia kontaktów seksualnych z mężem, od którego bije zapach mięsa zjedzonych zwierząt, ale zaczyna również eksponować swoje piersi, co można uznać za rodzaj manifestu nowego porządku symbolicznego.

Czy można jednak przyjąć, że „Wegetarianka” jest dziełem reprezentującym nurt ekofeminizmu? Byłoby to duże uproszczenie. Yöng-hye nie rezygnuje z jedzenia mięsa ze względów ideologicznych. Przyczyną jej decyzji są senne koszmary. Analizując na jawie scenę brutalnego morderstwa, do którego dochodzi w jednym z jej snów, bohaterka nie potrafi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jest ofiarą, czy sprawczynią. Czuje też, że

w jej piersi gromadzą się dusze zabitych istot, których mięso zostało przez nią przetrawione. Dlatego decyzja o przejściu na wegetarianizm jest nie tylko oporem wobec nierównych zasad patriarchalnego społeczeństwa, ale także generalną niezgodą na przemoc. W ten sposób bohaterka próbuje się również wyzwolić z przytłaczającego ją poczucia winy.

Pragnienie transformacji

Konflikt, jaki toczy się we wnętrzu Yöng-hye, potęguje opresyjna postawa jej otoczenia. Najbliżsi krewni nie respektują jej wyborów i dotkliwie naruszają jej osobiste granice. Kiedy ojciec stara się zmusić ją do zjedzenia mięsa, bohaterka targa się na swoje życie i trafia na oddział psychiatryczny. Wkrótce potem dochodzi do rozpadu jej małżeństwa, ale Yöng-hye powoli wraca do równowagi. Wszystko się zmienia, kiedy zostaje wykorzystana przez szwagra, który chce zrealizować z jej udziałem projekt artystyczny (zamierza nakręcić film erotyczny, w którym ma wystąpić bohaterka).

Wprawdzie szwagier-artysta wyraża jej wyjątkowość i „siłę dziko rosnącego drzewa, któremu nikt nigdy nie przyciął gałęzi” [„Wegetariankę” cytuję za własnym przekładem przygotowanym we współpracy z Choi Jeong In; tłumaczenia fragmentów z pozostałych utworów Han Kang są mojego autorstwa – JNM], jednak nie potrafi dostrzec jej wewnętrznych zmagani ani nie stara się jej zrozumieć. I chociaż niektóre jego działania wydają się mieć na Yöng-hye terapeutyczny wpływ, ostatecznie udział w projekcie skutkuje pogorszeniem się jej stanu emocjonalnego. Gdy jej siostra, →



→ In-hye, przenosi ją do położonego w lesie prywatnego szpitala, bohaterka, zafascynowana drzewami, zaczyna wierzyć, że stopniowo przemienia się w jedno z nich.

Przybranie przez człowieka roślinnej formy, przemiana w drzewo, kojarzy się przede wszystkim z regresją. Tak zinterpretować można grecki mit o Dafnie, która uciekając przed Apollinem zmieniła się w drzewo laurowe. Amerykański mitolog Joseph Cambell wykorzystał tę opowieść do opisu osób chorych na schizofrenię, twierdząc, że metamorfoza Dafne obrazuje zanurzenie się w stan psychozy. Przebywającej w szpitalu psychiatrycznym Yöng-hye również zostaje postawiona diagnoza schizofrenii. Nieco później opis schorzenia zostaje uszczegółowiony: to schizofrenia połączona z anoreksją. Wyczekująca przemiany bohaterka przestaje przyjmować pokarmy, wierząc, że do życia wystarczy jej woda i słońce. W fantazmatycznym procesie metamorfozy jej ciało faktycznie ulega regresji, a ona sama zbliża się do śmierci.

Bohaterki nie da się jednak łatwo zaszukadkować. Z powieści wyłania się obraz Yöng-hye jako osoby przekonanej o słuszności swego postępowania, zdeterminowanej, by na przekór wszystkiemu i wszystkim dochować wierności wyznaczanym przez siebie zasadom. Nie jest to z pewnością typowy wizerunek osoby chorej psychicznie, w przypadku której procesy poznawcze uległy zaburzeniu i która utraciła zdolność oceny rzeczywistości. Dlatego pragnienie przemiany można w przypadku Yöng-hye odczytać jako rezultat jej bezkompromisowego dążenia do innego rodzaju człowieczeństwa, do osiągnięcia lepszej formy egzystencji, która byłaby wolna od brutalności tego świata. Jej wewnętrzne zmagania należy potraktować poważnie – jako filozoficzne stanowisko na temat natury życia i świata. Jej postawa zmusza nas do rozważenia wielu istotnych kwestii. Czy jesteśmy w stanie kontrolować zwierzęce instynkty? Jak radzić sobie z istniejącą w świecie przemocą? Czy śmierć jest jedyną drogą wyzwolenia?

Han Kang nie oferuje prostych odpowiedzi. Dążącej do autodestrukcji Yöng-hye przeciwstawia postać jej starszej siostry In-hye. Ta druga również doświadcza w życiu wielu rozczarowań. Ma za

Han Kang. Edynburg, Szkocja, sierpień 2016 r.

■ W swej twórczości Han Kang stawia pytania o naturę człowieka, jego miejsce w świecie, sens istnienia oraz doświadczenie przemocy, które odciska na nim piętno i w nieunikniony sposób wywołuje przemianę.

HAN KANG (ur. 1970) – koreańska pisarka i poetka, laureatka wielu prestiżowych nagród literackich. Za powieść „Wegetarianka” otrzymała w 2016 roku Międzynarodową Nagrodę Bookera, do której była nominowana także dwa lata później. Jej utwory były tłumaczone na wiele języków. W Polsce oprócz „Wegetarianki” ukazała się jej powieść „Nadchodzi chłopiec”, a w przygotowaniu jest „The White Book”, nad którą autorka pracowała w trakcie pobytu w Warszawie.

sobą doświadczenie depresji przedstawionej w powieści jako wykraczająca poza ciało rana, która niczym czarna dziura zasysa ją w głąb siebie. Pewnego dnia, o świecie, wycieńczona odkładającym się w jej wnętrzu bólem In-hye zostawia w domu śpiące dziecko i ze sznurem w rękę wspina się na pobliską górę, aby powierzyć drzewom swój los. Żadne jednak nie chce jej przyjąć. Bohaterka akceptuje otrzymaną od nich przykrą prawdę i wybiera życie. Drzewa stają się dla niej czymś w rodzaju bóstw opiekuńczych, które chronią przed upadkiem. Podobnie wydaje się myśleć Han Kang, która w jednej z nagranych przez siebie w 2007 roku piosenek przyznaje: „Drzewa są za-

wsze przy mnie / Dają mi łączność z niebem / Wierzchołki, gałęzie, liście / Nawet wtedy, gdy całkiem brak mi sił”.

Walka o godność

Na wyrażnie obecne w „Wegetariance” egzystencjalne poszukiwania wpłynęła niewątpliwie masakra ludności, do której doszło w rodzinnym mieście Han Kang – Kwangju. 18 maja 1980 roku doszło tam do zorganizowanych przez grupę studentów demonstracji przeciwko opresyjnym działaniom generała Ch’ön Tu-hwana, który przejął władzę w państwie. W odpowiedzi na interwencję oddziałów specjalnych protesty przerodziły się w powstanie obywateli. Wówczas Kwangju zostało odcięte od reszty kraju, a jego ludność brutalnie spacyfikowana przez wojsko.

Han Kang, która w momencie powstania miała zaledwie dziewięć lat, nie była naocznym świadkiem tej tragedii, ponieważ kilka miesięcy wcześniej przeprowadziła się do Seulu. Z urywków rozmów, które prowadzili dorośli, dowiedziała się jednak, że zginął uczeń jej ojca. Dwa lata później obejrzała w sekrecie album ze zdjęciami ukazującymi brutalność wysłanych do Kwangju żołnierzy. Kiedy na jednej ze stron zobaczyła zmiażdżoną i pociętą bagnetem twarz młodej dziewczyny, poczuła, że coś kruchego w jej wnętrzu, coś, czego istnienia nawet nie podejrzewała, uległo rozpadowi.

Pisarka przywołuje swoje wspomnienia w powieści „Nadchodzi chłopiec” (2014). W jej epilogu przedstawia pracę pisarską jako rodzaj podróży. Początkowo jest to podróż w czasie. Kang zanurza się w materiały historyczne i dotychczasowe świadectwa tak głęboko, że ogarnia ją poczucie odrealnienia, a wydarzenia z przeszłości powracają do niej w sennych koszmarach. Dopiero później wybiera się do Kwangju, gdzie poznaje zbiory Instytutu 18 Maja przy Uniwersytecie Chönnam i Fundacji Pamięci o 18 Maja. Próbuje zaaranżować spotkanie z rodziną zmarłego chłopca o imieniu Tong-ho i zapala trzy małe świeczki na jego grobie.

Powieść ma skomplikowaną kompozycję. Pisarka celowo prowadzi czytelnika różnymi ścieżkami narracji, aby ukazać złożoną strukturę pamięci zbiorowej. Jej celem jest upamiętnienie zarówno tych, którzy odeszli, jak i tych, którzy pozostali przy życiu, by zmagać się z długofalowymi skutkami doświadczonej traumy. →

→ „Nadchodzi chłopiec” składa się z siedmiu części, które łączy osoba tytułowego chłopca, ale z których każda przedstawia wydarzenia w Kwangu i okres dyktatury wojskowej w Korei Południowej z perspektywy kilku postaci (ludzi i duchów). Rozdziały różnią się pod względem narracyjnym i stylistycznym: pojawia się narracja w pierwszej, drugiej i trzeciej osobie, a w części trzeciej i w epilogu czas przeszły miesza się z teraźniejszym.

Chociaż Han Kang mierzy się z wydarzeniami należącymi do historii Korei, ten wielowątkowy utwór jest w zasadzie uniwersalną opowieścią o ludziach zepchniętych na margines, którzy znajdują w sobie odwagę, by walczyć o niezbywalne prawo do godności. Pisarka podkreśla zresztą, że nazwa Kwangu stanowi dla niej alternatywną nazwę miejsca, które zostało odcięte od świata, zdeptane i zniszczone. Zauważa też, że na całym świecie nieustannie dochodzi do podobnych wydarzeń: „Kwangu raz po raz powstaje z martwych, aby zginąć. Płonie gniewem, wybuchają, odradza się z krwi”.

Cykl życia i śmierci

W 2014 roku, już po zakończeniu wyczerpującej emocjonalnie pracy nad powieścią o Kwangu, Han przyjechała na cztery miesiące do Polski, by wziąć udział w programie rezydencji literackiej na Uniwersytecie Warszawskim. Rezultatem jej pobytu jest zbiór poetyckiej prozy „The White Book” (2016), który w zamiarze autorki miał być czymś w rodzaju nakładanego na ranę opatrunku: białej masy albo białej gazy. Składa się on z ponad sześćdziesięciu fragmentów zawierających rozważania na temat bieli.

Mianem „białej” jest określona także obecna w tym zbiorze Warszawa: Han Kang opisuje m.in. wizytę w Muzeum Powstania Warszawskiego oraz film nakręcony z amerykańskiego samolotu wiosną 1945 roku, dzięki któremu uświadamia sobie ogrom wojennych zniszczeń. Dochodzi do wniosku, że los naszej stolicy przypomina los jej zmarłej siostry, która w jej wspomnieniach dąży do rekonstrukcji samej siebie i raz po raz odradza się w zmienionej formie. Pisarka postanawia na pewien czas ugościć w sobie duszę zmarłej, aby – zanim przyjdzie im się pożegnać – wspólnie z nią kroczyć warszawskimi ulicami, pełnymi duchów i mgły.

■ Na wyrażnie obecne w „Wegetariance” egzystencjalne poszukiwania wpłynęła niewątpliwie masakra ludności, do której doszło w rodzinnym mieście Han Kang – Kwangu.

■ W jednej ze swoich piosenek, nagranej w 2007 roku, Han wyznaje: „Drzewa są zawsze przy mnie / Dają mi łączność z niebem / Wierzchołki, gałęzie, liście / Nawet wtedy, gdy całkiem brak mi sił”.

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **HAN KANG** o złożonych przyczynach emocjonalnej przemiany, której czasem doświadczamy, a także o jej spotecznych skutkach, przede wszystkim tych długofalowych, które decydują o kształcie przyszłego świata. Spotkanie poprowadzi Justyna Najbar-Miller.

O przedwczesnych narodzinach i śmierci starszej siostry traktuje poruszająca opowieść o białym kaftaniku, który matka Han uszyła dla pierwszej córki. W kulturze koreańskiej to szyte bezpośrednio przez krewnych symboliczne ubranie ma przynieść nowo narodzonemu dziecku pomyślność i długo-

wieczność. Skoro jednak dziewczynka zmarła zaledwie dwie godziny po narodzinach, pierwszy strój stał się dla niej zarazem szatą pośmiertną. Można zaryzykować twierdzenie, że biel to barwa symbolizująca w tym zbiorze cykl narodzin i śmierci, które są jednocześnie punktami styczności ze światem nadprzyrodzonym.

W białe płótno, z którego szyje się w Korei pierwsze i ostatnie ubrania, Han Kang owinęła również rękopis książki „Kochany synu”, zanim w 2019 roku przekazała go szkockiej artystce, Katie Paterson, twórczyni zapoczątkowanego w 2014 roku projektu Biblioteki Przyszłości. Dzięki temu uroczystość, która odbyła się na leśnej polanie na terenie Nordmarki w pobliżu Oslo, przyjęła dla niej formę wyjątkowej ceremonii przejścia: były to zaślubiny z lasem, a jednocześnie pogrzeb odprowadzany z nadzieją na powtórne narodziny. Przekazane przez Han Kang dzieło, wraz z resztą gromadzonego przez stulecie księgozbioru (co rok inna pisarka lub inny pisarz dostarcza do biblioteki kolejny tekst), zostanie bowiem opublikowane dopiero w 2114 roku na papierze pochodzącym z tysiąca specjalnie zasadzonych do tego celu drzew.

W wygłoszonej podczas ceremonii mowie Han przyznała, że myśli o tym, iż nikt z obecnie żyjących ludzi, nie wyłączając jej najbliższych, nie będzie mógł przeczytać tej książki, wzbudziła w niej początkowo poczucie osamotnienia i pustki. Otuchy dodało jej jednak wyobrażenie lasu pełnego gęstych, strzelistych drzew, w który przemieni się w ciągu stulecia zagajnik w pobliżu Oslo. Pozwoliło jej to dostrzec duchowy wymiar projektu Biblioteki Przyszłości, który określiła mianem „stuletniej modlitwy”: to krok w stronę światła w czasach wielkiej niepewności.

Niestety, my nigdy nie poznamy treści modlitwy Han Kang, która zawinięta w białą tkaninę czeka, aż urośnie las. Z pewnością warto jednak zapoznać się z jej pozostałymi książkami, w których – mimo przepełniającej je świadomości wszechobecnego cierpienia – dostrzec można pragnienie przedarcia się na stronę czegoś jasnego i nieskazitelnego. Być może dzięki temu, w ślad za autorką, postanowimy prowadzić życie skoncentrowane na obserwacji drzew, które – jak to ujęła ona sama w jednej z powieści – „tak długo i cierpliwie oddychają”.

© JUSTYNA NAJBAR-MILLER

Strzępki

MARCIN ŻYŁA

**Behrouz Boochani
przekracza granice
– te, które
przed nim zamknięto,
oraz te, które
wielu innych
pisarzy-uchodźców
sprowadziły
do roli kronikarzy
nieszczęścia.**

Inne części świata, inne techniki rejestracji, ten sam dramat.

W filmie: natłok na pacy białej toyoty – krzyki, porywacze z innych toyot wyciągają karabiny – wiadomości do bliskich („żyję, mam, oni mówią, że zawiozą nas na brzeg”) – cięcie; zamiast Sahary granatowe morze – znów krzyki, to przecieka łódź – ciemnopopielata burta okrętu – jakiś port, napisy po włosku – „żyję, mam, jestem w Europie”.

W książce: strach przed indonezyjską policją – sztorm i walka o statek – suchary spuszczone na ławeczce bosmańskiej z pokładu kontenerowca (dobroć) – rejestracja i transport do obozu na wyspie Manus (zło) – zapiski z kontenerowego więzienia: „Czterdzieści osiem osób / Czterdzieści osiem łóżek / Czterdzieści osiem cuchnących ust / Czterdzieści osiem półnagich, spoconych ciał” (przeł. Tomasz S. Gałązka). I jeszcze Australia – cel podróży, nigdy nie osiągnięty.

Obrazy sklejone z ujęć wykonanych przez uchodźców telefonami komórkowymi złożyły się na film „My escape” (prod. Niemcy, 2016). Pisano o nim, że powstał z urywków. Jednak nie jest to odpowiednie słowo, skoro mowa o momentach, w których decydowało się życie. W tym samym czasie setki wiadomości tekstowych wysyłanych przez WhatsAppa z ośrodka dla azylantów na Manus (jedna z Wysp Admiralicji, Papua-Nowa Gwinea) przez kurdyjskiego poetę i dziennikarza Behrouza Boochaniego układały się w jeden z najniezwykłej-

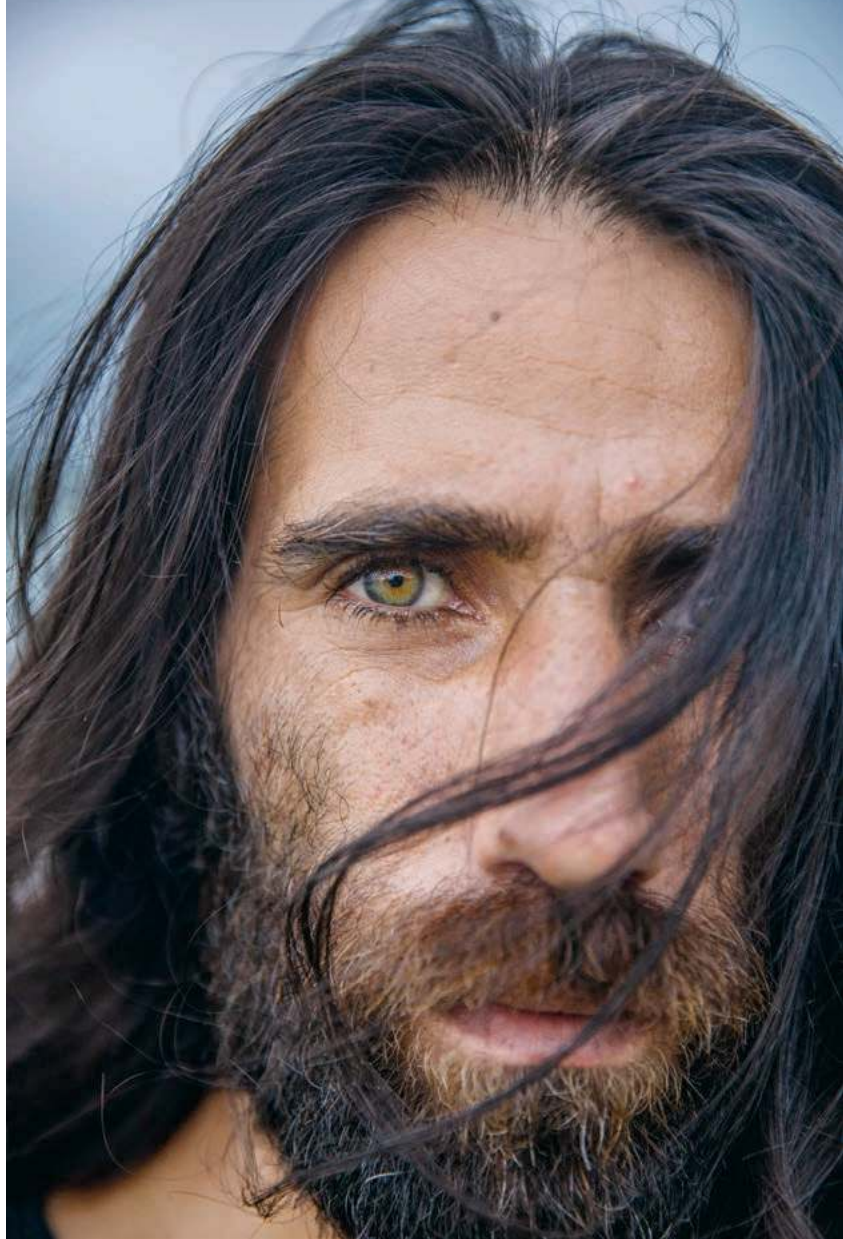
szych współczesnych reportaży, książkę „Tylko góry będą ci przyjaciółmi”. Jej autor, zesłany przez Australię w ramach surowej polityki migracyjnej do ośrodka-więzienia na odległej wyspie, wyczuł świetnie, że urywki, strzępki i fragmenty bronią się dziś lepiej – a bywa, że i opowiadają więcej – niż zamknięte całości.

Wojna-matka

Behrouz Boochani mówi o sobie: „dziecko wojny”. Takich dzieci – w połowie lat 80., w zachodnim Iranie, kiedy przez region przetaczała się jedna z najokrutniejszych wojen XX wieku – były setki tysięcy. Trwające osiem lat starcie irańsko-irackie było „wojną-matką”, pierwszą i formującą. Jej byłych żołnierzy, doświadczonych później przez inne tragedie, do dziś spotyka się w obozach uchodźców na

Bliskim Wschodzie. Wojna utrwaliła nienawiść między dwoma państwami, jednocząc ich władze tylko w jednym – prześladowaniach Kurdów.

W Ilamie, swoim rodzinnym mieście, Boochani trzymał się tak długo, jak mógł. Publikował w gazetach, po studiach był jednym z założycieli i redaktorów magazynu „Werya” („Varia”) poświęconego współczesnej kulturze kurdyjskiej. Starał się, aby Ilam, poddawany silnym wpływom asymilacyjnym z Teheranu, zachował kurdyjską tożsamość. Nie umknęło to uwadze władz. W 2013 roku redakcja została przeszukana przez funkcjonariuszy Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Kilku dziennikarzy trafiło do więzienia. Boochani doniósł o tym światu, a po kilku miesiącach w ukryciu wyjechał z kraju. Szybko dotarł do ➔



Behrouz Boochani na wyspie Manus. Papua-Nowa Gwinea, luty 2018 r.

JONAS GRÄTZER / LIGHTROCKET / GETTY IMAGES



JONAS GRATZER / LIGHTROCKET / GETTY IMAGES

Ubiegający się o azyl Behrouz Boochani stoi przed opuszczoną bazą marynarki wojennej na wyspie Manus, gdzie on i inni azylanci byli przetrzymywani. Papua-Nowa Gwinea, luty 2018 r.

→ Indonezji, którą tylko kilkaset kilometrów dzieli od Wyspy Bożego Narodzenia, terytorium zależnego Australii.

Którejś nocy, razem z innymi uchodźcami, wsiadł na kuter.

Bez sentymentów

Wydłuża się lista krzywd wyrządzanych przez państwa demokratyczne uchodźcom i migrantom. Ośrodki, w których na granicy meksykańskiej Amerykanie miesiącami przetrzymują dzieci oddzielone od swoich rodziców. Funkcjonariusze greckiej straży przybrzeżnej okładający metalowymi prętami uchodźców przepływających przez Morze Egejskie. Unia Europejska finansująca za-

trzymywanie migrantów na Saharze i w Sahelu.

Może to przesyt podobnymi, przewidywalnymi informacjami, a może geograficzna i mentalna odległość sprawiły, że o antychodźczej polityce Australii donoszono u nas rzadko. Sytuacja tego zamkniętego, położonego blisko gęsto zaludnionej Azji Południowo-Wschodniej państwa przypomina nasze sąsiedztwo z Afryką. Unia Europejska niechętnie akceptuje uchodźców i migrantów, niektórych zaś powstrzymuje bądź odsyła z powrotem. Jednak tak długo, jak część opinii publicznej oraz silne tu organizacje pozarządowe opowiadają się za liberalnym podejściem do imigrantów, unijni

politycy będą „zakładnikami” wartości, do których oficjalnie się odwołują.

W 2013 roku rząd w Canberze pozbył się podobnych sentymentów. Ówczesny premier Kevin Rudd oświadczył, że nikt, kto będzie usiłował dotrzeć do Australii przez morze, nigdy nie trafi na jej terytorium i nie uzyska zgody na osiedlenie się. Uchodźców i migrantów (największą ich grupę stanowili, podobnie jak Boochani, obywatele Iranu) zaczęto odsyłać na odległe wyspy, terytoria suwerennych państw – Papui-Nowej Gwine i Nauru. Oficjalnie do ośrodków azylowych, w praktyce do więzień. Po zesłaniu w ten sposób w ciągu półtora roku 3127 osób łodzi z uchodźcami przestały przyplwać.



■ Behrouz Boochani, zesłany przez Australię w ramach surowej polityki migracyjnej do ośrodka-więzienia na odległej wyspie, wyczuł świetnie, że urywki, strzępki i fragmenty bronią się dziś lepiej – a bywa, że i opowiadają więcej – niż zamknięte całości. Z takich właśnie fragmentów ułożył swą książkę, w której pisze o losie migrantów.

BEHROUZ BOOCHANI (ur. 1983) – kurdyjski pisarz, dziennikarz, producent filmowy i obrońca praw człowieka. Założył prokurdyjskie pismo „Werya”, do którego redakcji w 2013 roku wdarł się Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej. Boochani uniknął aresztowania, przez kilka miesięcy się ukrywał, a w końcu opuścił Iran. Zatrzymany przez australijską marynarkę wojenną podczas próby przedostania się do Australii, trafił do ośrodka dla migrantów na wyspie Manus, gdzie spędził przeszło pięć lat, informując potajemnie świat o bestialskim traktowaniu osadzonych. Obecnie pracuje na Uniwersytecie Canterbury w Nowej Zelandii, gdzie w 2020 roku uzyskał status uchodźcy.

Za cenę ludzi, których bezterminowo osadzono w zamknięciu, bez pomysłu na przyszłość.

Wzbogacone w tłumaczeniu

Dokumentacja podróży uchodźczej to najczęściej historia życia. Historia podobna do innych: wojna, prześladowania lub bieda; chęć bądź konieczność ucieczki albo wyjazdu; podróż, często odbywana w dramatycznych okolicznościach; ratunek, wybawienie, nadzieja na nowe życie; zazwyczaj zawód.

Książka „Tylko góry będą ci przyjaciółmi” zawiera te wątki. Trudno zapomnieć fragment o tym, jak podczas sztormu na oceanie, aby na moment nie

myśleć o śmierci, Boochani wpatrywał się w twarz podróżującego łodzią niemowlęcia. Ale opowieść kurdyjskiego pisarza jest czymś znacznie więcej niż materiałem interwencyjnym (ten, publikowany w brytyjskim „Guardianie” i innych zachodnich dziennikach, przyniósł autorowi rozpoznawalność, a ta ostatnia, po latach, uwolnienie).

Pierwszy telefon Boochaniemu skonfiskowano. Przez chwilę pisał książkę ręcznie, potem wysyłano ją z telefonu znajomego. Po jakimś czasie zdołał przeszmuglować dla siebie nowe urządzenie. Ukrywał je w dziurze wydrążonej w materacu. Kiedy Omid Tofighian, autor przekładu z farsy na angielski, spotkał się z Boocha-

nim pierwszy raz, zobaczył go z telefonem przy uchu. Niedaleko znaleziono właśnie ciało uchodźcy ze śladami pobicia i stryczkiem na szyi. Boochani donosił o tym światu.

Wiadomości wysyłał wtedy, kiedy mógł – z ukrycia, pod wpływem bieżących wydarzeń, próbując dotrzeć do zachodnich gazet. Teksty, które złożyły się na książkę, słał najczęściej do swojej adwokatki zajmującej się uchodźcami. Ona układała z nich pliki PDF i poryła dalej. Inaczej niż w „My escape”, skompilowanym z setek nagrań zebranych od uchodźców i migrantów już w Europie, wiadomości z Manus miały jednego autora i dotyczyły jednego miejsca.

Książka, choć pisana w trudnych okolicznościach i w chaotyczny sposób, jest triumfem sztuki. Behrouz Boochani przekracza w niej granice, które wielu innych pisarzy-uchodźców sprowadziły do roli kronikarzy nieszczęścia. Docenia strzępki. Przystają one być tylko spoiwem. Boochani wie, że można zbudować z nich pełnoprawną opowieść, że bronią się dziś lepiej niż całość. To już nie kalejdoskop, nie synkretyzm, lecz sposób opowiadania, który we współczesnych, „szarpanych” czasach bywa bliższym nam sposobem komunikacji. „To postaci mozaikowe, kolaże zmontowane z rozmaitych wydarzeń, różnorodnych incydentów, często natchnione logiką alegorii, nie reportażu” (przeł. *ditto*) – pisał o współwzięniach i bohaterach książki autor, sam tekst opatrując najbardziej dla pisarza oczywistą metką: „słowa”.

„Czułem, że najlepszym sposobem oddania tych cech będzie tworzenie zdań niepełnych czy zdeformowanych, a także poetycka stylizacja niektórych ustępów – dodaje z kolei Tofighian. – Z mojego punktu widzenia do najbardziej w tej książce porywających i wywierających najsilniejsze wrażenie momentów należą te, gdzie proza nagle przeobraża się w poezję i na odwrót” (przeł. *ditto*). Pisarza i tłumacza na angielski połączyło, jak przyznają, podobne podejście do fabuły, filozofii, pamięci i przedstawienia.

Polski przekład z angielskiego autorstwa Tomasza S. Gałązki mimo obaw tłumacza nie wywołuje efektu głuchego telefonu. Także dzięki niemu książka obrosła kontekstami, dodatkowymi i nieprzewidywalnymi znaczeniami, dzięki czemu można ją interpretować na różne sposoby. Nawet narodowość twórcy →

→ przestała mieć pierwszorzędne znaczenie. Boochani otrzymał cenioną Victorian Premier's Literary Award, choć ta była dotąd zarezerwowana wyłącznie dla obywateli Australii. Występując w imieniu osadzonych na Manus, Boochani sprzeciwił się tą książką systemowi i – symbolicznie – został australijskim pisarzem.

Handel uchodźcami

Zapewne nieświadomie australijski żargon urzędowy stworzył być może najtrafniejsze określenie człowieka pochwyconego w kleszcze surowego reżimu migracyjnego: *transitory person*, czyli osoba w przejściu, w oczekiwaniu, ktoś, kto aby żyć, musi czekać na decyzję i stempel. Nasuwają się straszliwe skojarzenia: oto kraj-kontynent, który od XVIII wieku zasiedlano więźniami brytyjskiej Korony, dziś sam zsyła ludzi na odległe wyspy. Jaki jest status Papui-Nowej Gwinei czy Nauru, formalnie niezależnych państw Oceanii, w praktyce związanych z Australią, regionalnym mocarstwem? Czy australijsko-amerykański deal z 2016 roku (zawarty przez Obamę, ale honorowany przez Trumpa) – w zamian za przyjęcie ponad tysiąca migrantów i uchodźców z Australii Amerykanie wysyłają za Pacyfik uchodźców i migrantów z Meksyku i Ameryki Łacińskiej – da się odczytać inaczej niż jako dowód na całkowite pozabawienie ludzi podmiotowości, prawa do wpływania na swój los? Wcześniej Australia próbowała podpiąć podobny układ z Kambodżą, z oferty przesiedlenia się tam skorzystało tylko siedmioro uchodźców.

I pytanie najważniejsze. Skoro już dziś możemy przerzucać ludzi z jednej półkuli na drugą, definiować ich nie przy pomocy nazwisk, lecz liczb, traktować ich jak karty przetargowe – to co powstrzyma nas przed czynami jeszcze gorszymi w przyszłości, gdy presja migracyjna będzie nieporównywalnie większa niż obecnie?

Pięć lat temu Sąd Najwyższy Papui-Nowej Gwinei uznał działalność ośrodka na Manus za nielegalną. Odtąd przetrzymywani w nim migranci mogą swobodnie poruszać się po wyspie. Dziś jednak, dziewięć lat po inauguracji takiej polityki, w prowadzonych przez Australię zamorskich ośrodkach dla uchodźców przebywa wciąż 239 osób – 109 na Nauru i 130 w Papui-Nowej Gwinei. Grudniowe dochodzenie dziennikarzy „Guardiana”

■ Dokumentacja podróży uchodźczej to najczęściej historia życia. Historia podobna do innych: wojna, prześladowania lub bieda; chęć bądź konieczność ucieczki albo wyjazdu; podróż, często odbywana w dramatycznych okolicznościach; ratunek, wybawienie, nadzieja na nowe życie; zazwyczaj zawód.

■ Skoro już dziś możemy przerzucać ludzi z jednej półkuli na drugą, definiować ich nie przy pomocy nazwisk, lecz liczb, traktować ich jak karty przetargowe – to co powstrzyma nas przed czynami jeszcze gorszymi w przyszłości, gdy presja migracyjna będzie nieporównywalnie większa niż obecnie?

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **BEHROUZEM BOOCHANIM** o rozwijającym się w różnych częściach świata neokolonializmie, o nowych formach zniewolenia, których ofiarami padają nie tylko migranci, ale też inne osoby wykluczone, a wreszcie o potrzebie innej polityki, która będzie skutecznie przeciwdziałać przemocy. Spotkanie poprowadzi Marcin Żyła.

ujawniło, że 87 proc. z nich przyznano status uchodźcy. Prawie połowa znajduje się w prawnej próżni. Ponad tysiąc osób, które ewakuowano z powodów medycznych lub zezwolono na przyjazd do chorujących członków rodziny, znajduje się w Australii. Setki są zamknięte w hotelach i ośrodkach zatrzymań. Tym, których uznano za najmniej groźnych, zapewniono tymczasowe mieszkania, ale mają zakaz podróżowania czy podejmowania pracy i w każdej chwili mogą zostać odesłani z powrotem do zamorskich obozów.

Niedawno ofertę przyjęcia pozostałych uchodźców i migrantów z Manus i Nauru ponowiła Nowa Zelandia. Poprzednią Australia odrzuciła, twierdząc, że po 5 latach ludzie ci będą mogli uzyskać nowozelandzkie obywatelstwo i bez przeszkód przyjechać do Australii.

Ostatnia ucieczka

Po wyjeździe z Iranu, przeprawie łodzią przez morze oraz przeszło pięciu latach spędzonych w ośrodku na Manus, w listopadzie 2019 roku Boochani uciekł z Papui-Nowej Gwinei. Korespondencje dla zachodnich gazet uczyniły go znanym. Z wielu krajów zaczęły spływać zaproszenia na festiwale literackie. Oenzetowski Urząd Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców wyrobił mu dokument podróży, a Amnesty International zapłaciło za wizę. Papuascy urzędnicy – zapewne za zgodą nadzorujących ich Australijczyków – zgodzili się na wyjazd, formalnie na festiwal literacki w nowozelandzkim Christchurch, choć nikt nie miał wątpliwości, że Boochani już nie wróci na Manus.

Wiadomość o jego wyjeździe utrzymywano w tajemnicy do ostatniej chwili. W Port Moresby, podczas postoju w drodze na lotnisko, spotkał uchodźcę, z którym płynął przez morze. A samolot z Boochanim na pokładzie w drodze do Nowej Zelandii przeleciał nad częścią Australii. Tyle zostało z upragnionego celu.

Minister spraw wewnętrznych Australii zapowiedział, że Boochani nigdy nie wjedzie do jego kraju, nawet jeśli Nowa Zelandia przyzna mu status uchodźcy. Stało się to ostatecznie w lipcu 2020 roku, dzień po jego 37. urodzinach.

3 czerwca bieżącego roku Dania – jako drugie państwo świata – zdecydowała, że wnioski azylowe będzie rozpatrywać w zamkniętych ośrodkach na terytorium państw trzecich. ©P MARCIN ŻYŁA

Fotografka na wojnie

HELENA JANECEK:

Chciałam pokazać, że Gerda Taro była raczej centrum pewnego świata, gwiazdą, która bardzo szybko rozbiła się i spadła.

HELENA JANECEK: Dzień dobry [wypowiedziane po polsku – AL].

ALEKSANDRA LIPCZAK: Mówi Pani po polsku?

Mniej więcej rozumiem i po chwili przysłuchiwania się rozmowie nabieram zwykle odwagi, żeby się odezwać. Mówię jednak w sposób bardzo prosty i potwornie maltretuję gramatykę. Cudownie byłoby przyjechać na jakiś czas do Polski i porządnie nauczyć się języka. W zasadzie to jest mój cel.

Często tu Pani bywa?

Rodzice niechętnie wracali do Polski po wojnie. Zamieszkali w Niemczech, tam się urodziłam. Byłam z matką w Polsce tylko raz, na początku lat 90. Parę lat temu przyjechałam z synem. Byliśmy w Krakowie, a później odwiedziłam wspaniałą panią, która opiekowała się w Niemczech moją mamą. Niesamowitym zbiegiem okoliczności pochodziła z tego samego miasta, co moja matka, czyli z Zawiercia.

Śledzi Pani jednak newsy z Polski. Widziałam tęczową Matkę Boską i czerwone błyskawice na Pani Instagramie.

Angażuję się, bo we Włoszech nie brakuje uprzedzeń i wyobrażeń, że Węgry czy Polska to zacofane kraje. Zawsze się wtedy irytuję i mówię, że Włosi nie powinni wypowiadać się o Polsce, bo nic o niej nie wiedzą. Jej mieszkańcy to nie to samo, co rząd. Przecież Polacy i Polki nie zgadzają się z tym, co robią politycy, i nie siedzą z założonymi rękami. Wychodzą na ulice. To kraj pełen inteligencji i kreatywności.

Za sprawą skrajnej prawicy podupadł też wizerunek Włoch, które od prawie 40 lat są Pani ojczyzną.

Włochy stały się bardzo starym krajem, a polityka oparta na szukaniu kozłów ofiarnych przekonała starszych ludzi, że ich wartości i styl życia są zagrożone. Do tego dochodzi kiepska sytuacja młodych Włochów. Stosunkowo mało szans na rynku pracy i spore koszty życia, co sprawia, że wielu z nich szuka zatrudnienia na przykład w Polsce. Nastrój części społeczeństwa, która nie sytuuje się po prawej stronie, jest dość depresyjny. Prawica wie, jak w prosty i przekonujący sposób sprzedać swój przekaz, a postępowcy są zagubieni i skłóceni.

Pani powieść „Fotografka”, która zdobyła najważniejszą literacką nagrodę we Włoszech, Premio Strega, to opowieść o Gerdzie Taro, słynnej fotografce, która zginęła na hiszpańskiej wojnie domowej. Ale także o pewnej europejskiej – i nie tylko – utopii, jaką był zryw na rzecz obrony hiszpańskiej republiki. Gerda Taro i jej przyjaciele mówili o sobie: „internacionales”, międzynarodowcy.

Czuła się tak z powodu silnych politycznych afiliacji. Z drugiej strony nie

mieli wyjścia. Jako Żydzi czy lewicowcy zostali wygnani ze swoich krajów, byli uchodźcami. Określenie, którego zwykle używa się w tym kontekście, to „kosmopolityzm”. Słowo to ma jednak negatywne zabarwienie, wskazuje na przywilej. Zwykle odnosi się do ludzi, którzy podróżują dla przyjemności, a nie do uchodźców wywodzących się z różnych grup społecznych. A Taro i jej przyjaciele byli uchodźcami, na dodatek trudno się im było porozumieć. We wspomnieniach jednego z włoskich dowódców Brygad Międzynarodowych znalazłam informację, że Belgowie nie byli w stanie zrozumieć komend Hiszpanów. Ludzie przyjeżdżający z Włoch nie mieli wspólnego języka narodowego, bo posługiwali się dialektami, które były od siebie tak różne, jakby były różnymi językami.

Gerda Taro jest w Polsce mało znana, mimo że na świecie nastąpił renesans zainteresowania jej twórczością i osobą. A także mimo jej polsko-żydowskich korzeni.

Jej przodkowie pochodzili ze wschodniej Galicji, która od dawna nie jest polska. Ona sama urodziła się już w Niemczech. Poznałam ją dzięki wystawie jej zdjęć we Włoszech w 2009 roku. Przeczytałam wówczas jej biografię pióra niemieckiej badaczki Irme Schaber. Zainteresowała mnie, bo pracowałam nad powieścią o Monte Cassino [„Jaskółki z Monte Cassino” – AL]. Robert Capa, partner Taro, był dla mnie wtedy ważnym źródłem informacji, zarówno jeśli chodzi o zdjęcia, jak i jego dziennik, w którym zapisał swoje przeżycia (pracował jako fotograf podczas walk Amerykanów we Włoszech).

Od początku mnie intrygowała, ale nie od razu postanowiłam o niej napisać. Trudno mi teraz powiedzieć, jak do tego doszło. Na pewno czułam, że za sprawą własnej historii będę miała lepszy wgląd

■ Trudno mi teraz powiedzieć, jak doszło do tego, że postanowiłam napisać powieść o Gerdzie Taro. Na pewno czułam, że za sprawą własnej historii będę miała lepszy wgląd w jej polsko-żydowskie pochodzenie i życie w Niemczech.

w jej polsko-żydowskie pochodzenie i życie w Niemczech. Interesujące było dla mnie również to, że pokolenie Gerdy Taro tak mocno wierzyło, że samo może decydować o swojej tożsamości. Wielu spośród tych ludzi pochodziło ze środowisk drobnych kupców i z zasymilowanych rodzin, które czuły się bardziej niemieckie niż Niemcy mimo braku paszportu. Na przełomie lat 20. i 30. zdecydowali, że w ogóle nie interesuje ich religia – że są socjalistami, syjonistami albo dumnymi obywatelami swoich krajów.

Moja matka, która zmarła osiem lat temu, należała do tej ostatniej kategorii. Pod koniec życia, kiedy cierpiała już na pewną formę demencji, uwielbiała słuchać Chopina, a jej wspinała polska opiekunka czytała jej ulubione wiersze Tuwima, które matka знаła zresztą na pamięć. Sam Tuwim też był przecież jednym z tych, którzy z dumą identyfikowali się z polską kulturą narodową. Przekonanie tych ludzi, że można samodzielnie decydować o swojej przynależności, wydawało mi się bardzo atrakcyjne.

Polski historyk Kamil Kijek nazwał ich „dziećmi radykalnego modernizmu”.

Równie fascynujące wydało mi się to, że Taro i jej rówieśnicy byli też pierwszym pokoleniem, które wyrosło w kulturze masowych mediów. Zaledwie dwa miesiące przed wyjazdem na hiszpańską wojnę domową w roli zaangażowanych politycznie fotografów Gerda Taro i Robert Capa wymyślili sobie pseudonimy w hollywoodzkim stylu [naprawdę nazywali się Gerta Pohorylle i Endré Ernő Friedmann – AL] i historię o superbogatym Amerykaninie, który robi zdjęcia dla przyjemności. Miało im to pomóc w sprzedaży zdjęć. Była w nich nie tylko polityka, ale też filmy, jazz, taniec i oczywiście fotografia, która stanowiła narzędzie emancypacji. Ani ona, ani Capa nie musieli wybierać między walką o lepszy świat i samorealizacją. Było dla nich zupełnie naturalne, że robią obie rzeczy naraz, z taką samą intensywnością.

W wywiadach często mówi Pani też o podobieństwach między latami 30. i współczesnością.

Na pewno był to jeden z powodów, dla których ta historia tak mnie wciągnęła. Z jednej strony są negatywne analogie: wzrost nacjonalizmów i kryzys ekono-

■ **W mojej powieści jest pewien paradoks: próbuję w niej uniknąć pułapek męskiego spojrzenia, stosując męskie spojrzenie. Dwóch z jej narratorów to przecież mężczyźni. Ich spojrzenie pozwala jednak pokazać, jak bardzo Taro nie pasowała do ról przypisanych kobietom, nie tylko z jej czasów.**

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **HELENĄ JANEK** o emancypacyjnym potencjale sztuki fotograficznej Gerdy Taro, o doświadczeniach tej ostatniej jako fotografki wojennej, a także o jej drodze do niezależności. Spotkanie poprowadzi Aleksandra Lipczak.

miczny, który prowadzi do desperacji i pragnienia nowego porządku. Ale z drugiej strony chodzi też o poczucie wspólnoty, które utraciliśmy i które próbujemy teraz na nowo odzyskać. Trudno to zresztą przerobić na literaturę, bo nie chcemy przecież uprawiać realnego socjalizmu.

Nie jest tak, że kiedyś byliśmy heroiczni, odważni i wszyscy walczyliśmy ramieniem w ramię. Mam raczej na myśli poczucie powiązania – tak poprzez polityczne ideały, jak i codzienne relacje, przyjaźnie czy romanse. Powieści stworzone są do pokazywania historii nieheroicznych i niepozbawionych cieni. Trójka narratorów, która pojawia się w „Fotografce” – Willy Chardack, Ruth Cerf i Georg Kuritzkes – wspomina swoją młodość i przyjaźń z Gerdą. Dwóch z nich to byli kochankowie Gerdy, którzy znajdują się daleko od miejsc, w których spędzili młode lata. Z tego powodu idealizują figurę Gerdy.

Co za bohaterka, ale też co za wyzwanie. Romantyczna legenda, tragiczna śmierć w wieku 27 lat. Jak z tego utkać dobrą, niehagiograficzną opowieść?

Wyzwaniem było to, że nie miałam najmniejszych szans na identyfikację z moją bohaterką. Mam dwa razy więcej lat niż Gerda w chwili, w której zginęła. W młodości nie byłam szczególnie odważna ani przebojowa. Musiałam też odpowiedzieć sobie na pytanie, jak poradzić sobie z bohaterką, która była bardzo inteligentna, ale nieszczególnie autorefleksyjna. Nie da się o niej napisać powieści w pierwszej osobie. W „Fotografce” chciałam pokazać, że była raczej centrum pewnego świata, gwiazdą, która bardzo szybko rozbłysła i spadła. Wolałam ożywić ją jako rodzaj fantomu, widzianego oczami i poprzez wspomnienia tych, którzy ją przeżyli. Nie chciałam się też zbyt koncentrować na jej romansie z Capą, w którym najciekawsze wydało mi się zresztą to, że był rodzajem wolnego związku. Oni nie potrafili wcale zarządzać tą miłością.

Ważnym aspektem powieści jest dialog z fotografią.

W powieści jest wiele historii i wątków, które zostają wywołane przez zdjęcia. Gerda tak naprawdę stała się fotografką dopiero w ostatnim roku życia. Ale to była jej rzecz – taki właśnie miała sposób konfrontowania się z życiem, będąc bardzo intuicyjną, błyskotliwą i poręczną osobą. Zawsze kochałam fotografię na czysto estetycznym poziomie i czytałam ważne eseje na jej temat, ale po raz pierwszy skonfrontowałam się ze sposobem, w jaki przedstawia się w niej świat, jak buduje się narrację i jak to działa w porównaniu z literaturą.

Ma Pani jakieś ulubione zdjęcie Gerdy?

Pierwsze, które przychodzi mi do głowy, to fotografia roześmianej pary w Barcelonie, przedstawiająca republikańskiego milicjanta i jego partnerkę. Od tego zdjęcia zaczynam powieść. To wspinała fotografia. Ciekawe jest to, że mamy dwa obrazy tej pary, jeden autorstwa Taro, drugi Capy. Każde z nich zobaczyło inne rzeczy. Podobnie jest ze zdjęciami, które zrobili uchodźcom ewakuowanym z Malagi i zbombardowanym w czasie pieszej ucieczki do Alme-



BASSO CANNARA / JOPALE/LEEMAGE / EAST NEWS

Helena Janeczek. Gallarate, Włochy, czerwiec 2018 r.

rii. Najlepsze zdjęcie Capy przedstawia małą dziewczynkę, która wczepia się w spódnice swojej babci. To zdjęcie bardzo w jego stylu, niezwykle emocjonalne. Zdjęcia Gerdy pokazują natomiast szeregi uchodźców siedzących na tle śnieżnobiałych ścian. Jest w nich jakość starych mistrzów malarstwa. Mogłyby być obrazami Caravaggia. To uderzające, jakie wyzucie kompozycji i stylu miała kobieta, która dopiero zaczęła wyrabiać sobie imię jako fotografka.

Wyjmuje Pani Gerdę Taro z ram określonych przez męskie spojrzenie. Udało jej się wreszcie uwolnić od etykiety „muzy Roberta Capy”?

Jeśli wpisze się w wyszukiwarkę „Gerda Taro”, pierwsze, co wyskakuje, to jej portrety: pięknej, fascynującej kobiety. To zawsze historia o niej. Oczywiście została też odkryta na nowo i uznana jako fotografka, ale jest coś problematycznego w sposobie, w jaki przywracamy dziedzic-

HELENA JANECEK (ur. 1964 w Monachium) – pisarka, poetka i dziennikarka. Od prawie 40 lat mieszka we Włoszech. Ma polsko-żydowskie korzenie. Jest autorką kilku książek prozatorskich. W 2018 roku ukazała się po polsku jej powieść „Jaskółki z Monte Cassino” (przeł. Katarzyna Skórska). Za poświęconą Gerdzie Taro „Fotografkę” (również w tłumaczeniu Katarzyny Skórskiej) otrzymała w 2018 roku Premio Strega, najbardziej prestiżową włoską nagrodę literacką. Mieszka w Gallarate w Lombardii.

two zapomnianych artystek, a przynajmniej w tym, jak przedstawiane jest to w mediach. Opowieść o Gerdzie Taro jako o muzie Capy nie jest prawdziwa. Był od niej trzy lata młodszy. Kiedy się poznali, tylko on był fotografem, to fakt, ale łą-

cząca ich relacja była naprawdę partnerska. To nie jest moja próba reinterpretacji ich historii w duchu feministycznym. To coś, o czym wspominają wszyscy świadkowie ich związku.

W mojej powieści jest pewien paradoks: próbuję w niej uniknąć pułapek męskiego spojrzenia, stosując męskie spojrzenie. Dwóch z jej narratorów to przecież mężczyźni. Ich spojrzenie pozwala jednak pokazać, jak bardzo Taro nie pasowała do ról przypisanych kobietom, nie tylko z jej czasów. Willy Chardack i Georg Kutzkes przekazują częściowo wyidealizowaną wizję jej postaci, ale chciałam, żeby w ich opowieściach wybrzmiało też to, że nie potrafili jej okiełznać. Żaden z nich nie był szczególnym seksistą, ale miłość do kobiety, która była tak skrajnie niezależna, bywała dla nich źródłem bólu, frustracji i zazdrości. Nie bez powodu centralną część książki zajmuje opowieść innej kobiety, jej przyjaciółki Ruth Cerf. Mowa w niej o rzeczach, o których nie →

→ byliby w stanie opowiedzieć mężczyźni, na czele z aborcją.

Wszystkie Pani książki czerpią z tego samego źródła, jakim jest historia pierwszej połowy XX w. „Fotografka” mogłaby być prequelem do „Jaskółek z Monte Cassino”. A wcześniej były „Lezioni di tenebra” („Lekcje ciemności”), najbardziej osobista z Pani książek, efekt podróży do Polski, którą odbyła Pani z matką.

Druga część książki rzeczywiście poświęcona jest podróży, którą odbyliśmy dziesięć lat po śmierci mojego ojca. Matka po raz pierwszy zdecydowała się wówczas na podróż do Zawiercia i wizytę na cmentarzu, gdzie są pochowani jej rodzice. Pierwsza część dotyczy jednak podróży wewnętrznej, w poszukiwaniu śladów holokaustowego dziedzictwa, które zostało mi przekazane bez słów. To także książka o skomplikowanej relacji między matką i córką. Chciałam sprawdzić, co w sytuacji – z którą może się identyfikować wiele czytelniczek – jest „typowe”, a co nie, bo wiąże się raczej z tym, że moja matka przeżyła Auschwitz. To jedyna książka, do której pisania się nie „przygotowałam”. Przed napisaniem „Jaskółek nad Monte Cassino” i „Fotografki” wykonałam olbrzymią dokumentację. Do mojej pierwszej książki – nie.

Wszystkie rzeczy z historii mojej rodziny, których mi nie przekazano, które zostały utracone, są opowiedziane właśnie jako takie albo przemilczane. Zależało mi na tym, by pokazać białe plamy i trudność zrozumienia. Nie Zagłady w ogóle, ale historii zapośredniczonej przez postać i doświadczenie kobiety, która mnie urodziła. Celem naszej podróży do Polski nie było Auschwitz. Mama chciała odwiedzić miejsca, w których się wychowała. Urodziła się w Częstochowie, ale przeprowadziła do Zawiercia, kiedy dziadek dostał posadę dyrektora w hucie szkła. Ojciec, który nie był szczególnie rozmownym człowiekiem, urodził się chyba w Zawierciu. Miał też rodzinę w Sosnowcu i Będzinie. Mama chętnie opowiadała, ale o czasach przedwojennych, np. o tym, jak samochodem wybrała się z kuzynką do Krakowa, do najelegantszej kawiarni, bo chciała pokazać, że jest subtelną młodą damą. Zamówiła kawę, ale dostała ją bez mleka, więc musiała złożyć reklamację...

W jakim języku mówiło się w Pani domu?

Rodzice rozmawiali ze sobą po polsku. Dlatego udało mi się podłapać trochę polskiego, ale nie na tyle, by płynnie mówić. Matka pochodziła z zasymilowanej rodziny, chodziła do nieżydowskiego liceum. Miała wielu przyjaciół, którzy nie byli Żydami, a jej wielką, przedwojenną miłością był niejaki Zbigniew. Ojciec pochodził z bardziej tradycyjnej rodziny, mówiącej w jidysz. Ale ich wspólnym językiem był zawsze polski.

Wciąż pamiętam polskie piosenki, kołysanki. I matkę rozmawiającą przez telefon, która powtarza „tak, tak, tak”. Czy

to prawdziwy język? – zastanawiałam się jako dziewczynka. Ze mną rodzice rozmawiali po niemiecku, czasem po włosku.

Dlaczego po włosku?

Mieli wielu bliskich przyjaciół i interesy we Włoszech. A ponieważ nie czuli się w Niemczech dobrze, jeździli do Włoch, kiedy tylko mogli. Spędzaliśmy tam każde wakacje, wszystkie ferie. Dorastałam więc we włoskojęzycznym otoczeniu, od dziecka uczyłam się tego języka i dlatego sama zdecydowałam się na przeprowadzkę do Włoch, kiedy skończyłam szkołę średnią. Włoski to mój adopcyjny język matczyny.

FRED STEIN ARCHIVE / GETTY IMAGES





■ Interesujące było dla mnie to, że pokolenie Gerdy Taro tak mocno wierzyło, że samo może decydować o swojej tożsamości. Wielu tych ludzi pochodziło ze środowisk drobnych kupców i z zasymilowanych rodzin, które czuły się bardziej niemieckie niż Niemcy mimo braku paszportu. Na przełomie lat 20. i 30. XX w. zdecydowali, że w ogóle nie interesuje ich religia – że są socjalistami, syjonistami albo dumnymi obywatelami swoich krajów.

Gerda Taro pozuje do portretu z papierosem
fotografowi Fredowi Steinowi.
Paryż, Francja, 1936 r.

Jak to się stało, że rodzice znaleźli się po wojnie akurat w Monachium?

Rodzice poznali się w czasie wojny, w getcie w Zawierciu. Po wojnie znaleźli się w obozie dla dipisów w Bawarii. Próbowali wyemigrować do USA, ale u ojca zdiagnozowano gruźlicę. Chcieli wyjechać, jak tylko będzie to możliwe, ale nigdy do tego nie doszło. Zostali w Niemczech na zawsze. Nie było to jednak dla nich najbardziej komfortowe miejsce do życia.

Pani też uciekła z Niemiec?

Nie wiem, czy to była ucieczka, po prostu wolałam mieszkać gdzie indziej. Nie

mogę powiedzieć, że ułatwiło mi to życie, ale była to decyzja, która uwolniła mnie od poczucia, że jestem przede wszystkim reprezentantką narodu, reprezentantką ludzi, którym inni ludzie zgotowali ten los. Urodziłam się w 1964 roku. Dużo się od tamtego czasu zmieniło w Niemczech, choć w ostatnich latach doszły do głosu niezbyt miłe tendencje. Nie jest to jednak ten sam kraj, w którym dorastałam. Coraz mniej zajmuje mnie też kwestia pasowania lub nie do określonych kategorii. Po przeczytaniu pierwszego zdania mojego biogramu w Wikipedii trudno powiedzieć, kim jestem. Włoską pisarką? Niemiecką albo włosko-niemiecką? Gdzie

w takim razie umieścić polsko-żydowskie dziedzictwo? Definicje to trudna sprawa, ale kogo to obchodzi. Czuję przynależność do wszystkich części mojej historii.

Nie zadałam Pani jeszcze jednego bardzo ważnego pytania. Jak właściwie wymawia się Pani imię?

Przyjeżdżając od dziecka do Włoch, straciłam początkowe „H” i stałam się Eleną. W Polsce można mnie jednak nazywać Heleną i nie będę mieć nic przeciwko temu. Matka i jej przyjaciółki mówiły do mnie „Helenko”.

© Rozmawiała
ALEKSANDRA LIPCZAK

natura przyszłości

GRZEGORZ JANKOWICZ

Nasze tegoroczne hasło posiada przynajmniej dwa znaczenia. Pierwsze z nich przywodzi na myśl kształt, jaki przybierze przyszłość. Jaka ona będzie? Nieustannie się nad tym zastanawiamy, a intensywność podejmowanych przez nas refleksji świadczy o tym, że jesteśmy zaniepokojeni – że przyszłość, nawet ta najbliższa, jawi się nam jako niepewna. Drugi sens odsyła przede wszystkim do przyrody i otwiera drogę do rozważań na temat kondycji środowiska naturalnego. Jasne jest, że wszyscy musimy się dziś zjednoczyć w walce przeciwko ekologicznej zapaści. To najważniejsze i zarazem najpilniejsze spośród naszych aktualnych wyzwań.

Jednak pod pojęciem natury kryją się również inne znaczenia. Chodzi także o cechy charakterystyczne różnych

bytów, zjawisk, zdarzeń etc. Chodzi o właściwości, które decydują o specyficznym sposobie istnienia owych bytów i składają się na ich tożsamość.

W ostatnich latach powstało kilka książek, w tytułach których pojawia się „natura przyszłości”.

Amerykańska dziennikarka Elizabeth Kolbert umieściła pod tym tytułem rozważania na temat kryzysów ekologicznych, do których doprowadziła działalność człowieka. W książce

„Under a White Sky. The Nature of the Future” pisze

o środkach zaradczych, które

pozwołyby nam przeciwdziałać

zmianom środowiskowym niszczącym planetę. Namawia do podjęcia zdecydowanych i natychmiastowych kroków, przekonując, że tylko tak będziemy w stanie odwrócić kierunek, w jakim zmierza świat w epoce antropocenu.

Dla odmiany Marina Gorbis, ukraińska socjolożka i futurolożka, na co dzień kierująca Instytutem Przyszłości w Dolinie Krzemowej, posługuje się pojęciem natury przyszłości w odniesieniu do takich zagadnień, jak nowe struktury społeczne, niemonetarna ekonomia oparta na wymianie darów oraz wpływ technologii na relacje międzyludzkie. Jej praca „The Nature of the Future. Dispatches from the Socialstructured World” opowiada o rzeczywistości, w której dzięki technologicznemu zaawansowaniu ludzie będą mogli wpływać na swoje

środowisko społeczne w bardziej bezpośredni sposób, współpracując z innymi i czerpiąc korzyści z wzajemnego zaangażowania, które stanie się podstawowym środkiem wymiany.

Wreszcie Emily Pawley w książce „The Nature of the Future. Agriculture, Science, and Capitalism in the Antebellum North” przedstawia rozwój rolnictwa w XIX-wiecznej Ameryce i wpływ ówczesnych koncepcji naukowych oraz ekonomicznych na sposób funkcjonowania nie tylko pojedynczej klasy, czyli farmerów, ale też całego społeczeństwa. To studium skomplikowanych zależności społeczno-ekonomicznych, które determinują ludzkie życie.

W każdej z wymienionych książek hasło „natura przyszłości” posiada inny sens. Każda z nich wskazuje inne problemy jako kluczowe dla losów naszego świata. Ich autorki nie tylko zajmują się różnymi dziedzinami wiedzy, ale też prowadzą swe refleksje z innych perspektyw światopoglądowych i politycznych. Jaką konkluzję można wyciągnąć z lektury wspomnianych prac? Że omawiane w nich zjawiska, procesy i mechanizmy są ze sobą połączone i kształtują naszą teraźniejszość. Wszystkie będą miały również wpływ na naszą przyszłość.

Mając to w pamięci, postanowiliśmy w programie Festiwalu Conrada umieścić spotkania z pisarkami i pisarzami, które i którzy zaprezentują nam swoje wyobrażenia na temat różnych – potencjalnych – aspektów przyszłego świata. Dwa pytania będą nieustannie powracać w tego- rocznych dyskusjach: co może się wydarzyć i co powinno się wydarzyć? Jesteśmy przekonani, że dziś każda rozmowa o przyszłości musi mieć przede wszystkim interwencyjny charakter. Oto kilka przykładowych spraw, w które zamierzamy się zaangażować.

Według libańskiego pisarza **Iljasa Churiego** literatura ocala tych, którzy zostali potraktowani niesprawiedliwie i którym odebrano głos. Wstawia się za nimi, przemawia w ich imieniu, zrywa zмовę milczenia wokół ich sprawy. Przerwanie milczenia bywa bardzo bolesne, bo często towarzyszy mu rozdrapywanie starych ran. Jednak bez tego zmiana społeczna nie będzie możliwa, a literatura taką zmianę chce wywołać. Bohater powieści Churiego „Jalo” w niejasnej przeszłości swojej rodziny poszukuje punktu zaczepienia i fundamentu tożsamości. W „Dzieciach getta. Mam na imię Adam” pisarz przedstawia historię Palestyńczyka, który – jak jego naród – walczy o miejsce do życia i pamięć o skrzywdzonych. Podczas festiwalowego spotkania autor opowie o społecznych i politycznych mechanizmach przekształcających ofiary w oprawców. Jak to możliwe, że potworne cierpienia, których doświadczyła dana wspólnota, nie powstrzymują przed przemocą wobec innych?



18.10. Poniedziałek

16.00

Przyszłość szaleństwa

SPOTKANIE Z LISĄ APIGNANESI

Prowadzenie: Mira Marcinów

18.00

Światy literackie

JULIA FIEDORCZUK

Oprowadza: Weronika Murek

20.00

Przemiana

SPOTKANIE Z HAN KANG

Prowadzenie: Justyna Najbar-Miller

19.10. Wtorek

11.00

Lekcja czytania

z KATARZYŃĄ KUBISIOWSKĄ

Tekst: **Valeria Luiselli** „Historia moich zębów”

16.00

Warianty prawdy

SPOTKANIE Z ILJASEM CHURIM

Prowadzenie: Hanna Jankowska

18.00

Światy literackie

MIKOŁAJ GRYNBERG

Oprowadza: Zofia Król

20.00

Bezustanne wygnanie

Dyskusja z udziałem

ARTURA DOMOSŁAWSKIEGO,

DARIUSZA ROSIAKA i IZABELI WAGNER

Prowadzenie: Michał Paweł Markowski

20.10. Środa

11.00

Lekcja czytania

z BARTOSZEM HLEBOWICZEM

Tekst: **Brandon Hobson** „Tam, gdzie rozmawiają umarli”

16.00

Wyzwolone

SPOTKANIE Z MARTĄ DZIDO

Prowadzenie: Amelia Sarnowska

18.00

Światy literackie

ADAM KACZANOWSKI

Oprowadza: Anna Kałuża

20.00

Koniec ciemnoczasu

SPOTKANIE Z PETRĄ HŮLOVĄ

Prowadzenie: Aleksandra Hudymač

21.10. Czwartek

11.00

Lekcja czytania

z AGNIESZKĄ PAJĄCZKOWSKĄ

Tekst: **Rebecca Solnit** „Zew włączęgi.”

Opowieści wędrownie”

16.00

Fotografka na wojnie

SPOTKANIE Z HELENĄ JANECEK

Prowadzenie: Aleksandra Lipczak

18.00

Światy literackie

ANGELIKA KUŹNIAK

Oprowadza: Aleksandra Klich

20.00

Co z tym patriarchatem?

SPOTKANIE Z REBECCĄ SOLNIT

Prowadzenie: Agnieszka Graff

22.10. Piątek

11.00

Lekcja czytania

z JULIUSZEM KURKIEWICZEM

Tekst: **George Saunders** „Al Roosten”

14.00

Neokolonizacja

SPOTKANIE Z BEHROUZEM BOOCHANIM

Prowadzenie: Marcin Żyła

16.00

Światy literackie

BRONKA NOWICKA

Oprowadza: Darek Foks

18.00

Śmierć pod złym adresem

SPOTKANIE Z ALEKSEM KOTLOWITZEM

Prowadzenie: Dionisios Sturis

20.00

Opowieści zranionych

SPOTKANIE Z BRANDONEM HOBSONEM

Prowadzenie: Ada Arendt

23.10. Sobota

14.00

Znaczenie anomalii

SPOTKANIE Z HERVÉM LE TELLIEREM

Prowadzenie: Tomasz Swoboda

16.00

Światy literackie

DOROTA MASŁOWSKA

Oprowadza: Stanisław Łubieński

18.00

O tych, którzy nie mają głosu

SPOTKANIE Z VALERIĄ LUISELLI

Prowadzenie: Tomasz Pindel

20.00

Literacka empatia

SPOTKANIE Z GEORGE'EM SAUNDERSEM

Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz

24.10. Niedziela

14.00

Pudełko na gniew

SPOTKANIE Z KRISTIANEM NOVAKIEM

Prowadzenie: Aleksandra Wojtaszek

15.30

Światy literackie

MACIEJ PŁAZA

Oprowadza: Michał Sowiński

16.30

Straszliwa natura dzieciństwa

SPOTKANIE Z MARIEKE LUCAS RIJNEVELD

Prowadzenie: Urszula Chowaniec

18.00

Literacka forma życia

SPOTKANIE Z AMÉLIE NOTHOMB

Prowadzenie: Marie Giraud

20.00

Gala Nagrody Conrada

→ Opublikowana w 2014 roku książka **Rebekki Solnit** „Mężczyźni objaśniają mi świat” jest jedną z najważniejszych publikacji związanych z feminizmem czwartej fali, który koncentruje się na krytyce patriarchalnych stereotypów na temat płci, odpowiedzialnych za rozwój mechanizmów społecznej marginalizacji kobiet. Z amerykańską intelektualistką, historyczką i aktywistką feministyczną będziemy rozmawiać o tym, jak skutecznie walczyć z patriarchalnym systemem opresji i jak wspierać zmiany kulturowe, w wyniku których upowszechnione zostaną procedury antyprzemocowe. Zapytamy również o sytuację polityczną w Stanach Zjednoczonych po czteroletnich rządach Donalda Trumpa i możliwe kierunki, w jakich podążać będzie amerykańskie społeczeństwo. Nie zabraknie również refleksji o literaturze przedstawiającej perspektywę feministyczną, o opowieściach składających się na nowy – niemizoginistyczny – kanon literacki.

Długie życie Zygmunta Baumana zostało naznaczone najważniejszymi wydarzeniami XX i XXI wieku. II wojna światowa, komunizm, jego upadek, rozpad dwubiegowego świata, przemiany struktury politycznej Zachodu, globalizacja i jej skutki, masowe migracje... Każdy z tych etapów był burzliwy, wszystkie zaś składają się na egzystencję, której podstawowym rysem jest wygnanie. Bauman wielokrotnie o tym doświadczeniu pisał, gdyż dzielił je z bohaterami swoich książek. Wciąż czytanych, choć niektóre zamieszczone w nich analizy już się zdezaktualizowały. Okazuje się, że najważniejszym i wciąż intrygującym dziełem wybitnego socjologa było jego życie. Spór o rozumienie tej egzystencji jest zarazem sporem o polską i światową historię ostatnich stu lat, a także – jak przekonują zaproszeni przez nas biografowie Zygmunta Baumana: **Artur Dośmałowski**, **Dariusz Rosiak** i **Izabela Wagner** – o naszą wspólną przyszłość.

Różne były powody, dla których **Petra Hůlová** nie ukończyła studiów socjologicznych i wybrała w zamian mongolistykę oraz kulturologię. Czytając jej kolejne powieści, można jednak odnieść wrażenie, że nie porzuciła dawnych zainteresowań, lecz je przekształciła i zaczęła uprawiać własną – literacką – odmianę nauk społecznych, stawiając sobie za cel nie tylko opis otaczających nas zjawisk, ale także wywołanie zmiany w świadomości czytelniczek i czytelników. Hůlová reaguje na problemy, ale jej ironiczne interwencje nie przynoszą gotowych odpowiedzi na palące pytania. Zamiast tego skłaniają odbiorców do nieustannego kwestionowania ich przeświadczeń na temat rzeczywistości. Nic nie jest tu oczywiste, pisarka wobec żadnej ze swych postaci nie stosuje taryfy ulgowej, każda – nawet najbardziej progresywna – idea może zostać podana w wątpliwość. Na Festiwalu Hůlová opowie o tym, co możemy zyskać dzięki takiej postawie wobec świata.

Literackie i filmowe dzieła **Marty Dzido** układają się w wielowątkową opowieść o emancypacji kobiet. Nie tylko tej historycznej, o którą niegdyś walczyły sufrażystki i kolejne pokolenia feministek, ale także tej, która dziś może stać się częścią doświadczenia każdej kobiety. Pisarka walczy przede wszystkim o zmianę społecznych norm traktowania kobiecego ciała, które jest u niej pełnoprawnym podmiotem opowieści: ma swoje racje i po-

trzeby, domaga się uwagi i czułości, akceptacji oraz spełnienia, zasługuje na szacunek, którego zbyt długo mu odmawiano. Według Dzido rewolucja w traktowaniu ciała wydarzy się dopiero wtedy, gdy zmianie ulegnie język, za pomocą którego odnosimy się do zmysłowości. Z pisarką i reżyserką porozmawiamy o pozytywnych skutkach zerwania z tabuizacją kobiecej seksualności, a także o tym, jak literatura może pomóc w walce o swobodę pragnień i wolność wyboru.

Nie ma jednej opowieści, która objęłaby swym zasięgiem doświadczenie wszystkich rdzennych Amerykanów. Każda grupa etniczna ma swoją historię, na której kształt wpływają nie tylko konkretne przeżycia, ale też kultura. Czirokeski pisarz **Brandon Hobson** jest głosem swojego ludu. Opowiada o młodych ludziach, których los cały czas zależy od instytucji będących częścią systemu stworzonego przez najeźdźców. Naród Czirokezów został ze swych terytoriów wysiedlony, próbowano wymazać go z powierzchni ziemi. Po wielu latach od tamtych wydarzeń dzieci z czirokeskich rodzin wciąż szukają swojego miejsca, a raczej – rzucone od jednej rodziny za pomocą drugiej – desperacko próbują utrzymać się na powierzchni. Dla Hobsona schronieniem jest literatura. To ona okazuje się jedyną naprawdę gościnną przystanią dla wypędzonych i jedynym lekarstwem na niezagojone rany. Literatura jest sposobem na kształtowanie przyszłości.

Psychiczny dobrostan dzieci jest jednym z zagadnień, którym poświęcamy dziś bardzo wiele uwagi. W świecie, w którym istnieje duża liczba specjalistycznych poradników podpowiadających, jak dbać o emocje najmłodszych, **Marieke Lucas Rijneveld** dają nam w swojej powieści ponury obraz życia na hollenderskiej prowincji, gdzie dzieci same muszą uporać się z traumatycznymi doświadczeniami. Jest to bardzo trudne ze względu na konserwatyzm dorosłych, którzy nie godzą się na jakiegokolwiek odstępstwo od bezkrytycznie akceptowanych norm. Z Rijneveld będziemy rozmawiać o polityce rodziny, o konieczności nowego języka, za pomocą którego można odnosić się do cielesności i seksualności, o religijnym przewrażliwieniu części społeczeństwa, o dojmującym rozczarowaniu dorosłością, o sposobach przeżywania straty przez dzieci, o znaczeniu niebinarnej tożsamości w dzisiejszej polityce oraz o potrzebie akceptacji.

Festiwal odbędzie się w październiku, ale już teraz zapraszamy czytelniczki i czytelników do wspólnej refleksji. Zachęcamy do zapoznania się z książkami zaproszonych pisarek i pisarzy. Im silniejsza i rozleglejsza będzie nasza współpraca, tym skuteczniejsze będą nasze interwencje.



Gra w szaleństwo

MICHAŁ SOWIŃSKI

U Lisy Appignanesi historia psychiatrii to opowieść o niebezpiecznej obsesji, aby wyleczyć wszystkie odkrywane i katalogowane na bieżąco choroby – szczególnie te występujące u kobiet.

Zaluję, że depresja nie jest gatunkiem literackim. Gdyby była, napisałabym depresję i mogłabym zatytułować moją książkę F33 – pisze Dorota Kotas w najnowszym tomie prozy zatytułowanym „Cukry”. F33 to kod, który oznacza nawracające zaburzenia depresyjne w Międzynarodowej Statystycznej Klasyfikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych ICD-10 wydanej przez WHO. Lista będzie obowiązywać do końca tego roku. 1 stycznia 2022 roku zastąpi ją ICD-11, czyli jedenasta już wersja dokumentu. Laureatka nagrody Conrada kilka stron dalej dodaje: „Inna możliwość kodu, która mogłaby być moim tematem, to F84.5: *autism spectrum disorder*”.

Dużo liter i cyfr, niektóre nawet z punktami. Dla większości osób pozostają one mało czytelne, dla części jednak są elementem codziennej egzystencji, a nawet tożsamości. Nie, depresja nie jest gatunkiem literackim. Więcej, to jedno z tych zjawisk, które wymykają się zdolności opisu. To doświadczenie, które wprowadza człowieka poza granice świata i odbiera mu kawałek po kawałku samego siebie, wrzuca go w ciemną otchłań, gdzie trudno o adekwatne i koherentne zdania. A mimo to próbujemy ją opisać, posiłkując się choćby skonwencjonalizowanymi metaforami topograficznymi, jak „głęboki dół”. Jednak nawet w przypadku tak na pozór niewinnej frazy trzeba zachować szczególną ostrożność. Zawsze bowiem gdy krzyżujemy ze sobą pojęcia takie jak „umysł” i „zdrowie”, wchodzimy na wyjątkowo kruchą taflę języka.

Podobnie wygląda sprawa z innymi przypadkościami kwalifikowanymi jako zaburzenia psychiczne. „Nie jestem chora na autyzm, bo to nie choroba. Jestem osobą nieneurotypową. To oznacza, że

mój mózg działa trochę inaczej” – pisze Kotas we wstępie do swojej książki.

Choroba czy nie? Od odpowiedzi na to pytanie zależy bardzo wiele. Jeśli tak, wrzucamy daną osobę w dyskurs medyczny. Powinna wtedy otrzymać specjalistyczną pomoc, nawet jeśli sama nie zdaje sobie sprawy z tej potrzeby (lub wyrażnie się temu sprzeciwia). A jeśli uznamy, że to jednak nie choroba, tylko odchylenie od ustandaryzowanych form życia? Wówczas musimy zmienić nasze założenia na temat emocjonalności jednostki i otworzyć się na inność. Wydaje się, że ta alternatywa nie wyczerpuje wszystkich możliwości i gubi szereg niezwykle ważnych niuansów.

■ Choroba czy nie?

Od odpowiedzi na to pytanie zależy bardzo wiele. Jeśli tak, wrzucamy daną osobę w dyskurs medyczny. Powinna wtedy otrzymać specjalistyczną pomoc, nawet jeśli sama nie zdaje sobie sprawy z tej potrzeby (lub wyrażnie się temu sprzeciwia). A jeśli uznamy, że to jednak nie choroba, tylko odchylenie od ustandaryzowanych form życia?

Porządek rozumu

Pałaca potrzeba subtelności w mówieniu o ludzkiej psychice stanowi sedno książki Lisy Appignanesi „Szalone, złe i smutne. Kobiety i psychiatrii”. Brytyjska uczona i pisarka, idąc tropem najwybitniejszych filozofów, antropologów i historyków idei, stwierdza, że „każda choroba to subtelna gra między rozmaitymi perspektywami kulturowymi a twardą wiedzą z zakresu biologii” (przeł. Jan Dzierzgowski). Co więcej, elementy te nieustannie układają się w nowe konfiguracje, a na dodatek same ulegają zmianie. Mają na to wpływ pojawiające się w kolejnych dekadach nowe konteksty kulturowe i przemiany w sposobie definiowania człowieka oraz jego biologii w obrębie dyskursu naukowego.

Historyczny charakter samej kultury wydaje się czymś oczywistym, ale naukę traktujemy jako źródło wiedzy pewnej i uniwersalnej. Dzieje się tak dlatego, że dyskurs naukowy pełen jest mechanizmów maskujących historyczność oraz – co szczególnie istotne w przypadku psychologii, psychoanalizy i psychiatrii – polityczność.

Psychologia nieprzypadkowo narodziła się wraz z zachodnią nowoczesnością. W pewnym sensie – właśnie tak traktuje ją Appignanesi – stanowi papierek lakmusowy gwałtownych przemian w definiowaniu człowieka i jego roli społecznej w ostatnich dwustu latach. Można powiedzieć, że „Szalone, złe i smutne” podejmują wątek tam, gdzie Michel Foucault zawiesił go w „Historii szaleństwa w dobie klasycyzmu”.

Francuski uczony pokazał, jak między XVI a XVIII wiekiem europejska kultura przygotowywała grunt pod zupełnie nową koncepcję jednostki, przede wszystkim redefiniując granice jej normalności, →

→ a także powinności względem prawa i społeczeństwa. Początek nowożytności to zmierzch teologicznego monopolu epistemologicznego – kolejne prądy naukowe, kulturowe i polityczne powoli, ale konsekwentnie podmywały fundamenty starego porządku, który ostatecznie miał się zawalić wraz z nastaniem wieku XIX. Wtedy prym w tłumaczeniu świata przejęły kolejne gałęzie nauki wyrastające z oświeceniowego klącza. Nawet ci, którzy z Foucaultem się generalnie nie zgadzają, przyznają, że metodologia jego badań podważyła naiwne przekonanie o progresywnym rozwoju naszej cywilizacji i prostej akumulacji wiedzy. Zastąpienie jednego paradygmatu strukturyzującego nasze percypowanie świata innym zawsze niesie ze sobą poważne, bolesne dla wielu konsekwencje. Nigdzie nie widać tego lepiej niż w zmianach postrzegania obłądu.

Gdy metafizyczne rozstrzygnięcia na temat świata i człowieka ostatecznie odrzucono jako nieprzekonujące lub niewystarczające, musiały pojawić się nowe, które nie zawsze potrafiły sprostać pokładanym w nich nadziejom. Skoro szaleństwo nie jest już bożym zrządzeniem, tajemniczą mieszanką daru i przekleństwa, to jaki jest jego sens? Jeżeli jednostkę definiuje już nie dusza, tylko umysł, to wszelka skaza na nim jest jednocześnie skazą na samym człowieczeństwie – skandalem podważającym sensowność nowego, racjonalnego porządku.

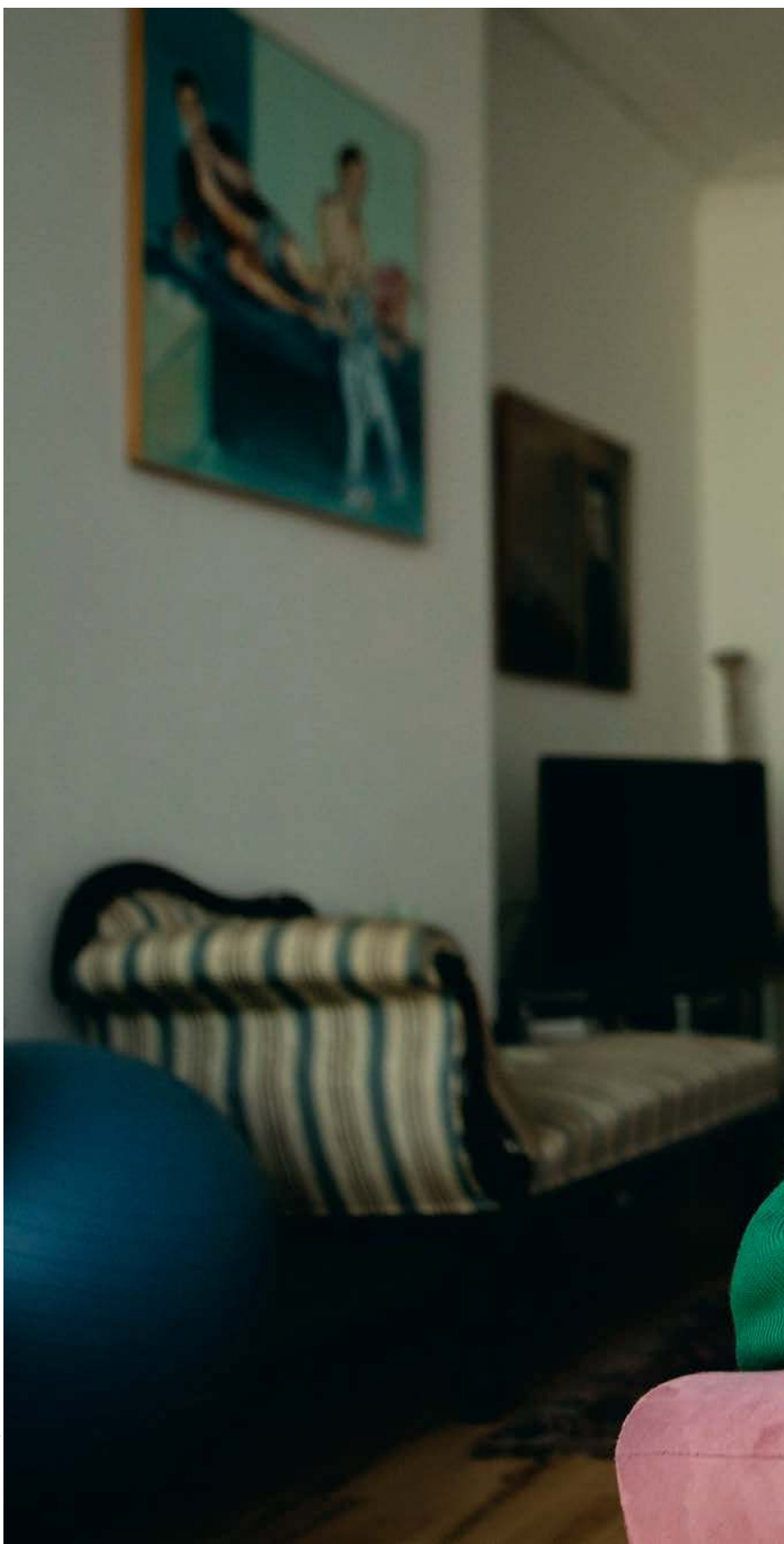
Dlatego początkowo szaleństwo było nie tyle problemem medycznym, ile moralnym. Wszelkiej maści dziwaków należało odizolować od zdrowego społeczeństwa, do którego, z definicji, nie należeli. Stopniowo jednak łagodzono ten pogląd. Pojawiły się wątpliwości: być może szaleństwo jest jedynie przypadłością, stanem przejściowym, tymczasową chorobą, która co prawda zawiesza nasze prawo do samostanowienia, ale nie na zawsze. A jeśli tak, to może da się tę chorobę wyleczyć? Czytaj: wyrugować z szaleńca wszystko, co nie mieści się w przyjmowanych w danej chwili standardach zdrowotnych.

Kto strzelił do króla?

Zdaniem Appignanesi symbolicznym punktem przełomowym w kwalifikowaniu szaleństwa był nieudany zamach na życie angielskiego monarchy Jerzego III z 1800 roku. W trakcie premiery „Wesela Figara” →

Lisa Appignanesi.
Londyn, Wielka Brytania, 2019 r.

ANTONIO OLMOS / KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE





→ (oczywiście przypadkowy, ale ciekawy kontekst, że odbyło się to podczas tej opery) żołnierz James Hadfield strzelił do monarchy z pistoletu, ale chybił o kilka centymetrów. Podczas procesu adwokat Thomas Erskine argumentował, że obłąd może mieć różne, bardziej subtelne oblicza, niż się powszechnie uważa. Hadfield nie był „dziką bestią”, zachowywał się normalnie, czym zmylił wszystkich. A strzelił, gdyż cierpiał na urojenia, które fundamentalnie zaburzały jego osąd rzeczywistości.

Erskine odniósł sukces. Jego klient nie został stracony, a jedynie uznany za nie-poczytalnego i odizolowany od świata. Skoro więc próba zamordowania króla może zostać uznana za efekt choroby psychicznej, to potencjalnie każdą zbrodnię da się wytłumaczyć aktywizacją mrocznych energii szaleństwa. Idąc dalej, być może każdy z nas, nie zdając sobie z tego sprawy, nosi tę energię w sobie? Od chwili, w której tego rodzaju argumenty przedostały się do oficjalnych dyskusji społecznych, każdy obywatel mógł zostać pacjentem nowej instytucji – szpitala psychiatrycznego.

Kazus ten okazał się przełomowy w angielskim systemie prawnym, później także europejskim. Podczas procesu dotknięto bowiem wyjątkowo drażliwego punktu, na którym opiera się nasza nowoczesność. Czy można wyjąć kogoś spod prawa? A jeśli tak, to w jakich okolicznościach i na jakich zasadach? Gdzie biegną granice jednostkowej wolności, a co za tym idzie: odpowiedzialności, gdzie zaś zaczyna się przestrzeń dla potencjalnej interwencji nowego, świeckiego państwa? Te pytania towarzyszą nam do dziś.

Można tę kwestię ująć mniej abstrakcyjnie, bardziej pragmatycznie. Przełom XVIII i XIX wieku to moment krytyczny dla europejskiej polityki. Władza i życie monarchów były zagrożone, a rewolucja pukała do bram pałaców nie tylko we Francji. Dużo bezpieczniej uznać więc zamachowca za szaleńca niż za przedstawiciela nowej, niebezpiecznej siły politycznej. Obłąd oficjalnie stał się poręcznym narzędziem społecznego wykluczenia i... dyscypliny.

Na nowych torach

Appignanesi w swojej najnowszej książce, podobnie zresztą jak w pozostałych tekstach, w tym w nietłumaczonych

LISA APPIGNANESI (ur. 1946 jako Elżbieta Borensztejn w Łodzi) – pisarka i badaczka. Przewodnicząca Królewskiego Stowarzyszenia Literackiego, była prezeska brytyjskiego PEN Clubu. Autorka kilkudziesięciu książek, wielokrotnie nagradzana. Publikuje artykuły m.in. w „The Guardian”, „Observer” i „New York Review of Books”. W 2013 roku została odznaczona Orderem Imperium Brytyjskiego IV klasy za zasługi dla literatury. „Szalone, złe i smutne” zdobyły w 2009 roku British Medical Association Award. W języku polskim ukazała się również jej książka napisana z Johnem Forresterem pt. „Kobiety Freuda” (1992).

na polski powieściach, śledzi ten proces niezwykle uważnie. Z dużą podejrzliwością analizuje dane z kolejnych etapów ewolucji „medycyny umysłu”, jak sama nazywa tę dyscyplinę. Statystyki, początkowo skąpe, z każdą dekadą stają się obfitsze i bardziej precyzyjne. Ukazują mało znaną historię psychiatrii, odbiegającą od powszechnych wyobrażeń, często sformułowanych przez popkulturę.

Zgodnie z tytułem książki, kluczowy jest tu kontekst genderowy. Kolejne rozdziały oprócz ogólnego komentarza historycznego składają się przede wszystkim z wnikliwych studiów konkretnych przypadków: historii kobiet, które na przestrzeni kolejnych dekad zderzyły się z coraz mocniej krzepnącą instytucją psychiatrii. Płec w oczywisty sposób deter-

minowała zachowania lekarzy – do drugiej połowy XX wieku niemal wyłącznie mężczyzn – wobec pacjentów i pacjentek. Jednakże, co zaskakujące, organiczny mizoginizm oraz cały wachlarz narzędzi służących podtrzymywaniu patriarchalnego porządku nie są zbyt często widoczne w psychiatrycznych statystykach XIX wieku.

Być może dlatego, że w kontynentalnych praktykach, szczególnie w rewolucyjnej Francji, ciężar uwagi szybko przeniósł się z indywidualnych predyspozycji do choroby umysłu na społeczny kontekst jej genezy. Szaleństwo, podobnie jak inne przypadłości, miało brać się przede wszystkim ze złych warunków życia – zarówno materialnych, jak i symbolicznych. To rozpoznanie, skądinąd słuszne, zrodziło wiele brzemiennej w skutki pomysłów inżynierii społecznej, niemniej pchnęło naukę o ludzkim umyśle na nowe tory.

Kolejowa metafora jest tu o tyle wdzięczna, że to właśnie gwałtownie przyspieszający świat drugiej połowy XIX wieku był coraz częściej wskazywany jako źródło nowych chorób: neurastenii i hysterii. Już w 1848 roku John Stuart Mill w kluczowym dla swojej epoki dziele – „Zasadach ekonomii społecznej” – pisał: „Praca jest albo fizyczna, albo umysłowa lub – by wytłumaczyć różnicę między nimi rozumiem – jest pracą albo mięśni, albo nerwów” (przeł. Edward Taylor). Tak więc permanentne znerwicowanie wśród przedstawicieli tzw. branż kreatywnych nie jest wymysłem milenialistów, lecz zostało rozpoznane już przez pierwszych prawodawców ledwie raczkującego kapitalizmu.

To prowadzi do kolejnej kwestii, która przez ponad 150 lat nie straciła na aktualności. Początki nowoczesnego społeczeństwa, gdzie tradycyjne role płciowe – bardzo powoli, ale konsekwentnie – ulegały zatarciu, były szczególnie trudne właśnie dla kobiet. Już wtedy bowiem wyraźnie zarysowały się podwójne płciowe standardy. O ile od mężczyzn oczekiwano co najwyżej, aby pogodzili się z utratą monopolu w niektórych sferach życia, o tyle od kobiet wymagano, by realizując ambicje, nie porzucały wcześniejszych obowiązków. W przeświadczeniu konserwatywnie myślących prawodawców nowoczesnego społeczeństwa kobieta, która spełnia swoje marzenia, musi być jednocześnie wzorcową matką i idealną żoną.

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **LISĄ APPIGNANESI** o psychologii, którą brytyjska pisarka postrzega jako pole bitewne. Toczy się na nim walka nie tylko o nasze zdrowie psychiczne, ale także o naszą wolność, która czasem – jak w przypadku hospitalizowanych w XIX i XX wieku kobiet – bywa bezwzględnie ograniczana w imię rzekomej troski o losy jednostki i społeczeństwa. Spotkanie poprowadzi Mira Marcinów.

Ten podstępnie opresyjny dyskurs do dziś przebija z najróżniejszych czasopism i portali, także tych deklaratywnie feministycznych, zasilając kapitalistyczny patriachal. „Nic więc dziwnego, że kobiety albo brały się do czynu, albo kończyły na lekarskich kozetkach. Ucieczka w chorobę była lustrzanym odbiciem buntu. Emancypacja, feminizm i neurastenien lub bliźniaczka tej ostatniej, histeria, dojrzały w tej samej glebie” – pisze Appignanesi (przeł. Jan Dzierzgowski).

Dla brytyjskiej pisarki najważniejsze są właśnie te punkty węzłowe, w których praktyki społeczne i medyczne okazują się skutkiem sprzężenia kultury i nauki. Kolejny przykład takiego splotu znajdziemy w koncepcjach Darwina. Autor „O powstawaniu gatunków”, kładąc podwaliny pod XX-wieczne nauki przyrodnicze, wprowadził pokutujące do dziś poglądy na temat rzekomo naturalnych różnic płciowych w funkcjonowaniu mózgu. Używając „naukowych” argumentów, przypisał kobietom szereg cech waloryzowanych podówczas niżej niż te „naturalnie” męskie: empatia, cierpliwość, zdolność do kompromisu. To ciekawe, że właśnie te cechy, nazywane dziś „kompetencjami miękkimi”, są tak pożądane na współczesnym rynku pracy.

Appignanesi w ciekawy sposób ukazuje, jak krętymi i nieoczywistymi drogami podążały kolejne pokolenia lekarzy umysłów. Powyższy stereotyp, który długo traktowany był jako oczywistość, stał się trampoliną dla zupełnie nowych pomysłów. Sigmund Freud, Carl Gustav Jung, Pierre Janet, Eugen Bleuler – wszyscy oni doszli do wniosku, że to właśnie owe „kobiece” atrybuty są kluczem do zrozumienia ludzkiej psychiki. Psychoanaliza, wedle której jesteśmy istotami kruchymi, a pojęcie „zdrowia psychicznego” jest problematyczne, otworzyła nowy rozdział w myśleniu o psychice człowieka.

To nie koniec historii

Wiek XX długo bazował na spuściźnie poprzednich epok. Na kolejny przełom trzeba było czekać aż do upowszechnienia się psychofarmakologii. Jak to już parę razy miało miejsce w historii, tym razem również uwierzono, że to nowe rozwiązanie na zawsze uzdrowi nasze umysły. Efekty nie dla wszystkich były jednak zadowalające, stąd narodził się nurt antypsychiatrii. Został on zapoczątkowany

■ Skoro szaleństwo nie jest już bożym zrzędzeniem, tajemniczą mieszkanką daru i przekleństwa, to jaki jest jego sens? Jeżeli jednostkę definiuje już nie dusza, tylko umysł, to wszelka skaza na nim jest jednocześnie skazą na samym człowieczeństwie – skandalem podważającym sensowność nowego, racjonalnego porządku.

■ Dla Appignanesi kluczowy jest kontekst genderowy. Kolejne rozdziały jej książki oprócz ogólnego komentarza historycznego składają się przede wszystkim z wnikliwych studiów konkretnych przypadków: historii kobiet, które na przestrzeni kolejnych dekad zderzyły się z coraz mocniej krzepnącą instytucją psychiatrii.

przez przeciwników chemicznej pacyfikacji jednostek, które nie mogły bądź nie chciały dopasować się do nowego, wspólnego świata powszechnego dobrobytu i konsumpcji. Postaciami ikonicznymi dla tej odnogi rewolucji obyczajowej lat 60. i 70. stał się Wódz z „Lotu nad kukłowym gniazdem” Miloša Formana oraz bezimienna matka, która w piosence Rolling Stonesów „Mother’s Little Helper” potrzebuje „małego pomocnika”, aby przetrwać kolejny dzień jako idealna kobieta z amerykańskiego przedmieścia.

Obraz psychologii i psychiatrii, który wyłania się z opowieści Appignanesi, nie napawa optymizmem. Z jednej strony niebezpieczna obsesja, aby wyleczyć wszystkie na bieżąco katalogowane choroby, z drugiej nieustannie nawiedzający te dyscypliny konserwatywny duch, który przybiera różne maski, ale za cel prawie zawsze obiera sobie kobiety. Jednak ta historia patriarchy, który co rusz potyka się o własne nogi, pełna jest nieoczywistych niuansów. Dlatego też nie da się z niej wyabstrahować jednej, zgrabnej tezy, łatwej do spożytkowania w bieżących sporach politycznych.

Appignanesi podkreśla, że oferta współczesnych lekarzy umysłów znów (wciaż?) adresowana jest przede wszystkim do kobiet, które dużo częściej niż mężczyźni korzystają z pomocy specjalistów. Łatwiej przez to wpisuje się w ciętne i skrupulatnie aktualizowane definicje jednostek chorobowych. Dlatego autorka częściej opowiada się po stronie buntowniczek, szczególnie tych, które sprzeciwiają się rozwiązaniom farmakologicznym. Jednocześnie powstrzymuje się przed jednoznaczną oceną opisywanych w swojej książce zjawisk.

Historia psychiatrii nie jest zakończona, a jej kolejne rozdziały z pewnością rodzić się będą z tarcia między najróżniejszymi ideologiami. W świetle przeszłych, teraźniejszych, ale i przyszłych sporów oczywiste jest, że nie istnieje uniwersalny ani neutralny język opisu człowieka i rzeczywistości, którą wytwarza, że każda próba totalizacji ludzkiego doświadczenia jest niebezpieczna i dla wielu bolesna. Dlatego zamiast prostych diagnoz i jednoznacznych kwalifikacji potrzebujemy gestów, pełnych subtelności opisów świata widzianego z innej niż nasza perspektywy. Nie ma do tego lepszego narzędzia niż literatura.

© P MICHAŁ SOWIŃSKI



Kristian Novak. Zagrzeb, Chorwacja, 2019 r.

Kłamstwo, ale najpiękniejsze

ALEKSANDRA WOJTASZEK

Kristian Novak łączy kryminalną zagadkę z fundamentalnymi pytaniami o wpływ przeszłości na nasze życie. Od dzieciństwa nie da się uciec – przekonuje – choć nie ma dnia, byśmy takiej rejterady nie próbowali.

Matija, bohater powieści Kristiana Novaka „Czarna matka ziemia”, aspirujący i utalentowany pisarz, żyje w szczęśliwym związku z Diną, z którą łączy go takie samo poczucie humoru, dobry seks i podobna wrażliwość. Wydaje się, że są skazani na szczęście. Pewnego dnia kobieta jednak uświadamia sobie, że snute przez Matiję historie, zwłaszcza te dotyczące jego przeszłości sprzed wyjazdu z rodzinnej wsi i przeprowadzki do Zagrzebia, nie pokrywają się z rzeczywistością. Wszystko, co mężczyzna opowie, dzieła jej o swoim dzieciństwie, jest zmyślane.

Porzucony przez ukochaną i walczący z kryzysem twórczym bohater coraz gorzej radzi sobie z własnymi demonami. Zaczyna rozumieć, że kluczem do ich obłaskawienia jest uporanie się z przeszłością. Nie potrafi jednak przypomnieć sobie, co właściwie się wydarzyło i dlaczego postanowił zagrzebać dawne przeżycia w podświadomości. Dopiero przypadkowo usłyszane słowo wyzwala w nim lawinę wspomnień, dzięki którym może wreszcie odtworzyć swoje losy – losy dziecka wychowywanego na przełomie lat 80. i 90. na chorwackiej prowincji.

Przerywana linia życia

Kristiana Novaka z bohaterem jego powieści łączy, poza profesją, kilka istotnych biograficznych szczegółów. Obydwaj są synami chorwackich gospodarzy, którzy po powrocie z Niemiec dorastali z matkami oraz siostrami na chorwackiej prowincji. Ojców stracili we wczesnym dzieciństwie. To jednak, co dla bohatera powieści stało się przyczyną blokady twórczej, Novak wykorzystał jako źródło inspiracji. Stałe w jego twórczości (a ma na swym koncie trzy powieści) jest miejsce akcji: rodzinne Međimurje, region położony przy północnej granicy Chorwacji. Często powraca u niego również temat dzieciństwa jako źródła ran, które odkrywamy w dorosłym życiu, a także jako przyczyna (nie)umiejętności zawiązywania relacji z innymi ludźmi.

Obfitujące w elementy autobiograficzne opowieści o dziecięcej traumie i dorastaniu w cieniu śmierci stanowią częste zjawisko w literaturach jugosłowiańskich, szczególnie odwołując się na scenę wkroczyły pokolenia dorastające w latach 90., w czasie wojny. Popularni na Zachodzie pisarze o bośniackich korze-

niach, jak choćby Saša Stanišić, Aleksandar Hemon oraz Alen Mešković, chętnie sięgają do przeszłości. Zazwyczaj ukazują bez troskie dzieciństwo i młodość w socjalistycznej Jugosławii, które przerwane zostały przez wybuch wojny, brutalnie pozabawiający bohaterów niewinności i poczucia bezpieczeństwa.

Przykłady można mnożyć. Oto garść tytułów przełożonych na język polski. Nagrodzony w 2020 roku Angelusem Słoweniec Goran Vojnović w „Mojej Jugosławii” pyta o to, jak żyć w cieniu ojca, zbrodniarza wojennego. Mieszkający na co dzień w USA Aleksandar Hemon w autobiograficznym „Dwa razy życie” opowiada o rodzinnej tragedii, obserwując przy tym z oddalenia, jak płonie jego rodzinna Bośnia. Wydany dopiero co debiutancki zbiór opowiadań „Sarajewskie Marlboro” lubianego w Polsce Miljenka Jergovicia to kronika wielkiej historii oglądanej z perspektywy małych ludzi, którym ich dotychczasowe życie przesuwa się przez palce. „Dzieciństwo mnie nie interesuje” – deklaruje bośniacki pisarz Faruk Šehić. Od razu jednak dodaje: „Na czarno-białych zdjęciach ten okres w życiu wygląda uroczym. Ale moje sploty, już nie posiadam dzieciństwa, to ono posiada mnie” (przeł. Aleksandra Wojtaszek).

Bohaterów Novaka dzieciństwo posiada w zgoła inny sposób – to nie wojna jest w nich źródłem traumy, ale życie jako takie. W „Czarnej matce ziemi” sześciolatek obwinia się nie tylko o śmierć ojca, ale i osiem tajemniczych samobójstw, które dotyczą jego rodzinnej wsi w ciągu zaledwie półtora miesiąca. W opisie traumatycznych wydarzeń, które stały się udziałem wrażliwego dziecka wrzuco-

nego w świat okrutnej prowincji, powieść Novaka przypomina utwór nagrodzony Międzynarodowym Bookerem „Niepokój przychodzi z zmięzchu” autorstwa Marieke Lucas Rijneveld. W obu przypadkach dorosłym brakuje empatii, aby pomóc borykającemu się ze zbyt trudnymi doświadczeniami dziecku, a traumatyczne wydarzenia (śmierć ojca i śmierć starszego brata) obłożone zostają nakazem milczenia, który uniemożliwia żalobę i przepracowanie złości, smutku oraz strachu. O ile jednak opowieść Rijneveld snuta jest z perspektywy dziecka, Novak każe złożyć spójną narrację z roztrząskanych fragmentów swojemu dorosłemu już bohaterowi.

Natura opowieści

Dzięki temu powieść zyskuje dodatkowy wymiar – staje się także historią o tym, jak działa pamięć, jak i dlaczego powstają opowieści. To książka o potrzebie literatury, która okazuje się lekiem przeciwko traumie. W autobiograficznej książce o zespole stresu pourazowego dziennikarz i były żołnierz David Morris pisze: „Destrukcyjna moc traumy to po części destrukcja narracji, natomiast historie, pisane i mówione, mają ogromną moc uzdrawiania zarówno mówiącego, jak i słuchacza. Normalne, nietraumatyczne historie ulegają zawłaszczeniu i wchłonięciu w bieżącą historię osobistą. W pewnym sensie przypominają udomowione zwierzęta, podlegające kontroli, uległe. Natomiast traumatyczne wspomnienie żyje osobno. Jest jak zdziczały pies, warczący, zły i nieobliczalny” (przeł. Barbara Kopeć-Umiastowska). Trudno o lepszy opis tego, co przydarza się Matiji. Tylko udomowienie dzikiego psa pamięci może pozwolić mu na wyrwanie się z zaklętego kręgu traumy.

Bohater Novaka nie rekonstruuje jednak swojej przeszłości w próżni: zwraca się do ukochanej Diny oraz „obcego, którego [nosił] w sobie przez te wszystkie lata” (przeł. Magdalena Połczyńska). Równie ważny jak narrator okazuje się odbiorca, gdyż nawet najbardziej spójna narracja wymaga zapośredniczenia. Ta idea powraca w trzeciej i na razie ostatniej powieści Novaka, nietłumaczonej dotąd na język polski, „Ciganin, ali najljepši” (Cygan, ale najpiękniejszy). Każda z opowiadających w niej osób – Milena, „kobieta z przeszłością”; młody Rom Sandokan, jej kochanek; przemierzający

→ bałkański szlak uchodźczy Kurd z Mosulu; zmęczony życiem rzecznik prasowy policji – odczuwa potrzebę przedstawienia swych losów. Milena przyznaje: „Istnieje pewnie ze sto powodów, dla których nigdy o tym nie opowiadałam. I tylko jeden argument za: może zrzucę z siebie choć odrobinę ciężaru” (przeł. Aleksandra Wojtaszek).

Zapśredniczenie nigdy nie jest jednak niewinne. Milena, choć zmęczona zainteresowaniem mediów, decyduje się porozmawiać z poszukującą sensacji dziennikarką, która wykazała się odrobiną empatii. Kurd Nuzat musi posłużyć się tłumaczem, chętnie interpretującym jego słowa i zarzucającym mu kłamstwo. Rzecznika z Zagrzebia poznajemy wyłącznie poprzez rozmowy, jakie prowadzi ze swoim kolegą policjantem. Jedynie Sandokan ma możliwość samodzielnej prezentacji swych losów. Jest to skutek wyjątkowego statusu ontologicznego, dzięki któremu bohater zyskuje samoświadomość i głos. Nie powinno nas dziwić, że Sandi wraca we wspomnieniach przede wszystkim do swojego trudnego dzieciństwa w cygańskiej osadzie. Tam znajdują się łączące go ze światem nici, które musi rozsypać, aby zrozumieć swoje doświadczenie i ostatecznie odnaleźć spokój.

„Cygan, ale najpiękniejszy” to wielowątkowa, szeroko zakrojona powieść: historia zakazanej miłości, konfliktów etnicznych, kronika życia na prowincji, rekonstrukcja dramatycznej drogi uchodźcy z Mosulu aż na granicę słoweńsko-chorwacką. Novak flirtuje tu z literaturą gatunkową, podobnie zresztą jak w pozostałych powieściach, wplatając w tkanę utworu elementy kryminału. To jednak nie rozwiązanie zagadki tajemniczych samobójstw czy dziwnego morderstwa, a droga do odkrycia prawdy i jej konsekwencje okazują się kluczowe.

Nic dziwnego, że utwory Novaka docenili nie tylko krytycy, ale też czytelnicy. Pisarz – na co dzień wykładowca lingwistyki i mistrz Europy w karate – mimo skromnego dorobku uważany jest za jeden z najważniejszych głosów we współczesnej literaturze chorwackiej. Otrzymał wszystkie najważniejsze nagrody literackie. Na podstawie jego powieści stworzono niezwykle popularne sztuki teatralne, wystawiane zarówno w niezależnym Zagrzebskim Teatrze Młodych, jak i na deskach Chorwackiego Teatru Narodowego.

■ Stałe w twórczości

Kristiana Novaka (a ma na swym koncie trzy powieści) jest miejsce akcji: rodzinne Međimurje, region położony przy północnej granicy Chorwacji. Często powraca u niego również temat dzieciństwa jako źródła ran.

■ Novak – na co dzień

wykładowca lingwistyki i mistrz Europy w karate – mimo skromnego dorobku, określany jest jednym z najważniejszych głosów we współczesnej literaturze chorwackiej. Za swoje powieści otrzymał wszystkie najważniejsze nagrody literackie.

Jego debiut nie zapowiadał tak spektakularnego sukcesu. Pierwsza powieść, „Obješeni” (Wisielcy) ukazała się w niewielkim nakładzie i w niszowym wydawnictwie, dlatego dziś jest praktycznie niedostępna. Sam autor konsekwentnie odmawia jej wznowienia, tłumacząc, że należy do okresu literackich przymiarek. Tymczasem to wciągająca, rozpisana na trzy głosy opowieść o życiu młodych-dorosłych, oryginalnie wykorzystująca schemat klasycznego trójkąta miłosnego. Widoczne są w niej już tematy, które Novak rozwinie w kolejnych powieściach: rozpad relacji miłosnych i rodzinnych, cierpienie maskowane kłamstwami, a także niemożność zrozumienia innego człowieka, choćby najbliższego.

Obcy na swoim

Novak niczego nie lukruje. Swoją rodzinną region pokazuje m.in. przez pryzmat pedofilii i przemocy, nie tylko symbolicznej. Jego bohaterów, łamiących tabu i zmowę milczenia, spotyka społeczny ostracyzm. Sam pisarz na szczęście nigdy go nie doświadczył. „Czarna matka ziemia” oparta jest na faktach i opowiada o prawdziwych ludziach. Novak przyznaje, że kiedy powstała, wielu odetchnęło z ulgą, mogąc pozbyć się ciężaru przemilczanej, choć powszechnie znanej tajemnicy. Z własnymi postaciami, zazwyczaj outsiderami i wyrzutkami, łączy go specyficzne, wyniesione z dzieciństwa poczucie obcości. Kiedy po śmierci ojca wrócił z Baden-Baden do rodzinnej wsi, podczas zabaw w partyzantów i Niemców zawsze musiał odgrywać rolę Niemca, a przez cały okres dorastania towarzyszył mu przydomek „auslander”.

Zajęcie tej specyficznej pozycji na styku obcości i swojskości pozwoliło Novakowi przywrócić chorwackiej literaturze głównego nurtu nieobecny przez wiele lat region i jego specyficzny dialekt (nie zawsze zrozumiały dla czytelników oryginału, o czym świadczy umieszczony na końcu „Czarnej matki ziemi” słowniczek). Međimurje to rolnicza kraina na pograniczu węgiersko-słoweńsko-chorwackim, usytuowana między dwiema wielkimi rzekami, Drawą i Murą. Choć kulturowo należąca do Europy Środkowej, przypomina o specyficznym rozdarciu Chorwacji: jednocześnie środkowoeuropejskiej, bałkańskiej, jak i śródziemnomorskiej, Chorwacji nie zawsze rozliczonej i pogodzonej ze swoją historią.

Nie bez powodu to właśnie mniejszość romska jest jednym ze zbiorowych bohaterów „Cygana”. Choć wielu Chorwatów, zajętych sporami sąsiedzkimi, dziś o tym nie pamięta, Romowie zdołali przetrwać w regionie głównie dlatego, że Međimurje nie weszło w skład niesławnego faszystowskiego Niezależnego Państwa Chorwackiego, w którym Serbów, Cyganów i Żydów mordowano w obozach koncentracyjnych.

Kontekst wielkiej historii czytelnik jednak musi sobie dopowiedzieć sam, naturalnym żywiołem pisarza pozostaje bowiem intymność. Novak jest wrażliwy na społeczne, klasowe i ekonomiczne uwarunkowania egzystencji swych bohaterów, nie abstrahuje także od politycznej sytuacji kraju, szczególnie kiedy portre-

tuje tak przełomowe okresy jak rozpad Jugosławii. W przeciwieństwie jednak do wielu przywołanych wcześniej bałkańskich pisarzy, nie czuje potrzeby konfrontowania się z wojną czy tzw. wielką historią. Piekielna maszynaria dziejów nie jest tu niezbędnym warunkiem dramatu. Wystarczającym piekłem są inni, nawet ci o najlepszych intencjach.

Pisarz przywraca mentalnej mapie chorwackiej literatury nie tylko Međimurje, ale także środkowoeuropejską wieś w ogóle. Kultura chorwacka jest silnie zurbanizowana, skoncentrowana na długim trwaniu południowych *communitates*, na szlacheckiej kulturze północnych dworów czy mieszczańskości posthabsburskich grodów. Jeśli pojawia się w niej prowincja, to najczęściej pod postacią arkadyjskiej lub dystopijnej enklawy adriatyckich wysp. Tymczasem krajobraz Međimurja znacznie bliższy jest temu, co najwybitniejszy chorwacki pisarz XX w. Miroslav Krleža określał jako „panońskie błoto”. To melanco-

Na Festiwalu Conrada będziemy rozmawiać z **KRISTIANEM NOVAKIEM** o długotrwałym i bolesnym procesie wychodzenia z iluzji, która stała się sposobem na życie, a także o roli, jaką w tym procesie może odegrać literatura. Spotkanie poprowadzi Aleksandra Wojtaszek.

lijna, mglista kraina pełna gęstych lasów, ciągnącej się jak ciasto ziemi uprawnej i podmokłych bagien.

Natura jest istotnym elementem twórczości Novaka: ziemia bardzo łatwo z matki staje się tu macochą. Jednak to nie przyroda okazuje się złowroga. Winny jest człowiek, który nie darzy jej szacunkiem i nadmiernie eksploatuje. W tym sensie obydwie utwory chorwackiego pisarza moglibyśmy określić jako ekologiczne. Pierwotna trauma, która

spada na całe społeczności, wywołana jest nieodpowiedzialnym stosunkiem człowieka do przyrody.

Mieszkańcom Međimurja zaludniającym karty powieści Novaka łatwiej obwiniać za wszystko nadprzyrodzone siły albo niedostosowane dziecko, ucieleśnienie obcego. Ostatecznie oskarżenia kierowane są pod adresem każdego, kto nie pasuje do ustalonej, zazwyczaj na wskroś opresyjnej normy. Właśnie dlatego – zdaje się mówić Novak – tak bardzo potrzebujemy opowieści... Aby zrozumieć nie tylko siebie, ale i innych, postawić się w ich roli, wzbudzić w sobie empatię. Jednocześnie pisarz nawet przez chwilę nie podaje w wątpliwość faktu, że zarówno zrozumienie innego, jak i samego siebie nigdy nie będzie do końca możliwe.

„A jeśli to jedynie nowe kłamstwo?” – pyta Matija. Po czym odpowiada sam sobie: „A nawet jeżeli, to co nam pozostaje? Tylko wystarczająco dobre kłamstwo” (przeł. Magdalena Połczyńska).

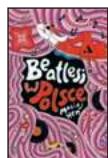
© ALEKSANDRA WOJTASZEK

Wzgórze Madjerkin Breg w rejonie Međimurja na Chorwacji



Lektor:

Tęsknota za lekkością



■ Maciej Hen

BEATLESI W POLSCE

Agora, Warszawa 2021, ss. 520

MACIEJ HEN PISZE KSIĄŻKI grube i intrygujące. Akcja „Solfatary” (2015, ponad 900 stron gęstego druku!) rozgrywa się w XVII-wiecznym Neapolu. „Deutsch dla średnio zaawansowanych” (2019, pół tysiąca stron z górką) to powieść współczesna, ale z wieloma, także historycznymi kluczami. A teraz... właśnie, co teraz? Czy są „Beatlesi w Polsce” (znów pół tysiąca stron)? Przypominają tort wielopiętrowy: w warstwie pierwszej historia sławnego zespołu i jego „życia po życiu”, dalej – świadectwo fascynacji autora i jego interpretacje kolejnych

albumów, przede wszystkim zaś – rozpisana na wiele głosów opowieść o tym, jak muzyka czwórki z Liverpoolu docierała do naszego kraju. Czyli do Peerelu, w którym nowinki z Zachodu starano się reglamentować. Jest więc Radio Luxembourg, ale też sławna Rozgłośnia Harcerska i świętej pamięci Trójka, „pocztówki dźwiękowe”, płyty przywożone przez marynarzy i przysyłane z zagranicy, sprzedawane w komisach za niebotyczne ceny. Ktoś wystaje pod blokiem, bo ktoś inny przy otwartym oknie odtwarza nagrania Beatlesów. A słuchając ich, lżej się oddycha.

59 rozdziałów, każdy opatrzone tytułem piosenki, i rozmówcy z kilku pokoleń, aż po nastolatków, którzy przygodę z przedpotopowym – zdawałoby się – zespołem teraz zaczynają. Postacie znane, jak lider Skaldów Andrzej Zieliński, jak kompozytorka Katarzyna Gärtner (jako stypendystka Ministerstwa Kultury trafiła w 1969 r. do studia nagrań na Abbey Road, a John Lennon i Yoko Ono narysowali obrazki na kopercie jej „Mszy beatowej”!), jak anglista i poeta Jerzy Jarniewicz, jak Lech Janerka, Joanna Szczepkowska, Antoni Pawlak, zmarły niedawno Jan Lityński, Cezary Łazarewicz i nawrócona przez niego na Beatlesów żona, Ewa Winnicka. Oraz nieznanymi szerzej pasjonaci z całej Polski, od Pomorza Zachodniego po Śląsk, dla których ta pasja stała się ważną częścią życia – tworzą fancluby, strony internetowe, gromadzą

imponujące kolekcje. W sumie – panorama pojedynczych losów z wielką historią (bo Hen nie zapomina o politycznym tle epoki) i muzyką Beatlesów w tle. Jestem rówieśnikiem autora, to także moja przeszłość. Lato ’67, wakacje w rumuńskiej Eforii Nord, w pawilonowej restauracji leci na okrągło „Rubber Soul” – od razu pokochałem „Girl” i „Michelle”. Pół roku później niedzielny rodzinny obiad, za życia dziadków zawsze celebrowany. Wuj z Wrocławia, o gustach raczej staromodnych, rzuca kąśliwą uwagę na temat rocka, a Beatlesów w szczególności. Jako główniarz siedzę cicho, ale mój starszy brat podejmuje rękawicę – wybucha niezła awantura... Jeszcze później: idziemy z bratem do kina na „Żółtą łódź podwodną”, zachwyty. Mógłbym tak długo, na pewno nie tylko ja. Więc i ja dziękuję Maciejowi Henowi. ©

Wyrazy współczucia dla
arcybiskupa Grzegorza Rysia

z powodu śmierci

Mamy

Łączymy się w ludzkim cierpieniu
i eschatologicznej nadziei

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

Pani

Marii Ryś

mamy księdza arcybiskupa Grzegorza Rysia

Wyrazy głębokiego współczucia i szczerze kondolencje
Księdzu Arcybiskupowi i całej Rodzinie

składają

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA ZNAK

PAWEŁ

Bravo:

Strzeżmy słów



TEŻ MACIE OCHOTĘ STRZELAĆ DO SPRZEDAWCY, który pakuje truskawki do foliowej torebki? W dodatku zwanej prawem kaduka „reklamówką”, choć jedyne, co reklamuje, to naszą wysoką tolerancję dla brudnego różu lub zieleni i dla obleśnego szelestu, jaki wydaje, lepiąc się do palców, polietylen niskiej gęstości. „Mało przepuszczalny dla pary wodnej”, piszą w specyfikacji technicznej tego tworzywa i widać to dobrze, gdy truskawki się pocą i zaparzają niemal natychmiast, nawet jeśli niesiemy je do domu zaledwie kilka minut. Przecież ludzkość zna i stosuje torebki z szarego papieru – być może kosztują parę groszy więcej, ale to ten moment, kiedy dorzucenie ich do ceny owoców jest naprawdę słuszne i pożądane. Także z uwagi na ogólny cel ograniczenia masy plastiku, który będą po nas odkopywać archeolodzy.

Truskawka nie ma systemu nerwowego, nie odczuwa bodźców ani emocji, więc pisanie o męce doznawanej przez nią w foliowym worku to publicystyczna przesada. Zwłaszcza jeśli porównać to z dosłownie okrutnym traktowaniem karpia, który dusi się w takiej reklamówce grudniową porą, gdy nasz naród w przypiływie łagodności pędzi do stajenki i wsuwa sianko pod obrus. Z kolei mówienie o torturach zadawanych rybie byłoby przejawem nie tylko złego gustu, lecz także karygodnym nadużyciem słów, które miewają jeszcze funkcje moralne, czasem ważniejsze od funkcji opisowej czy komunikacyjnej. Trzeba ich strzec i chronić przed wytarciem, by zachowały moc budzenia grozy w obliczu zła, które dzieje się tylko na poziomie międzyludzkim, a nie między człowiekiem a przyrodą.

Dlatego też wyrażenie „holokaust zwierząt”, częste w przekazach aktywistów prozwierzęcych, budzi mój sprzeciw nie tylko dlatego, że jest po prostu zbędne – zimny opis warunków na fermach wystarczy, by się odechciało na zawsze przemysłowego kurczaczka. Chodzi o uchylanie niebezpiecznych furtek w języku. Takich jak ta, przez którą sam przeszedłem, zaczynając ten felieton od czysto metaforycznego strzelania do sprzedawcy. Za dużo pamiętam sytuacji, gdy ludzie skądinąd zaci i pełni dobrych intencji dawali sobie prawo do całkiem prawdziwego strzelania w imię słusznej sprawy. Nie tak wcale dawno, nie tak daleko geograficznie i nie tak daleko mentalnie.

Jakiś miesiąc temu Francja zdecydowała się wydać Włochom dziesiątkę dawnych lewicowych terrorystów skazanych za mordy na tle politycznym i zamachy popełnione w latach 70., „latach ołowiu”, jak się tam nazywa ów okres niemal wojny domowej. Kilku dziesięciolecie takich ludzi umknęło do Francji, gdzie prezydent Mitterrand oficjalnie dał im azyl polityczny, powołując się na republikańskie ideały i ochronę przed prześladowaniami. Kolejni prezydenci –

z innej politycznej bajki także, wcale nie pałający sympatią dla idei rewolucji proletariackiej – podtrzymywali ten stan rzeczy, dając w ten sposób wyraz brakowi zaufania do stanu praworządności u sąsiada i partnera we Wspólnocie Europejskiej. Jakby Włochy to była jakaś barbarzyńska republika bananowa (owszem, w pewnych aspektach to jest państwo chore, upadłe i przeżarte zgnilizną, ale akurat ci terroryści mieli uczciwe procesy).

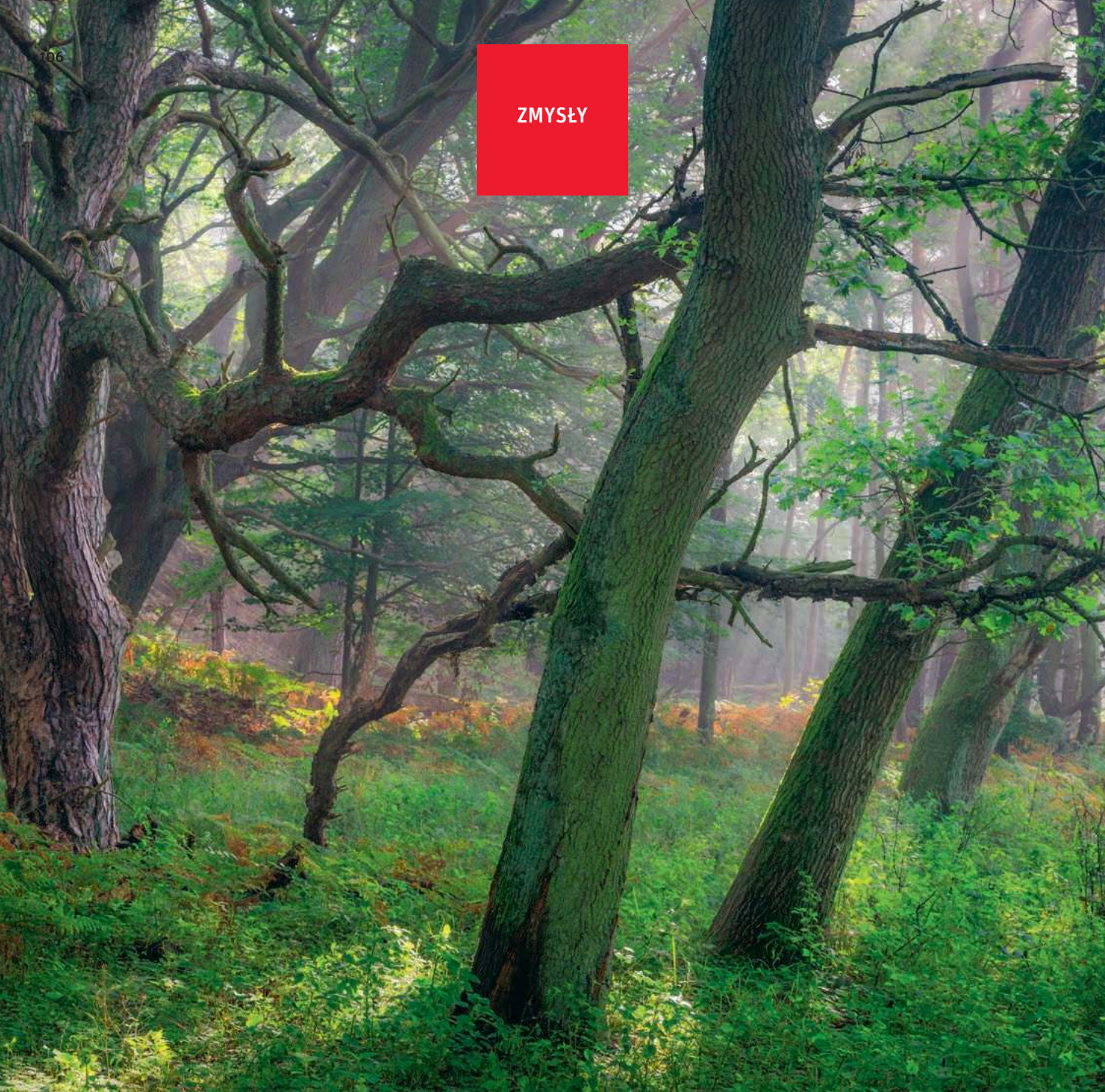
Nie miejsce tu na roztrząsanie, dlaczego Paryżowi przestało się akurat teraz opłacać chronienie tych „uchodźców”. Część z nich wtopiła się we francuskie społeczeństwo, część zdążyła poumierać, teraz do wydalenia wybrano tylko dziesiątkę najbardziej symbolicznych nazwisk. Pozornie odległa od naszych spraw historia rzuciła mi się w oczy przez swoje analogie, warte dalszego rozpoznania, do sytuacji, gdy niektórzy członkowie Unii zglądają nam w garnki, jeśli chodzi o praworządność i niezawisłość sądów. Albo wręcz podważają to, czy potrafimy dalej zapewniać sprawiedliwe procesy.

A czy sprawiedliwe będzie teraz wsadzanie schorowanych staruszków za bomby i strzały z czasów, gdy byli zgrają nabuzowanych chorą ideologią studenciaków? I przecież nie zawsze musiało się to kończyć w ten sposób. W masowym i bardzo wtedy żywotnym lewicowym ruchu kontestacji i protestu działały dziesiątki tysięcy ludzi. Poświęcili swój czas, prywatne życie, a nieraz i święty spokój, przy czym ogromna większość z nich działała w granicach prawa, nawet jeśli uważali państwo za narzędzie klasowego ucisku. Deportacja, jeśli do niej dojdzie, odda tym bezimiennym nie-bojownikom sprawiedliwość: trzeba głośno powtarzać każdemu pokoleniu, że słuszność gniewu kończy się zawsze w chwili, gdy podnosimy rękę na drugiego człowieka, lub choćby tylko piszemy, że zasłużył na śmierć. Nawet gdy chodzi o krzywdy i ucisk, a nie tylko głupie kilo zmacerowanych w folii truskawek. ©P

Po dłuższym rekonesansie znalazłem na swoim placu Na Stawach panią, która sypie truskawki do burych torebek. Po ich opróżnieniu nadmuchuję je, żeby móc z nich „strzelić” jak za przedszkolnych czasów. Nieodmienna to frajda, a co z truskawkami? Jestem na razie w fazie wstępnego dopiero znudzenia, nie chce mi się jeszcze robić wyszukanych ciast. Ale opowiem wam o prostym pomysle, by sobie urozmaicić podwieczorek – na szybki krem sezamowy. Ubijamy na sztywno 300 ml śmietanki ze szczyptą soli i łyżką cukru pudru. Dodajemy sukcesywnie po jednej łyżce 250 g mascarpone, za każdym razem włączając na chwilę mikser na wolnych obrotach, aż powstanie dość sztywny krem. Na koniec wkręcamy ze 2-3 łyżki tahiny. Całość powinna być raczej wytrawna, nie dla dzieci. Dlatego truskawki, które następnie dodamy, można wcześniej pokroić na pół i skropić octem balsamicznym lub bardzo wytrawnym białym winem.



AB PHOTO / ADOBE STOCK



W Wolińskim Parku Narodowym, 2017 r.

WIECZNIEZIELONE

RICHARD POWERS, PISARZ:

Ponadtyśiącletni las sekwoi zamieniliśmy w Dolinę Krzemową,
czyli coś, co przetrwa tylko ułamek czasu trwania drzewa,
przed którym kiedyś stanąłem.

ADAM ROBIŃSKI: Napisał Pan powieść o drzewach.

„Listowieść” ma więcej pierwszoplanowych bohaterów niż większość książek, choć ci bohaterowie to ludzie, a nie rośliny.

RICHARD POWERS: Historie ludzi i drzew są nierozłączne. Jednym z założeń tej książki jest konstatacja, że aby zrozumieć, kim jesteśmy, musimy również poznać świat pozaludzki. Zacząć go brać na serio.

Nie bierzemy?

Jeszcze nie, albo już nie. Każda opowieść o drzewach musi być jednocześnie historią ludzi, a to z uwagi na rozległy wpływ, jaki mają na świat roślin. Zanim pojawiliśmy się na planecie, rośło na niej prawdopodobnie dwa razy więcej drzew niż dziś. Destrukcja lasów pierwotnych jest bezpośrednim skutkiem ludzkich działań. Mówiąc o drzewach, mówimy o ludziach. O gęstej sieci powiązań i zależności między człowiekiem a światem pozaludzkim. To zadziwiające, że duża część współczesnej literatury nie widzi tej relacji. Być może nie powinien więc pan pytać o to, dlaczego w mojej książce o drzewach jest tak dużo ludzi, tylko dlaczego powstaje dziś tak wiele powieści, w których przyroda nie odgrywa przewodniej roli. Albo żadnej.

A może chodzi o to, że z drzewa trudno zrobić porywającą postać?

Będę się upierał, że uczestniczymy razem – my i one – w jednej ogromnej fabule. Można ją opowiedzieć na wiele różnych sposobów. Błędem jest ignorowanie świata pozaludzkiego i tak samo niewłaściwe jest snucie opowieści o przyrodzie i udawanie, że ludzie nie istnieją. Ale wydaje mi się, że wiem, dokąd prowadzi pana pytanie, i po części się zgodzę. My, ludzie, zostaliśmy nauczeni, że opowieści dotyczące tego, co od nas oddzielne, są trudno przyswajalne lub mało atrakcyjne.

Lubimy czytać i słuchać o sobie samych.

Ojciec jednej z moich powieściowych bohaterek, Patricii Westerford, zauważa, że tacy właśnie jesteśmy – zwracamy uwagę na rzeczy, które są do nas podobne. Na stworzenia, które są naszego wzrostu, poruszają się z podobną prędkością, żyją tak samo długo jak my. Dobór naturalny tak ukształtował nasze mózgi, że dziś postrzegamy człowieka jako najbardziej interesujące zjawisko pod słońcem. Kiedy więc piszę książkę i chcę, żeby okazała się wciągająca, w jej centrum powinienem umieścić ludzi. Ale żeby opowieść była prawdziwa, by prawdziwie przedstawiała naszą egzystencję, ci ludzie muszą być częścią gęstej siatki międzygatunkowych powiązań. „Listowieść” to nie jest książka ani o drzewach, ani o ludziach, tylko o tych relacjach.

Trudno było te światy literacko powiązać? Drzewa żyją przecież w swoim tempie, nigdzie się nie spieszą.

Ich stosunek do przestrzeni też odbiega od naszego.

Tak samo jak intencje i celowość działań. Faktycznie snucie opowieści, która rozwija się jednocześnie w czasie ludzkim i czasie drzew, jest bardzo wymagające. Dlatego w „Listowieści” mamy tak wiele głosów i kadrów. Niektóre z nich są w sensie powieściowym bardzo tradycyjne, inne odwołują się do szeregu starszych stylów, często pochodzących z tradycyjnych narracji.

W pisaniu o przyrodzie standardem jest teraz przywoływanie języka zarezerwowanego dla religii i świętości.

To się pewnie bierze z faktu, że w każdej historii, w której splatają się wątki ludzkie i nieludzkie, pojawia się pewna religijna jakość. Niektórzy językoznawcy wywodzą zresztą etymologiczne korzenie rzeczownika „religia” od starego słowa oznaczającego związanie. To łacińskie *religare*. Więc może aby opisać to splątanie, potrzeba słownika bliskiego religijnemu?

Ale w „Listowieści” jest wszystkiego po trochu: uniesienia, dramatu, humoru i groteski.

A w niektórych fragmentach, przede wszystkim tych, w których z drzew robię brzuchomówców, proza staje się wyłewna, metaforyczna, liryczna, czasem poetycka. Trudność polegała przede wszystkim na powiązaniu tej mieszanki stylów z konkretem, którego dotyczy fabuła. Musiały przystawać do siebie. Inaczej książka stałaby się miszmaszem wielu różnych języków: poetyckiego, dramatycznego, psychologicznego, dziennikarskiego, naukowego. Ta praca przychodzi zwykle na etapie poprawiania, kiedy już zdajesz sobie sprawę z rozmiaru opowieści, istoty niektórych postaci albo przedziału czasowego, w którym operujesz. Cofasz się i szukasz formy, sposobu narracji odpowiedniego dla danego fragmentu. Kiedy szukałem stylu, który pan nazywa religijnym, często polegało to na grzebaniu w bardzo starych tekstach. Starożytnych albo z czasów średniowiecznej Europy.

To było szukanie inspiracji?

Raczej badanie, jak patrzono wówczas na naturę. Jak się o niej pisało. I to nie tylko w naszym kręgu kulturowym, również w literaturze odległej, jak hinduska „Bhagawadgita”. Wierowałem podania ze starożytnej Japonii i Chin. W efekcie niektórzy z moich bohaterów, szczególnie we fragmentach odwołujących się do alegorii czy duchowości, są zanurzeni w takim stylu. To literackie mechanizmy znane z bardzo starych pism.

Jest jeszcze kwestia antropomorfizacji. W świecie nauki taki zabieg to niemal zbrodnia i literatura zwykle przestrzega tego ograniczenia. Panuje przekonanie, że przyrody antropomorfizować nie należy, a Pan robi to bez większych skrupułów.

Wydaje mi się, że to nastawienie się zmienia. Coraz częściej uświadamiamy sobie, że owo uprzedzenie wobec antropomorfizacji doprowadziło, jak na ironię, do antropocentryzmu. Unikanie za wszelką cenę przy opisie pozaludzkiego świata języka, którym relacjonujemy zwykle samych siebie, zrodziło radykalne poczucie ludzkiej wyjątkowości.

Człowiek jako korona stworzenia.

Kiedy byłem w college’u, mój profesor psychologii przekonywał, że ten, kto sądzi, iż zwierzęta odczuwają emocje, błędzi i niepotrzebnie karmi antropomorfizm. Dziś, ponad czterdzieści lat później, emocjonalność zwierząt jest szeroko akceptowanym faktem. Dlaczego miałyby ich nie odczuwać? Przecież cała nauka o ewolucji opiera się na ciągłości. To bardzo konserwatywna opowieść o powtarzalności. Z innymi gatunkami dzielimy ogromne ilości genów i fizjologii. Mamy za sobą wiele naukowych przewrotów, które obaliły przekonanie o ludzkiej

→ wyjątkowości. Zmusiły nas do większej pokory. Choćby odnajdując inteligencję, emocje i złożone zachowania u innych stworzeń. Tak, pozwalam sobie swobodnie antropomorfizować drzewa, bo po pierwsze mówimy o pracy literackiej, nie naukowej, a po drugie również nauka zaczyna widzieć, dokąd doprowadziły nas samouwielbienie i izolacja.

„Listowieść” to Pana dwunasta książka, ale żadna z dotychczasowych nie poruszała tych zagadnień.

Skąd nagle przyszedł do Pana drzewa?

Uczyłem na Uniwersytecie Stanforda w Dolinie Krzemowej, tuż obok siedzib firm, które dziś dominują nad światem. Mogłem iść na spacer do Google’a, Apple’a, Facebooka, Intela czy Netflixa, korporacji, które kreślą nasze dziś i jutro. Żeby uciec od tego świata zdominowanego przez technologię, jeździłem w góry Santa Cruz. To zachodnia strona doliny. Chodziłem po tamtejszych lasach sekwoi wieczniezielonej. Te lasy wycięto sto lat temu, a potem posadzono na nowo, ale podczas jednej z wycieczek natknąłem się na drzewo, które jakimś cudem wtedy przetrwało. Ta jedna sekwoja miała sto metrów wysokości, trzydzieści metrów obwodu pnia i pewnie tysiąc dwieście albo tysiąc pięćset lat.

I wtedy Pana tknęło?

Stanie naprzeciwko istoty, która operuje w takich skalach, zupełnie zmieniło moje pojmowanie siły czy celowości życia. Wstrząsnęło mną dogłębnie. Potem przyszła refleksja, że jeszcze niedawno te góry były całkowicie pokryte drzewami takich rozmiarów. Dolina Krzemowa wyrosła tylko dlatego, że w jej sąsiedztwie znajdowały się lasy, które można było w tak drastyczny sposób wyeksploatować. Zbudować San Francisco, szereg innych miast, kolej. Sekwoje umożliwiły ludziom rozpoczęcie działalności z tak ogromnym kapitałem początkowym, który pozyskali za darmo. Ponad tysiącletni las zamieniliśmy w coś, co przetrwa tylko ułamek czasu trwania drzewa, przed którym wówczas stanąłem.

Pisanie tej książki różniło się od pracy nad innymi Pana powieściami?

Na pewno był to o wiele dłuższy proces, bo pisałem ją sześć lat. Chyba było też trudniej. W swoich wcześniejszych powieściach poruszałem skomplikowane kwestie technologiczne. Pisałem o sztucznej inteligencji, wirtualnej rzeczywistości, genetyce molekularnej, a więc tematach, które uważany za złożone i wymagające dużej wiedzy. Szokiem było więc dla mnie uświadomienie sobie, że taksonomia życia jest dziedziną o wiele od nich rozleglejszą.

Dendrologia Pana przygniotła?

Na świecie rośnie do stu tysięcy gatunków drzew, które wcale nie są do siebie jakoś szczególnie podobne. Reprezentują niesamowitą różnorodność taksonomiczną. Znalazły najróżniejsze sposoby na pozostanie żywym, na produkowanie jedzenia ze słońca. Stopień ich skomplikowania okazał się o wiele bardziej złożony niż wszystkie inne zagadnienia, którymi się dotychczas zajmowałem.

Zbieranie materiałów do tej książki było ciężką pracą, ale i ogromną przyjemnością. Stałem się nałogowym czytelnikiem książek o drzewach. Przeczytałem ich ponad sto dwadzieścia,

do tego artykuły w czasopiśmie i z internetu. Zresztą nawet po publikacji „Listowieści” ich nie porzuciłem. Teraz czytam choćby dopiero co wydaną książkę Suzanne Simard, botaniczki, na której wzorowałem powieściową Patricię. Mam w domu całą półkę takiej literatury. To jest wszechświat. Im więcej spędzam w nim czasu, tym bardziej interesujący staje się świat dookoła. Zresztą ta książka zmieniła moje życie o wiele bardziej.

Zgaduję, że wstał Pan z biurka.

To była zmiana po pierwsze geograficzna, po drugiej emocjonalna. Jak już mówiłem, mieszkałem w Kalifornii. Zbierając materiały do książki, co rusz czytałem o tym, że 98 proc. naszych lasów utraciło swój pierwotny charakter. To samo dotyczy Europy. Polska jest jednym z niewielu miejsc, gdzie wciąż rosną naprawdę stare lasy.

Na przykład w Puszczy Białowieskiej.

Nasz odpowiednik tej puszczy, liściasty pralas wschodniego wybrzeża, rośnie w Wielkich Górach Zamglonych (Great Smoky Mountains), na granicy Tennessee i Karoliny Północnej. Znajdują się tam ostatki zadrzewień o charakterze pierwotnym. Podczas pisania książki pojechałem tam na wycieczkę. Wychowałem się na wschodzie, więc zdawało mi się, że wiem, czego się spodziewać. Ale kiedy szedłem coraz wyżej, najpierw przez las gospodarczy, a potem w stronę coraz starszego, to było, jakby noc zaczęła zmieniać się w dzień. Inaczej wszystko wyglądało, inaczej pachniało, inaczej brzmiało. Nagle znalazłem się w samym środku najzdrowszego lasu, jaki kiedykolwiek widziałem. Zrozumiałem, że tak powinien wyglądać cały kontynent. Wróciłem do pisania książki, ale nie mogłem przestać myśleć o tym dniu. Rok później wróciłem w te góry, kupiłem dom i mieszkam w nim do tej pory.

A zmiana emocjonalna?

Mieszkam na skraju rozległego parku narodowego, a moje dni kształtowane są przez pogodę. Dawniej myślałem, że skoro jestem pisarzem, to powinien być uzależniony od konkretnej liczby znaków, które mam napisać. I dopiero kiedy to zrobię, kiedy przekroczyć zakładany pułap, mogę zająć się czymś innym.

Teraz jest na odwrót. Gdy się budzę, przede wszystkim sprawdzam, jaka jest pogoda, pora roku, co kwitnie, co dzieje się na poszczególnych piętrach roślinności. Kombinuję, gdzie powinienem pójść, żeby coś zobaczyć, czegoś się nauczyć, przeżyć coś ekscytującego. Chodzenie, oglądanie, uczenie się definiuje moje dni. To wszystko napędza mnie też inspiracją i kiedy już wracam do domu, to tak czy inaczej piszę to, co powinienem. Dalej jestem pisarzem, ale zmienił się cel każdego mojego dnia. Zamiast produktywności chodzi teraz o pasywną uważność.

Bohaterowie Pana powieści to szarzy ludzie, którzy niespodziewanie dla siebie samych stają się ekologicznymi aktywistami. Sęk w tym, dokąd ich ta droga prowadzi. Dla niektórych kończy się tragicznie. Zupełnie jakby chciał Pan powiedzieć, że aktywizm nie jest dla każdego.

Aktywizm to ciężka walka. Jeśli ktoś się nim zajmuje i oczekuje jasnych, klarownych efektów, będzie zawiedziony. To jest długofalowe poświęcenie. Nie wiem jak w Polsce, ale tu,

w Stanach, widzę duży wzrost świadomości przyrodniczej. Co rusz ktoś opowiada mi o lokalnej sprawie, która postawiła społeczność na nogi. Ludzie zostają wciągnięci w jakąś formę aktywizmu. To może być coś małego, jak decyzja władz miasta o wycięciu stu drzew, której nie konsultowano z mieszkańcami. Kiedy rano się budzisz i widzisz, że drzewa zniknęły z twojej ulicy, tak się wściekasz, że zaczynasz podróż, która nie ma końca. Jej główny cel nie jest jednak mierzalny. To zmiana świadomości własnej i ludzi, z którymi masz kontakt.

Świadomości, że...?

Że nie jesteśmy dominującym gatunkiem, który włada światem, ale jednym z wielu współzależnych sąsiadów. I że nasze życie powinno uwzględniać biologiczne ograniczenia tej planety. Można wpaść w rozpacz, kiedy uświadomimy sobie, jak powszechne jest przekonanie o ludzkiej wyjątkowości. Jak w słynnym cytacie z Fredrica Jamesona, który stwierdził, że łatwiej jest wyobrazić sobie koniec świata niż koniec kapitalizmu.

Łatwiej?

Żeby przeprowadzić rewolucję o skali globalnej, nie potrzeba aż tak wielu ludzi, którzy zmieniają swoje przekonania. Potencjalnie beznadziejna sytuacja jest do odwrócenia, o ile przekroczony zostanie pewien punkt krytyczny społecznej świadomości. On może być o wiele niższy, niż nam się wydaje. Dziś w Stanach Zjednoczonych obserwujemy radykalną zmianę sytuacji dotyczącej praw homoseksualistów. Gdyby ktoś zapytał mnie trzydzieści lat temu o to, jakie są szanse przekonania tego konserwatywnego kraju, że związki jedнопłciowe powinny być traktowane tak samo jak heteroseksualne, powiedziałbym, że nikłe. Tymczasem nastąpiła kaskada efektów i zdarzeń i dziś wszystko się zmieniło.

Miedzy akapitami powieści stawia Pan parę poważnych pytań. Jak choćby o prawa przyrody do samostanowienia.

Chodzi panu o słynny artykuł „Should Trees Have Standing” Christophera Stone’a z lat 70. ubiegłego wieku, który czyta jeden z moich bohaterów. Od jego publikacji wiele się zmieniło. Nowa Zelandia czy Ekwador zaczęły uwzględniać podmiotowość natury w swoich systemach prawnych. Nawet w krajach, które nie mają takiego prawa, pojawia się przekonanie, że szkody wyrządzane naturze należy traktować jako czyn karalny. Tymczasem gdy Stone pisał swój artykuł, by w Stanach Zjednoczonych pozwać kogoś za dewastację przyrody, trzeba było znaleźć konkretnego człowieka, który ucierpiał fizycznie lub materialnie. W efekcie wiele działań przeciwko naturze nie było przestępstwami. Dziś nasze rozróżnienie szkód wyrządzanych środowisku i ludziom jest o wiele bardziej subtelne, a systemy prawne zaczynają to odzwierciedlać. Ale artykuł Stone’a dotyczył też kwestii podmiotowości prawnej i tego, jak się ona rozszerzała.

Jeszcze niedawno w świetle prawa ludźmi nie były ani kobiety, ani dzieci. Decyzja Sądu Najwyższego Stanów Zjedno-

Szedłem coraz wyżej, przez las gospodarczy w stronę coraz starszego.

W końcu znalazłem się w samym środku najzdrowszego lasu, jaki kiedykolwiek widziałem.

Zrozumiałem, że tak powinien wyglądać cały kontynent.

czonych w 1857 r. w sprawie Dreda Scotta oznaczała zaprzeczenie podmiotowości prawnej czarnoskórych. W wydanej kilka dekad temu książce o wyzwoleniu zwierząt Peter Singer pisał, że małpy człekokształtne w wielu aspektach wypadają o wiele korzystniej niż np. ludzie z uszkodzonymi mózgami albo w śpiączce. Skoro podmiotowość prawną ma człowiek w śpiączce, a nie mają jej inne człowiekowate, które potrafią się komunikować werbalnie czy podejmują złożone czynności, to coś jest nie tak z naszą definicją podmiotowości.

Pan pisze z kolei, że fakty rzadko kiedy wpływają na opinie, o wiele lepiej robi to opowieść. Czy literatura może być dziś przyczynkiem do głębszej zmiany?

Jest cała masa książek, którym się to udało. Na lepsze i gorsze. Powieść Uptona Sinclaira „Grzęzawisko” z 1906 r. przyniosła rewolucję dotyczącą bezpieczeństwa pracy w fabrykach i produktów, które w nich powstawały. Ale były też książki, które niosły tragedie i katastrofy, jak „Mein Kampf”. „Protokoły mędrców Syjonu” są dowodem na to, jak niszczące i destrukcyjne może być snucie opowieści. Książki, które opierają się na statystykach i wykresach, które odwołują się do rozsądku, mogą być prześcignięte w odbiorze, popularności czy wpływach przez takie, które bazują na emocjach. Niech pan zwróci uwagę, jak narracja QAnon, zadziwiająca opowieść o pizzeriach, w których katuje się dzieci, rozprzestrzeniła się po sieci. Nagle mamy tysiące ludzi, którzy wierzą w coś, co nie ma nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Ludzie, którzy piszą książki, muszą mieć świadomość ogromnej mocy literatury i odpowiedzialności, która wiąże się z umiejętnością zręcznego snucia opowieści.

A co będzie z Panem? Utkwił Pan w pisaniu o przyrodzie na dobre?

Dotychczas gdy pisałem jakąś powieść, podejmując konkretne zagadnienie, czy była to teoria gier, muzyka, biznes, czy sztuczna inteligencja, po jej publikacji od razu chciałem się zająć czymś innym. Tymczasem mam już złożoną do druku książkę, która jest w dużej mierze dzieckiem „Listowiesci”. Ukaże się w Stanach Zjednoczonych we wrześniu i kontynuuje pytania o to, jak wytłumaczyć naszym synom i córkom, co zrobiliśmy z tą planetą, i jak nauczyć się od nich, co zrobić, by to wszystko odwrócić. Będzie jak „Listowiec”, ale opowiedziana w zupełnie inny sposób. Uznałem, że chcę zostać z tymi pytaniami. Zostać w lesie.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI



MATERIAŁ PRASOWE WYDAWNICTWA W.A.B.

RICHARD POWERS (ur. 1957) jest autorem kilkunastu powieści. Za wydaną właśnie po polsku „Listowiec” (W.A.B.) otrzymał w 2019 r. Nagrodę Pulitzera.

STANISŁAW

Mancewicz:

Obowiązek szkolny



NA POZĄTEK NIECO ZSUMOWAĆ. ŚRODOWISKA zajmujące się bądź to humanistyką, bądź w ogóle edukacją, ludzie komentujący zmiany w modelu szkolnictwa, dyskutujący o listach lektur szkolnych, zapędzają się naszym skromnym

zdaniem na tereny wycieczkowo nieprzyjemne i wymagające innego spojrzenia. Idzie nam tu o niekomplikowanie, o wyrażenie opinii wprost, bez egzaltacji i meandrowania. O prostotę w rozumowaniu nam chodzi.

Tymczasem obserwujemy wyprawy urządzone bez pomysłu, bez specjalnego rynsztunku, bez kasków, latarek, czekanów i saperek, pchanie się ku bagnom, więźnięcie w kolczastych zaroślach, pomiędzy ostami, złośliwymi mucholówkami i łanami pokrzyw, wśród cienko brzęczącej fauny ssąco-klującej, skąd słabo przebijają się wołania o poziom. Tu i ówdzie spomiędzy zakrzaczeń słychać lamenty. Projektowane są, jak sutanny czarne, wizje utrudnionego rozwoju umysłowego naszej niesłyszanej młodzieży.

Wszystko to jest szalenie na boku obecnej rzeczywistości, bo nikogo w zasadzie owa młodzież i jej poziom nie interesuje, poza wąską grupą speców, zaznaczmy koniecznie – niejednorodną, niejednomyślną i z różnych światopoglądowych parafii, od lewa do prawa. Ktoś powiada, że młodzież jest szkodliwie indoktrynowana prawicowo, a ktoś inny, że lewicowo. Warto więc może powiedzieć, że młodzież indoktrynuje się sama, wedle własnego widzimisie, a nie wedle tego, co na przykład pomyśli bądź powie Gospodarz w rozmowie z funkcjonariuszem prawicowych mediów, z Wildsteinem czy ze spikerem w telewizji. Naprawdę, nie bądźmy śmieszni. No więc wszystkie te lęki razem wzięte to w naszym mniema-

niu błędzenie, męka, niepotrzebna utrata kalorii wywołująca spadki nadziei na ocalenie, a więc także psucie sobie nastroju, jakże ważnego w okresie pomiędzy falami zakażeń, w okresie urlopowym i w ruszającym z kopyta sezonie dyskotekowym. Bądźmy twardzi i oddalmy łatwo przychodzące opinie na temat – dajmy na to – listy lektur szkolnych. Podobnie na temat poziomu nauczania przedmiotów ścisłych, uczenia szeroko pojętej przyrody czy chemii, o której w Polsce człowiek dowiaduje się czegoś, czegokolwiek, podczas pierwszych nieśmiałych prób produkcji samogonu, a więc raczej nie w dzieciństwie. I tak dalej, i tak dalej.

Polska szkoła nie jest tematem na ciekawą rozmowę, dlatego że bodaj nikt nie umie o szkole powiedzieć elementarnej, najpoważniejszej i najboleśniejszej prawdy, że mianowicie jest ona, szkoła polska – nudna. Jest jeszcze gorzej – rzesze ludzi uważają, że szkoła musi być nudna. Polska szkoła – powiadają – była nudna, jest nudna i będzie nudna, tak nam dopomóż Bóg. Szkoła musi być nudna, bo gdyby nie była, straciłaby powagę i prestiż. Szkoła – mówimy to z naciskiem i z doświadczenia – gdy robi się nienudna, staje się natychmiast podejrzana. Brak nudy budzi najenergiczniejsze reakcje wszystkich polskich najnudniejszych, a to urzędników, polityków i rzecz jasna też rodziców, którzy ogólnie rzecz biorąc są dość nudni, co wie każde dziecko. Nienudna szkoła, ciekawy nauczyciel, interesujący temat lekcji – dajmy na to o rozmnażaniu człowieka – wywołuje natychmiast histerię oraz przyjazd karetki dla jednych i radiowozu dla drugich.

Tak to wygląda. Z roku na rok, z dekady na dekadę. Popatrzmy na znów walkowaną listę lektur szkolnych – ciągle ta lista wywołuje jakieś pretensje, ale nie zmienia się na niej jedno: są to w 90 procentach książki nudne absolutnie śmiertelnie. Dzieła przestarzałe, załazłe sadzą, ruszające zagadnienia za stare, by były teraz pojmowalne, książki, których treść nie może mieć dziś wpływu na kogokolwiek. Argument, że wychował się na nich sam Gospodarz, że pasjami lubi encykliki i dramaty Jana Pawła II bądź powieści pani Kossak-Szczuckiej, jest fajny i ma moc motywującą do czytania, ale chyba tylko Ryszarda Terleckiego, a nie normalnego ucznia idącego z tornistrem pod wiatr historii, do nudnej polskiej szkoły.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



S-Biznes internet symetryczny dla firm



 s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów



wysyłanie



odbieranie

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu



SLA 99,9%
bezpieczeństwo sieci



Wirtualna centrala
do 25 stanowisk



Hosting w chmurze
Biznes Premium



Techniczne
wsparcie IT

S-Biznes
1000Mbps

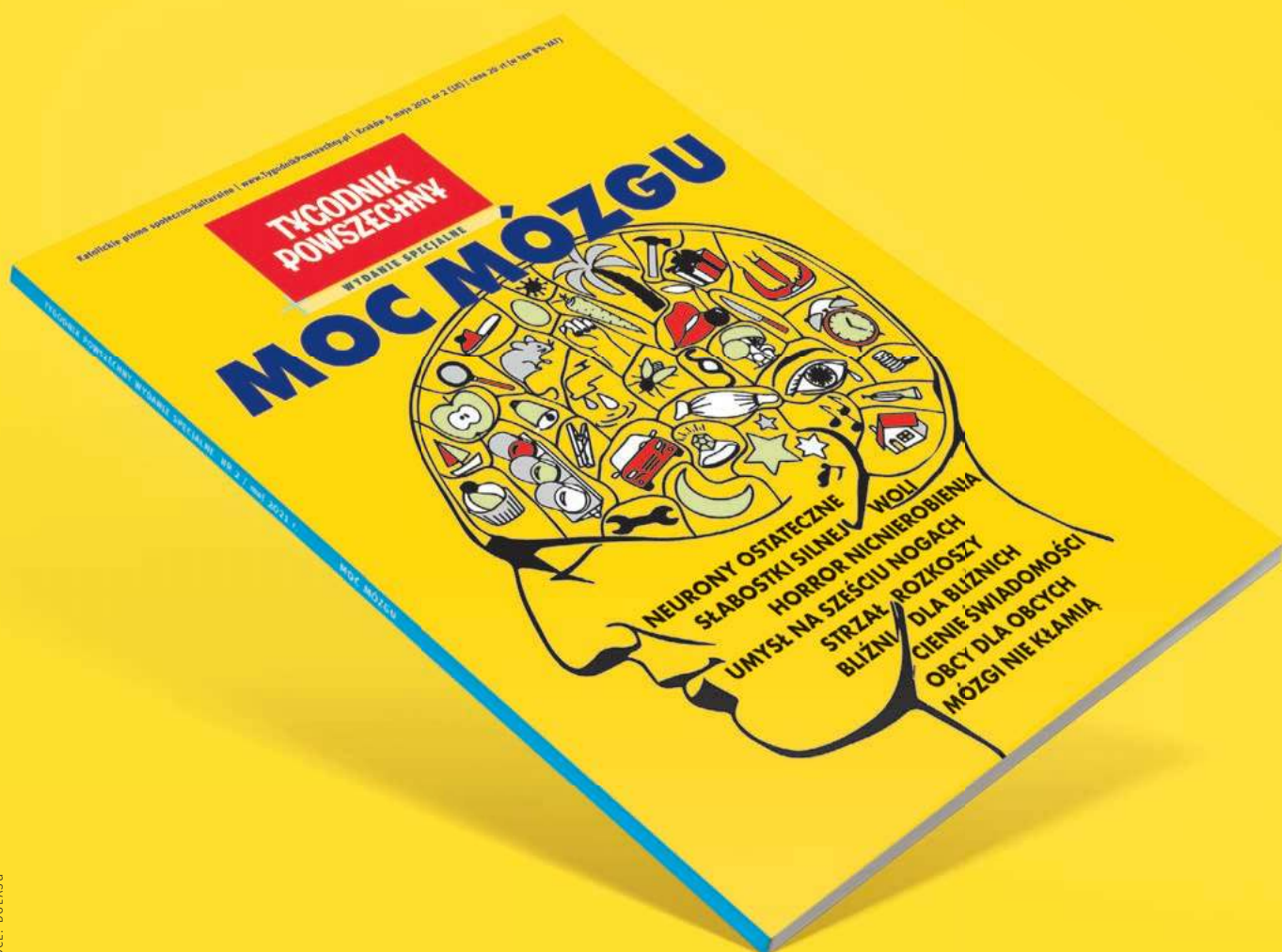


S-Biznes
500Mbps



Sprawdź na  s-net.pl

w głowie się nie mie- ści!



TYGODNIK
POWSZECHNY

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego” **MOC MÓZGU**
już w sprzedaży – szukaj w kioskach i salonach prasowych